

Pierre Benoit
ATLANTYDA



SK

Pierre Benoit

ATLANTYDA

(L'Atlantide)

przełożył
Kazimierz Bukowski



2013

Spis treści

List wstępny

- 1 Placówka na południu
- 2 Kapitan de Saint-Avit
- 3 Wyprawa Morhange – Saint-Avit
- 4 Ku dwudziestemu piątemu stopniowi
- 5 Napis
- 6 Niemile skutki sałaty
- 7 Kraina lęku
- 8 Przebudzenie w Hoggarze
- 9 Atlantyda
- 10 Sala z czerwonego marmuru
- 11 Antinea
- 12 Morhange wstaje i znika
- 13 Historia hetmana żytomierskiego
- 14 Godziny oczekiwania
- 15 Współczucie Tanit-Zergi
- 16 Srebrny młotek
- 17 Dziewice skał
- 18 Świętojańskie robaczki
- 19 Tanezruft
- 20 Koło się zamyka

Tekst i ilustracje według wydania Towarzystwa Wydawniczego "Rój", Warszawa 1926.

Na okładce wykorzystano rysunek z okładki wydania francuskiego z 1920 r.

Zanim przystąpię do rzeczy, muszę was uprzedzić, żebyście się nie dziwili, jeśli nadawać będą barbarzyńcom greckie imiona.

PLATON: *Krytias*

LIST WSTĘPNY¹

Hassi-Inifel, 8 listopada 1903

Jeśli kartki te ujrzą kiedykolwiek światło dzienne, mnie nie będzie już na świecie. Termin, jaki wyznaczam dla ogłoszenia ich, jest dla mnie w tym względzie dostatecznie pewną rękojmią.

Niechaj nikt nie tłumaczy sobie błędnie celu, dla jakiego domagam się tego ogłoszenia. Zaslужuję na wiarę, jeśli twierdzę, że nie mam żadnych ambicji autorskich w

stosunku do tych nerwowo kreślonych kartek. Jestem i byłem zawsze daleki od tych rzeczy! Ale doprawdy nie chcę, aby inni puszczali się w drogę, z której ja nie wrócę.

Czwarta godzina rano. Różowa jutrzienka rozпали wkrótce nad *hamadą*² swoje ognie. Dokoła mnie *bordż*³ śpi. Przez wpółuchylone drzwi słyszę równy oddech Andrzeja de Saint-Avita.

Wyjeżdżamy obydwaj za dwa dni. Opuszczamy *bordż*. Udajemy się w głąb, na południe. Wczoraj rano nadszedł rozkaz ministerialny.

Nawet gdybym chciał, dziś jest już za późno cofnąć się. Andrzej i ja domagaliśmy się tej misji. Pozwolenie, o które ubiegałem się w porozumieniu z nim, stało się obecnie rozkazem. Czyż po to przebyta została cała droga służbowa i zmobilizowane zostały wszystkie wpływy w ministerstwie, abym się teraz lękał i cofał przed przedsięwzięciem!...

Powiedziałem – lękać się. Wiem, że się nie lękam. Pewnej nocy, w Gurara, gdy znalazłem dwóch moich wartowników zamordowanych, z brzuchami rozprutymi straszliwym krzyżowym cięciem Berberów, ogarnął mnie lęk.

Wiem co to jest lęk. I teraz, gdy wpatruję się w mrok niezmierny, skąd za chwilę strzeli nagle olbrzymie, purpurowe słońce, wiem, że drzę ze strachu. Czuję, że zmagają się we mnie odraza i pociąg do tej świętej tajemnicy.

A może to wszystko złudzenie. Wytwory niezmiernie rozognionej wyobraźni i oka oczarowanego majakami? Nadejdzie z pewnością dzień, w którym odczytywać będę te kartki z pobłażliwym uśmiechem, z uśmiechem człowieka pięćdziesięcioletniego, odczytującego dawne listy.

Złudzenia. Przywidzenia. Ale te złudzenia i przywidzenia są mi drogą. *Kapitan de Saint-Avit i porucznik Ferrieres* — oznajmia depesza ministerialna — *postarają się określić w Tassali rozkład białego piaskowca i wapienia węglowego... Jednocześnie skorzystają ze sposobności, aby zbadać zmiany, zaszłe w zachowaniu się Azdżerów w stosunku do naszych wpływów itd.* Gdyby podróż ta nie miała poważniejszego celu, niż te błahe sprawy, czuję, że nie pojechałbym...

Jednak pragnę tego, czego się lękam. Czuję się głęboko zawiedziony, gdybym nie spojrział w twarz temu, co wzbudza we mnie dziwny dreszcz.

W głębi doliny Ued Mia wyje szakal. Od czasu do czasu, gdy poprzez skłębione od upału srebrne chmury przedrze się promień księżyca, turkawka myśli, że to blask słońca i grucha w gaju palmowym.

Słychać kroki na dworze. Wychyłam się z okna. Cień spowity w czarną, lśniącą materię, przesuwają się po ubitym tarasie warowni. Błysnęło światełko wśród nocy przesyconej elektrycznością. Człowiek zapalił papierosa. Przysiadł, zwrócony twarzą do południa. Pali.

Jest to Segheir-ben-Szeik⁴, nasz przewodnik targijski, który za trzy dni poprowadzi nas na nieznane wzgórze tajemniczych Imoszaoch, poprzez hamady z czarnego kamienia, wielkie wyschnięte strumienie, srebrzyste saliny, złociste diuny, ponad którymi unosi się, gdy dmie wiatr podzwrotnikowy, falisty tuman białych piasków.

Segheir-ben-Szeik! To ten człowiek. Przypomina mi się tragiczne zdanie Duveyriera⁵: *pulkownik włożył nogę w strzemię i w tej samej chwili otrzymał nagle pchnięcie szabłą...* Segheir-ben-Szeik!... Jest tam. Pali spokojnie

papierosa, papierosa z paczki tytoniu, którą mu ofiarowałem... Mój Boże! Daruj mi tę przewrotność.

Fotofor⁶ rzuca na papier swe żółte światło. Co za dziwaczne przeznaczenie, które, gdy miałem lat szesnaście, zdecydowało pewnego dnia, sam nie wiem dlaczego, żebym wstąpił do szkoły Saint-Cyr i zrobiło mnie kolegę Andrzeja de Saint-Avita. Mogłem studiować prawo, medycynę. Mógłbym być dzisiaj jakimś spokojnym człowiekiem i żyć w mieście z kościołem, nad wodami, a nie dziwnym cieniem, odzianym w bawełnę, pełnym niewypowiedzianego niepokoju i rzuconym na pustynię, która go pochłania.

Wielki owad wpadł przez okno. Brzęczy, obija się o ścianę, o kulę fotoforu, w końcu spada zwyciężony z opalonymi o świecę skrzydłami na białą kartę, tam.

Jest to chrząszcz afrykański, olbrzymi, czarny, z szaro-sinymi plamami.

Myślę o innych, o jego braciach z Francji, o tych brunatno-żółtawych chrząszczach, które widziałem w upalne, letnie wieczory, wirujące niby małe słoneczne kulki w mojej rodzinnej wiosce. Jako dziecko spędzałem tam wakacje, a później urlopy. W czasie ostatniego takiego urlopu, na tej samej łące stapała obok mnie powiewna biała postać, spowita z powodu wieczornego chłodu w biały muślinowy szal. Pod wpływem tego wspomnienia wzrok mój zwraca się teraz na chwilę w stronę ciemnego kąta pokoju, gdzie na nagiej ścianie błyszczy szkło zamglonego portretu. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo straciło dla mnie na znaczeniu to, co, jak sądziłem, winno stać się moim obowiązkiem na całe życie. Ta najgłębsza tajemnica nie ma odtąd dla mnie żadnej wartości. Gdyby wędrowni śpiewacy z Roili przyszli pod okna bordżu nucić swoje słynne,

teżskne melodie, wiem, że nie słuchałbym ich, a gdyby się stali zbyt natrętni, odpędziłbym ich. Cóż to dokonało tej przemiany? Historia, może baśń opowiedziana jednak przez kogoś, na kim ciąży najstraszniejsze z podejrzeń.

Segheir-ben-Szeik skończył papierosa. Słyszę, jak miarowym krokiem wraca na swą matę w budynku B, na lewo obok warty.

Wyjazd nasz ma nastąpić 10 listopada. Rękopis dołączony do tego listu, został zaczęty w niedzielę, pierwszego, a skończony we czwartek, piątego listopada 1906.

Olivier Ferrieres

porucznik 3. pułku spahisów

¹ List ten i załączony do niego, specjalnie opieczętowany rękopis zostały powierzone sierżantowi Châtelain z 3. pułku spahisów przez porucznika Ferrieresa, 10. XI. 1903 r., w dniu wyjazdu tego oficera do Tassili, krainy, zamieszkałej przez Tuaregów i Azdżerów (Sahara Środkowa). Sierżant otrzymał polecenie oddać wszystko panu Leroux, radcy honorowemu sądu apelacyjnego w Riom, najbliższemu krewnemu porucznika Ferrieresa. Urzędnik ten zmarł nagle przed upływem dziesięcioletniego terminu, wyznaczonego na opublikowanie wspomnianego rękopisu, z czego też wynikły trudności, które opóźniły ogłoszenie go drukiem aż do dnia dzisiejszego. (Przyp. aut.)

² *hamada* (ar.) – pustynia kamienista.

³ *bordż* (ar. *burdż*) – niewielki fort.

⁴ Ze względu na nierealistyczny charakter powieści i jej scenerii pisownię nazwisk i nazw geograficznych pozostawiono jak w wydaniu z roku 1926. (Przyp. red.)

⁵ H. Duveyrier: *Tragiczny koniec misji Flatters*. Bull. Soc. Geog., 1881. (Przyp. aut.)

⁶ fotofor – lampion marokański.

I

PLACÓWKA NA POŁUDNIU

W sobotę, 6 czerwca 1903 roku, dwa różnej wagi zdarzenia przerwały monotonię życia placówki w Hassi-Inifel: nadejście listu od panny Cecylii de C... oraz świeżych numerów *Dziennika Urzędowego Republiki Francuskiej*.

— Pan porucznik pozwoli? — zapytał sierżant Châtelain, biorąc się do przejrzenia gazet, z których zerwał opaskę.

Przyzwoliłem skinieniem głowy, zatopiony już całkowicie w odczytywaniu listu panny de C.

Gdy list ten dojdzie do rąk pańskich — pisało to miłe dziewczę — mama i ja wyjedziemy już zapewne z Paryża na wieś. Jeśli w pańskim osamotnieniu świadomość, że nudzę się podobnie jak pan, może być pociechą, to niech się pan cieszy. Na wyścigach był już „Grand Prix”. Stawiałam na konia, którego mi pan wskazał i oczywiście przegrałam. Przedwczoraj byliśmy na obiedzie u państwa Martial de la Touche. Był tam też

wiecznie zadziwiająco młody Elias Chatrrian. Posyłam panu jego ostatnią książkę, która narobiła dużo wrzawy. Państwo Martial de la Touche są w niej podobno żywcem odmalowani. Dołączam też ostatnie rzeczy Bourgeta, Lotiego i France'a oraz kilka najmodniejszych w świecie kawiarniano-literackim nowości.

Co się tyczy polityki, to powiadają, że wprowadzenie w życie prawa o kongregacjach napotka na poważne trudności, W teatrach nic naprawdę nowego. Na lato zaprenumerowałam sobie „Illustration”... Jak się pan na to zapatruje? Na wsi nie wiadomo co robić. Nie będzie to więc z mojej strony żadną zasługą, że będę do pana często pisywała. Niech mi pan oszczędzi swoich spostrzeżeń o małym Combemale'u. Nie jestem ani trochę feministką i mam pełne zaufanie do tych, co twierdzą, że jestem ładna, a do pana w szczególności. Wściekam się jednak na samą myśl, że gdybym pozwoliła sobie z którymkolwiek z naszych wiejskich chłopaków na drobną tylko częśćkę tych poufałości, na jakie pan sobie z pewnością pozwala z kobietami Uled-Nails... Ale dajmy temu pokój. Bywają wyobrażenia nazbyt ubliżające...

Byłam właśnie w tym punkcie prozy tej młodej emancypantki, gdy pełen oburzenia okrzyk sierżanta zmusił mnie do podniesienia głowy.

— Panie poruczniku!

— Co takiego?

— A do diabła! Dobrzy sobie są ci ministrowie!

Niech pan czyta!

Podał mi *Dziennik Urzędowy*.

Na mocy rozporządzenia z dnia 1 maja 1903 roku —

czytałem — kapitan Andrzej de Saint-Avit zostaje odkomenderowany do 3. pułku spahisów i mianowany komendantem Hassi-Inifel.

Zły humor Châtelaina dochodził do niebывałych rozmiarów.

— Kapitan de Saint-Avit komendantem placówki! Placówki, której nie miano nigdy nic do zarzucenia! Uważają nas widocznie za miejsce zesłania.

Byłem podobnie zdumiony jak i mój podoficer. Jednocześnie jednak spojrzałem na złośliwy wyraz twarzy Gourruta, szeregowca z karnych oddziałów, którego zatrudnialiśmy jako pisarza: przerwał on pisanie i podслуchiwał ciekawie.

— Panie sierżancie, kapitan de Saint-Avit jest moim szkolnym kolegą — rzekłem sucho.

Châtelain skłonił się i wyszedł. Poszedłem za nim.

— No stary — rzekłem, uderzając go po ramieniu tylko bez gniewów. Pamiętaj, że za godzinę wyruszamy do oazy. Przygotuj naboje. Trzeba się na serio zabrać do poprawienia naszej kuchni.

Wróciwszy do biura, odprawiłem ruchem głowy Gourruta. Zostawszy sam, skończyłem prędko list panny de C, po czym, wzięwszy ponownie do ręki *Dziennik Urzędowy*, przeczytałem jeszcze raz rozporządzenie ministerstwa, wyznaczające placówce nowego szefa.

Już od pięciu miesięcy pełniłem tę funkcję i zaprawdę, dawałem sobie doskonale radę z ciężącą na mnie odpowiedzialnością i rozkoszowałem się swoją niezależnością. Nie chwając się, muszę nawet przyznać, że pod moim kierunkiem służba szła lepiej, aniżeli za czasów poprzednika Saint-Avita, kapitana Dieulivola. Kapitan

Dieulivol był to dzielny człowiek, oficer kolonialny starej daty, podoficer z Dodds i Duchesne, ale mający, niestety, wielką skłonność do wszelkich napojów wysokowych. Kiedy wypił, lubił mieszać wszystkie narzecza i prowadzić rozmowę z niejakim Haussą w murzyńskim narzeczu sakalave.¹ Nikt nie był oszczędniejszy od niego w zużywaniu wody placówki. Kiedy pewnego dnia przygotowywał sobie w towarzystwie sierżanta absynt – Châtelain, mając oczy utkwione w szklanekę kapitana, spostrzegł ze zdziwieniem, że zielona barwa likieru zbladła z powodu dolania większej niż zwykle ilości wody. Podniósł głowę, czując, że dzieje się coś niezwykłego. Kapitan Dieulivol siedział sztywno z karafką w dłoni i patrzył uparcie w wodę, która padała na cukier wielkimi kroplami. Był martwy.

Przez pięć miesięcy po śmierci tego sympatycznego pijaka zdawało się, że władze przełożone nie interesują się wcale kwestią naznaczenia na jego miejsce zastępcy. Łudziłem się nawet chwilami, że powzięto decyzję, aby mnie zostawić przy czynnościach, które faktycznie pełniłem... I oto nagle dzisiaj ta nieoczekiwana nominacja...

Kapitan de Saint-Avit. W Saint-Cyr był moim kolegą. Straciłem go z oczu. Potem przypomniałem sobie o nim dzięki jego szybkiemu awansowi i orderom, jakie otrzymał za trzy niezwykle śmiałe wyprawy, celem zbadania Tibesti i Airu. Aż oto zaszedł nagle ten tajemniczy dramat podczas jego czwartej podróży, owej sławnej wyprawy, przedsięwziętej z kapitanem Morhange, z której powrócił tylko jeden z badaczy.. We Francji szybko się zapomina. Od owego czasu upłynęło już sześć lat. Nic odtąd nie słyszałem o Saint-Avicie. Sądziłem nawet, że wystąpił z armii. A oto teraz ma zostać moim przełożonym.

— Ten, czy inny, wszystko jedno! — myślałem. — W szkole był przemiły i byliśmy zawsze w jak najlepszych stosunkach. Nie mam zresztą dostatecznych dochodów na to, ażeby zostać kapitanem.

Wyszedłem z biura, pogwizdując.

Złożywszy broń na ziemi, cokolwiek już mniej rozpalonej, Châtelain i ja znajdowaliśmy się nad sadzawką, która zajmowała środek niewielkiej oazy ukrytej poza lasem. Zachodzące słońce różowiło wąskie kanały stojącej wody, która zrasza ubogie pola osiadłych tam Czarnych.

Nie zamieniliśmy ani słowa przez całą drogę, ani słowa podczas polowania. Châtelain dąsał się widocznie.

W milczeniu upolowaliśmy kolejno kilka marnych turkawek, które, ledwie poruszając skrzydłami pod ciężarem upalnego dnia, nadciągały tutaj, aby ugasić pragnienie ciężką, zieloną wodą. Gdy już przytroczyliśmy pół tuzina tych drobnych, zakrwawionych ciał, położyłem rękę na ramieniu podoficera.

— Châtelain!

Drgnął.

— Châtelain, byłem przed chwilą brutalny. Wybacz mi. Była to zła godzina przed sjestą. Zła południowa godzina.

— Pan porucznik jest moim zwierzchnikiem — odparł tonem, który miał być mrukliwy, a wypadł pełen wzruszenia.

— Châtelain... nie gniewaj się... Masz mi coś do powiedzenia. Wiesz, co mam na myśli?

— Nie wiem nic... Doprawdy, nie wiem nic...

— Châtelain, Châtelain bądźmy rozsądni. Opowiedz mi coś o kapitanie de Saint-Avit.

— Nie wiem nic — odparł szorstko.

— Nic? A te słowa tam wypowiedziane?

— Kapitan de Saint-Avit jest dzielnym człowiekiem — mruknął z głową uparcie spuszczoną. — Zapuszczał się sam jeden do Bilmy, do Airu, sam jeden w okolice, gdzie nikt nigdy nie bywał. Bardzo jest dzielny!

— Dzielny jest bezsprzecznie — powiedziałem z nieskończoną słodyczą. — Ale zamordował swego towarzysza, kapitana Morhange'a — prawda?

Stary sierżant zadrżał.

— To dzielny człowiek — upierał się przy swoim.

— Nie bądź dzieckiem, Châtelain. Czy obawiasz się, abym nie doniósł twoich słów nowemu kapitanowi?

Trafiłem w jego słabą stronę. Podskoczył.

— Sierżant Châtelain nie boi się nikogo, panie poruczniku. Walczyłem przeciwko Amazonkom w Aborneyu, kraju, gdzie z każdego krzaka wysuwały się czarne ręce, z których jedna chwytiała za nogę, a druga odcinała ją jednym cięciem noża.

— Więc to, co mówią, co ty sam...

— Wszystkie to są puste słowa.

— Słowa, które powtarzają w całej Francji, Châtelain.

Opuścił głowę jeszcze niżej i nic nie odpowiedział.

— Czy powiesz nareszcie, ośla głowo! — zawołałem.

— Panie poruczniku, panie poruczniku, zapewniam pana, że wiem tyle co i nic...

— To, co wiesz, powiesz mi natychmiast. Jeśli nie, to daję ci słowo, że przez cały miesiąc nie odezwę się do ciebie poza służbą,

Hassi-Inifel: trzydziestu żołnierzy tubylców.
Czterech Europejczyków: ja, sierżant, jeden żołnierz i

Gourrut. Groźba była straszna. Wywarła odpowiednie wrażenie.

— Więc dobrze, panie poruczniku — zaczął z ciężkim westchnieniem. — Lecz proszę, nie będzie mi pan nigdy czynił wyrzutów, że rozповідаłem o komendancie rzeczy, o jakich nie należałoby wspominać, tym bardziej, że opierają się tylko na rozmowie w kasynie,

— Mów.

— Było to w 1899. Służyłem wówczas jako podoficer-kwatermistrz w Sfaksie, w 4. pułku spahisów. Miałem tam dobrą opinię, a że nie piłem wcale, więc kapitan, adiutant batalionowy, zrobił mnie gospodarzem kasyna oficerskiego. Istotnie, miejsce doskonale! Zakupy, rachunki, wydawanie książek z biblioteki (nie było ich dużo) i klucz od szafy z trunkami, gdyż w tym wypadku nie można zaufać ordynansom. Pułkownik był kawalerem i stołował się w kasynie. Pewnego wieczora spóźnił się, siadł nachmurzony i poprosił o ciszę.

— Panowie — rzekł — mam wam do zakomunikowania pewną sprawę, w której musicie się wypowiedzieć. Chodzi o to, że jutro przybywa do Sfaksu statek *Ville-de-Naples*. Jedzie na nim kapitan de Saint-Avit, który udaje się do Feriany, aby tam objąć swój posterunek.

Pułkownik przerwał. Aha, pomyślałem, trzeba będzie ułożyć na jutro odpowiednie menu. — Zna pan bowiem, panie poruczniku, zwyczaj istniejący w Afryce od czasu powstania kasyn oficerskich? Jeśli przejeżdża jakiś oficer, wszyscy koledzy idą po niego na statek i zapraszają do kasyna na cały czas postoju. Gość odwdzięcza się za to wiadomościami z kraju. W takim dniu robi się wielkie przygotowania nawet dla zwykłego porucznika. W Sfaksie przejazd oficera znaczył: jedno danie więcej oraz dużo

dobrego wina.

Tym razem jednak wywnioskowałem ze spojrzeń, jakie zamienili pomiędzy sobą oficerowie, że może najlepsze wino zostanie w szafie.

— Wszyscy panowie słyszeliście zapewne o kapitanie de Saint-Avicie i znacie te pogłoski, jakie o nim krążyły. Nie do nas należy sprawdzać je; awans jego i order, jaki otrzymał, pozwalają nam nawet sądzić, że są one bezpodstawne. Ale pomiędzy podejrzeniami oficera o zbrodnię, a goszczeniem go w naszym gronie jako kolegi istnieje przepaść, której nie jesteśmy obowiązani przebywać. O tej właśnie sprawie chciałbym usłyszeć zdanie panów.

Zapanowało milczenie. Oficerowie spoglądali na siebie. Wszyscy nagle spoważniali, nawet najweselsi i najmłodszy podporucznicy. Siedziałem cichutko w swoim kącie, zdając sobie sprawę, że o mnie zapomniano, starając się najłżejszym nawet ruchem nie zdradzić swojej obecności.

— Dziękujemy panu, panie pułkowniku — ozwał się wreszcie jakiś major — że byłeś tak łaskaw zasięgnąć w tej sprawie naszego zdania. Wszyscy moi koledzy wiedzą niewątpliwie, o jakich przykrych pogłoskach pan wspominał. Pozwolę sobie zaznaczyć, że w Paryżu, w Wojskowej Służbie Geograficznej, gdzie znajdowałem się przed przybyciem tutaj, wszyscy najpoważniejsi nawet oficerowie mieli o tej smutnej sprawie ustaloną opinię, której nie precyzowali, ale która nie była pochlebna dla kapitana de Saint-Avita.

— Byłem w Bommbako podczas misji Morhange'a i Saint-Avita — rzekł jeden z kapitanów. — Opinia tamtejszych oficerów różniła się, niestety, bardzo mało od

tej, jaką wypowiedział pan major. Zaznaczam jednak, że wszystko oparte było na podejrzeniach. A podejrzenia są naprawdę niedostateczne, gdy się pomyśli o całej potworności tej sprawy.

— Wystarczy jednak aż nadto — odparł pułkownik — aby usprawiedliwić naszą nieobecność. Nie ma tu mowy o żadnym sądzie nad nim, ale nie mamy obowiązku przyjmować go u naszego stołu. Byłby to znak koleżeńszego szacunku. Chodzi mi więc o to, czy uważacie panowie, że jesteśmy obowiązani złożyć go panu de Saint-Avitowi?

Powiedziawszy to, popatrzył kolejno na wszystkich swoich oficerów. Każdy z nich zrobił kolejno przeczący ruch głową.

— Widzę, że jesteśmy jednego zdania — podjął znowu. — Zadanie nasze nie jest na nieszczęście skończone. Okręt *Ville-de-Naples* zawinie jutro rano do portu. O ósmej rano wyrusza z portu szalupa po pasażerów. Jeden z panów musi się poświęcić i udać na statek. Kapitan de Saint-Avit mógłby powziąć projekt przybycia do kasyna. Nie chciałbym go narażać na afront nieprzyjęcia go, gdyby w imię tradycji zjawił się tutaj. Trzeba uprzedzić jego przybycie. Trzeba mu dać do zrozumienia, że lepiej zrobi, jeśli zostanie na pokładzie.

Pułkownik spojrział znowu na oficerów. Musieli zgodzić się z nim, widać jednak było, że jest im wszystkim niemiło.

— Nie łudzę się, że znajdę pomiędzy panami ochotnika do wypełnienia tego rodzaju misji. Muszę więc kogoś wyznaczyć. Panie kapitanie Grandjean, pan de Saint-Avit jest kapitanem. Wypada, aby dowiedział się o naszej decyzji z ust oficera tego samego stopnia co jego.

Zmuszony więc jestem właśnie pana wybrać do spełnienia tego przykrego obowiązku. Nie potrzebuję chyba prosić, aby go pan wypełnił jak można najogólniej.

Kapitan Grandjean uklonił się. Z piersi wszystkich wyrwało się westchnienie ulgi. Jak długo pułkownik był obecny, Grandjean trzymał się na uboczu, nie mówiąc ani słowa. Ale gdy ów wyszedł, wypowiedział te słowa:

— Są rzeczy, które powinny zaważyć na awansie!

Nazajutrz przy śniadaniu wszyscy oczekiwali z niecierpliwością powrotu kapitana Grandjeana.

— Jakże tam? — zapytał krótko pułkownik.

Kapitan Grandjean nie odpowiedział od razu. Siadł przy stole, przy którym koledzy jego szykowali sobie napoje, i on, z którego abstynencji pokpiwano sobie nieraz, wypił, nieomal duszkiem, szklanek absyntu, nie czekając nawet, żeby się cukier dobrze rozpuścił.

— Cóż, kapitanie? — powtórzył pułkownik.

— Zrobione, panie pułkowniku. Możecie panowie być spokojni. Kapitan de Saint-Avit nie wylądował. Ale, mój Boże, co za przykra sprawa!

Oficerowie nie śmieli się odezwać. W oczach ich tylko malowała się pełna niepokoju ciekawość.

Kapitan Grandjean nalał sobie szklanek wody.

— Po drodze, w szalupie, obmyśliłem sobie całe przemówienie. Ale gdym wchodził na okręt, czułem, że wszystko mi z głowy uleciało. Saint-Avit siedział z komendantem statku w palarni. Miałem wrażenie, iż nie stanie mi sił, aby mu powiedzieć, o co chodzi, tym więcej, że zastałem go gotowego do wylądowania. Był galowo ubrany, przy szabli i w ostrogach. Na okręcie nie nosi się ostróg. Przedstawiłem mu się, zamieniliśmy ze sobą kilka zdań, musiałem jednak mieć minę bardzo zakłopotaną, bo

od pierwszej chwili zrozumiałem, że odgadł, o co chodzi. Pod jakimś pozorem opuścił komendanta i poprowadził mnie na tył statku. Tam ośmieliłem się przemówić. Co powiedziałem? Wyjąkałem coś... Nie patrzył na mnie. Oparty o balustradę, błądził oczyma po morskiej przestrzeni i uśmiechał się. Aż nagle, kiedy się w swoim tłumaczeniu bardzo plątałem, zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem i rzekł:

— Dziękuję wam, drogi kolego, za trud, jakiegoście się podjęli. Był on naprawdę zbyteczny. Jestem zmęczony i nie mam zamiaru lądować. Cieszy mnie jednak bardzo, że miałem okazję poznać pana. Ponieważ nie mogę korzystać z gościnności panów, to może zechce pan uważać się za mego gościa, dopóki szalupa nie będzie wracała do lądu.

Wróciliśmy do palarni. Sam osobiście przygotował koktajle. Zaczęliśmy rozmawiać, odnaleźliśmy wspólnych przyjaciół. Nie zapomnę nigdy tej twarzy, tego ironicznego spojrzenia, tego smutnego i łagodnego głosu. Panie pułkowniku, panowie koledzy, nie wiem, co opowiadają w Wojskowej Służbie Geograficznej albo na placówce w Sudanie... Ale wszystko to musi być straszliwą pomyłką. Ten człowiek miałby być winien takiej zbrodni! Wierzcie mi, że to niemożliwe.

— Oto wszystko, panie poruczniku — dodał Châtelain po chwili milczenia. — Nigdy nie widziałem smutniejszego obiadu jak wówczas. Oficerowie jedli pośpiesznie, nie mówiąc ani słowa. W sali panowała ciężka atmosfera, której nikt nie próbował przeciwdziałać. Wśród tego milczenia spojrzenia kierowały się w kierunku morza, gdzie w odległości mili morskiej tańczył na wietrze okręt *Ville-de-Naples*. Stał on jeszcze wieczorem, gdy zebrano się na obiad. I dopiero, gdy ozwała się syrena i z czarno-

czerwonego komina dobyły się kłęby dymu oznajmiające odjazd okrętu do Gabes, poczęto znowu rozmawiać, ale nie tak wesoło jak zwykle. Od tej pory unikano jak zarazy w kasynie w Sfaksie wszelkiego tematu, który mógł naprowadzić rozmowę na osobę kapitana de Saint-Avita.

Châtelain mówił przyciszonym głosem i ptactwo oazy nie słyszało jego osobliwego opowiadania. Godzina upłynęła już od chwili, gdy przestaliśmy strzelać. Ośmielone turkawki gromadziły się znów nad wodą. W cieniu palm krążyły olbrzymie tajemnicze ptaki. Chłodniejszy nieco wietrzyk kołysał liśćmi ponurych palm. Zdjęliśmy kaski, aby lekki wietrzyk odświeżył nieco nasze skronie.

— Châtelain — rzekłem — pora wracać do bordżu.

Wolno pozbieraliśmy zabite turkawki. Czułem ciężący na mnie wzrok podoficera, wzrok pełen wyrzutu i jakby żalu, że skłoniłem go do mówienia. W ciągu całej powrotnej drogi nie potrafiłem zdobyć się na tyle siły, ażeby jednym słowem przerwać to przykre milczenie.

Była już prawie noc, gdyśmy przybyli do domu.

Można było jeszcze dojrzeć powiewający w górze nad budynkami placówki sztandar, ale kolorów nie można już było rozróżnić. Na zachodzie, za szczybatymi diunami, na ciemnofiołkowym niebie, zgasło słońce.

U wejścia do fortu opuścił mnie Châtelain.

— Idę do stajni — rzekł.

Zostawszy sam, poszedłem do tej części budynków, gdzie były mieszkania Europejczyków i skład amunicji. Było mi niewymownie smutno.

Myślałem o swoich kolegach stacjonowanych we Francji: wracają pewno o tej porze do domu, żeby się przebrać w przygotowany już na łóżku wieczorowy strój,

szamerowany dolman z błyszczącymi epoletami.

— Zaraz jutro wniosę podanie o przeniesienie — pomyślałem.

Na schodach było już zupełnie ciemno. Ale w kancelarii płonęło jeszcze blade światelko, kiedy do niej wszedłem.

Przy biurku moim siedział schylony nad papierami jakiś człowiek. Był do mnie odwrócony plecami i nie słyszał jak wszedłem.

— Nie przeszkadzaj sobie, proszę cię, Gourrut. Bądź jak u siebie.

Mężczyzna wstał. Był dość słuszny, smukły i blady.

— Porucznik Ferrieres, wszak prawda?

Postąpił krok naprzód i wyciągnął do mnie rękę.

— Jestem kapitan de Saint-Avit. Bardzo mi przyjemnie, panie kolego.

W tej samej chwili stanął na progu Châtelain.

— Panie sierżancie — ozwał się ostro nowo przybyły kapitan — to co dotychczas zdążyłem zobaczyć, nie przynosi panu zaszczytu. Przy każdym siodle brakuje sprzączki, a karabiny wyglądają tak, jakby tu w Hassi-Inifel padał deszcz przez trzysta dni na rok. Zresztą, gdzie pan był przez całe popołudnie? Na czterech Francuzów, których liczy placówka, znalazłem, przyjechawszy, tylko szeregowca z karnych oddziałów siedzącego nad kwartą wódki. Wszystko to musi się zmienić — wszak prawda? Odejść!

— Panie kapitanie — rzekłem zmienionym głosem, podczas gdy osłupiały Châtelain stał ciągle na baczność — melduję posłusznie, że sierżant był ze mną, że ja ponoszę odpowiedzialność za jego nieobecność, że jest on wzorowym podoficerem i że gdybyśmy byli uprzedzeni o

pańskim przybyciu...

— Oczywiście — odparł Saint-Avit z chłodno ironicznym uśmiechem. — Toteż nie mam zamiaru, panie poruczniku, czynić go wyłącznie odpowiedzialnym za niedbalstwo, które może być zapisane na pański rachunek. Nie jest on obowiązany wiedzieć, że oficer, który opuszcza taką placówkę jak Hassi-Inifel, choćby tylko na przeciąg dwu godzin, naraża się na to, że, powróciwszy, może wielu rzeczy nie zastać. Rabusie Chaamba lubią bardzo, drogi kolego, broń palną i żeby zawładnąć tymi kilkudziesięcioma karabinami jakie masz tu na składzie, gotowi są, bez żadnych skrupułów, skorzystać z nieobecności oficera o najlepszej zresztą opinii, narażając go nawet na stawienie przed sąd wojenny. Pozwólcie ze mną kolego. Dokonamy tej drobnej inspekcji, której mogłem dotychczas dokonać tylko bardzo pobieżnie.

Był już na schodach. Pośpieszyłem za nim bez słowa. Châtelain zamykał pochód. Słyszałem, jak mruczał łatwym do odgadnięcia tonem:

— No, no, będzie tu teraz wesoło!

¹ *...prowadzić rozmowę z niejakim Haussą w murzyńskim narzeczu sakalave* – Fragment ten pokazuje, jak dalece fikcyjne są przytaczane przez autora dane dotyczące miejsca akcji. Hausańczycy (lud Hausa) zamieszkują północną Nigerię i południowy Niger, natomiast dialekt sakalava języka malgaskiego jest używany na Madagaskarze.

II

KAPITAN DE SAINT-AVIT

Zaledwie kilka dni wystarczyło, aby nas przekonać, że obawy Châtelaina co do stosunków służbowych z nowym szefem były płonne. Myślałem nawet, że Saint-Avit wystąpił tak brutalnie pierwszego dnia po to, aby od razu nas opanować i przekonać, że potrafi dźwigać cały ciężar swej przeszłości z podniesioną głową... Nazajutrz po przybyciu był już zupełnie inny i wyraził nawet uznanie sierżantowi za staranie około porządku na placówce i za wyszkolenie ludzi.

W stosunku do mnie okazał się przemiły.

— Byliśmy razem w szkole, prawda? — rzekł do mnie. — Nie potrzebuję cię upoważniać do tego, abyś mnie tykał. Takie bowiem jest prawo.

Była to jednak tylko czcza forma i pozór wzajemnego zaufania i szczerości jednego względem drugiego.

Czy może być pozornie coś bardziej dostępnego niż olbrzymia Sahara, stojąca otworem dla każdego, co chce się w głąb zapuścić? A jednocześnie czy istnieje coś

bardziej niedostępnego? – Po sześciu miesiącach współżycia i wspólnoty, jaką wytwarza placówka na południu, zdaje mi się, że najoryginalniejszą stroną mojej przygody jest to, że wyruszam jutro w niezbadane, samotne przestrzenie, z człowiekiem, którego dusza jest mi równie obca, jak te bezmiary, do których tęsknotę potrafił we mnie rozbudzić.

Pierwszą niespodzianką, jaka mnie spotkała ze strony tego dziwnego towarzysza, był bagaż, który w ślad za nim nadszedł.

Gdy zjawił się u nas nagle, przybywszy samotnie z Uargli, miał ze sobą na wielbłądzie, którego rzadko dosiadał, tylko to, co mogło udźwigać to wrażliwe zwierzę: szablę, rewolwer służbowy, solidny karabin i trochę rzeczy najniezbędniejszych. Reszta przyszła dopiero w piętnaście dni później, razem z transportem żywności dla placówki.

Trzy poważnych rozmiarów skrzynie zostały kolejno wniesione do pokoju kapitana, a miny tragarzy świadczyły wymownie o ich ciężarze.

Usunąłem się dyskretnie, pozostawiając Saint-Avita jego zajęciu, i wziąłem się do przeglądania poczty, którą przywieziono.

Wrócił po chwili do biura i spojrzał na pisma, jakie otrzymałem.

— A! — rzekł — przysyłają ci to?

I równocześnie począł przerzucać ostatni numer *Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde in Berlin*.

— Tak jest — odparłem — panowie ci raczą się interesować moimi pracami nad geologią Ued-Mia i górnego Ighargharu.

— Może mi się to przydać — szepnął, przeglądając dalej pismo.

— Jest całkowicie do twojej dyspozycji.

— Dziękuję. Obawiam się, że nie będę ci mógł nic w zamian za to ofiarować, chyba za wyjątkiem może Pliniusza... Jednak znasz zapewne równie dobrze jak ja to, co mówi on o Ighargarze po królu Jubie. Zresztą chodź i pomóż mi w rozlokowaniu tego wszystkiego, może znajdziesz coś, co ci będzie odpowiadało.

Nie dałem się długo prosić.

Zaczęliśmy od wypakowywania rozmaitych przyrządów, meteorologicznych i astronomicznych: termometrów Baudina, Sallerona i Fasego, aneroidu, barometru Fortina, chronometrów, lunety astronomicznej, busoli z lunetą... Krótko mówiąc, wszystkiego tego, co Duveyrier nazywa materiałem najprostszym i najłatwiej przenośnym na grzbiecie wielbłąda.

W miarę jak mi Sain-Avit te instrumenty podawał, ustawiałem je na jedynym stole, znajdującym się w pokoju.

— Teraz — rzekł — zostały tylko książki. Będę ci je podawał i układaj je stosami w kącie pokoju. Niech tam leżą, dopóki mi nie zrobią półek.

Przez dwie godziny pomagałem mu w wyładowywaniu biblioteki. I co za biblioteki! Żaden posterunek na Południu jeszcze takiej nie widział.

W czterech ścianach tego pokoju zgromadzone było wszystko, cokolwiek o Saharze napisane zostało. Był tam naturalnie Herodot i Pliniusz, także Strabon, Ptolomeusz, Pomponiusz Mela i Aramien Marcelin. Obok tych nazwisk, które przemawiały nawet do mojego zupełnego w tym kierunku nieuświadomienia, były tam dzieła Corippusa, Pawła Orose, Erastotena, Fotiusa, Diodora z Sycylii, Solona, Diona Cassiusa, Izydora z Sewilli, Marcina z Tyru, Etikusa, Atenaeosa. Były *Scriptores Historiae Augusta*,

Itinerarium Antonini Augusti, Geographi latini minores Riesa, *Geographi groeci minores* Karola Müllera... Obecnie zdążyłem się już obeznać z Agatarchidem z Cos i Artemidorem z Efezu, przyznając się jednak, że wówczas zrobiła na mnie obecność tych wszystkich studiów na kwaterze kapitana kawalerii pewne wrażenie.

Wyliczę jeszcze *Descrittione dell Africa Leona Afrykańczyka*, historie Arabskie Ibn-Khalduna, Al-Jaquba, El-Bekriego, Ibn-Batuty, Mohammeda Et-Tunisi... Spośród całej tej wieży Babel przypominam sobie zaledwie dwa tomy, noszące na sobie nazwiska współczesnych uczonych francuskich. Były to tezy łacińskie Berliouxa¹ i Schirmera².

Układając te stopy najróżnorodniejszych formatów, myślałem sobie:

— A ja sądziłem zawsze, że podczas wyprawy swojej z Morhangem zajmował się Saint-Avit przede wszystkim obserwacjami naukowymi. Albo w dziwny sposób pamięć mnie zawodzi, albo zmienił od tej pory przedmiot studiów. Faktem jest, że wśród tych wszystkich szpargałów nie ma nic dla mnie.

Musiał wyczytać malujące się na mej twarzy zdumienie, odezwał się bowiem głosem, w którym dźwięczała jakaś podejrzliwa nuta:

— Dziwi cię może dobór książek?

— Nie mam prawa się dziwić — odparłem — nie wiem bowiem w jakim celu je zgromadziłeś. Mogę tylko stwierdzić z całą pewnością, że nigdy jeszcze nie posiadał oficer z placówek arabskich biblioteki, w której by nauki humanistyczne tak silnie były reprezentowane.

Uśmiechnął się wymijająco i dnia tego nie rozmawialiśmy już więcej na ten temat.

Pośród książek Saint-Avita zauważyłem duży zeszyt

zamknięty na solidny zamek. Kilkakrotnie też widziałem go robiącego w tym kajecie notatki. Gdy dla jakiegokolwiek powodu musiał opuścić swój pokój, zamykał starannie kajet w małej szafeczce z białego drewna. A gdy nie pisał i służba nie wymagała koniecznie jego obecności, kazał siodłać wielbłąda na którym tu przybył i w kilka minut później widziałem z tarasu, jak dwie sylwetki znikwały śpiesznie na horyzoncie poza fałdami czerwonej ziemi.

Wycieczki te stawały się za każdym razem coraz dłuższe. Z każdej z nich powracał silnie podniecony, co mogłem obserwować z coraz większym niepokojem podczas obiadu, to jest w jedynej porze dnia, gdy owo podniecenie silniejsze było niż zwykle. Nie jest bezpiecznie znajdować się w łodzi podwodnej, której komendant używa opium. Ale co też może być narkotykiem Saint-Avita?

Nazajutrz przejrzałem pośpiesznie szuflady mego kolegi. Inspekcja ta, którą uważałem za swój obowiązek, uspokoiła mnie chwilowo.

— Nie nosi chyba ze sobą tubki z narkotykiem i strzykawki Pravaza — pomyślałem.

Sądziłem wówczas jeszcze, że wyobraźnia Andrzeja musi być podniecona sztucznymi środkami podniecającymi.

Ścisła obserwacja wyprowadziła mnie z błędu. Nie dostrzegłem nic podejrzanego. Saint-Avit nie pił i palił bardzo mało.

A jednak nie ulegało wątpliwości, że niepokojące podniecenie wzrastało coraz bardziej. Z wędrówek swoich powracał z oczami coraz więcej błyszczącymi. Stawał się coraz bledszy, rozmowniejszy i bardziej podrażniony.

Pewnego dnia wyjechał o godzinie szóstej, gdy upał

począł słabnąć. Czekaliśmy nań całą noc. Niepokoilem się tym więcej, że w ostatnich czasach zawiadamiały nas karawany, iż w pobliżu placówki krążą bandy rabusiów.

Świtało już, a jego nie było jeszcze. Wrócił dopiero koło południa. Wielbłąd jego rzucił się na ziemię ze zmęczenia.

Wzrok Andrzeja padł przede wszystkim na oddziałek, który sformowałem, celem szukania go, a który w pełnym składzie ludzi i zwierząt zebrany był na podwórzu pomiędzy bastionami.

Zrozumiał, że się musi wytłumaczyć. Poczekał jednak do chwili, gdyśmy się znaleźli sami przy śniadaniu.

— Przykro mi bardzo, żeście się tu o mnie niepokoili. Ale diuny w świetle księżycowym były tak piękne!... Zapuściłem się dość daleko.

— Mój drogi, nie mam prawa robić ci wyrzutów. Masz swobodę i jesteś tu przełożonym. Pozwól jednak, żebym ci przypomniiał pewne słowa o opryszkach Chaamby i o przykrościach, jakie może mieć komendant placówki, jeśli się nazbyt długo wydała.

Uśmiechnął się.

— Lubię, gdy kto ma dobrą pamięć — odpowiedział po prostu,

Był w doskonałym humorze,

— Nie gniewaj się. Wyjechałem jak zwykle na krótką przejażdżkę. Nagle ukazał się księżyc. I wtedy poznałem krajobraz. Stąd właśnie wyruszył, w listopadzie będzie temu dwadzieścia trzy lata, Flatters i podążył za swoim przeznaczeniem z całą gorzką i niezmierną rozkoszą przeświadczenia, że jest to droga bezpowrotna.

— Dziwne upodobanie, jak na kierownika wyprawy — szepnąłem.

— Nie mów źle o Flattersie. Nikt tak jak on nie ukochał pustyni... pokochał ją na śmierć...

— Palat i Duls, nie mówiąc o innych, kochali ją także — odparłem. — Ale narażali tylko siebie. Odpowiadali wyłącznie za swoje życie, byli wolni. Tymczasem Flatters ponosił odpowiedzialność za sześćdziesiąt egzystencji. Nie zaprzeczysz chyba, że wydał na zagładę całą misję.

Zaledwie wypowiedziałem to ostatnie zdanie, już go żałowałem. Przypomniało mi się opowiadanie Châtelaina o tym, że w kasynie oficerskim w Sfaksie unikano jak zarazy wszelkiej rozmowy mogącej potrącić o misję Morhange'a-Saint-Avita.

Zauważyłem na szczęście, że towarzysz mój nie słuchał. Jego błyszczące oczy patrzyły w dal.

— Jaki był twój pierwszy przydział? — zapytał nagle.

— Auxonne.

Zaśmiał się nerwowo.

— Auxonne. Złote wybrzeże. Departament Dijon, sześć tysięcy mieszkańców, kolej żelazna. Szkoła plutonowa i przeglądy szczegółowe. Żona dowódcy szwadronu przyjmuje we czwartki, a kapitana, adiutanta batalionowego, w soboty. Co do niedzieli: pierwszą w miesiącu wolno spędzić w Paryżu, trzy inne w Dijon. Teraz rozumiem twój sąd o Flattersie. Mój pierwszy przydział był w Boghar. Tam to wylądowałem pewnego październikowego poranku jako dwudziestoletni podporucznik 1. batalionu Afrykańskiego, mając na czarnym rękawie biały pasek. *Flaki w słońcu*, jak nazywają galernicy oznaki swoich podoficerów. Boghar! Już na dwa dni przedtem dojrzałem z pokładu statku ład afrykański.

Żał mi tych wszystkich, co ujrzawszy po raz pierwszy mętne zarysy jego skał, nie odczuwają wzruszenia na myśl, że łąd ten ciągnie się na miliardy, miliardy wiorst... Byłem wówczas jeszcze prawie dzieckiem, miałem pieniądze i kilka dni wolnych. Mogłem spędzić w Algierze kilka dni na zabawie. A jednak jeszcze tegoż samego dnia wieczorem siadłem do pociągu zdążającego do Berruaghii.

Tam, o sto kilometrów ledwie od Algieru, kończy się droga żelazna. W prostej linii pierwsza znajduje się dopiero na *Cap*. Poczta konna kursuje, ze względu na upały, w nocy. Po drodze wysiadłem i szedłem pieszo obok pojazdu, starając się wyczuć w tej nowej atmosferze pieszczotę powitalnego tchnienia pustyni.

Pierwszy odpoczynek był około północy w *Obozie Żuawów*. Jest to skromna placówka, położona przy drodze nad groblą, ponad wyschniętą doliną, z której unoszą się upojne zapachy oleandrów. Był tam oddział karnych formacji, prowadzony przez strzelców i żołnierzy trenu głęboko na kamieniste południe. Jedni – filary więzień Algieru i Duery – byli w mundurach, naturalnie bez broni, inni po cywilnemu. Ci cywile, to rekruci z ostatniego roku, młodzi sutenerzy z Chapelle i z Goutte-d’Or!

Wyruszyli w dalszą drogę przed nami. Ale dyliżans dogonił ich. Widziałem z oddali, w przeblysku księżyca, na tle żółtej drogi, ich zbitą, czarną masę w obramowaniu konwoju. Potem usłyszałem jakieś głuchoe dźwięki. Nędzarze śpiewali. Jeden z nich śpiewał smutnym, gardłowym głosem zwrotkę piosenki, której dźwięki unosiły się złowieszczo w błękitnej przestrzeni:

*Maintenant qu'elle est grand
Elle fait le trottoir*

*Avec ceux de la band
À Richard Lenoir.*

— A reszta podchwytywała chórem straszliwy refren:

*À la Bastille, à la Bastille
On aimé bien, on aimé bien
Nini Peau d'Chien;
Elle est si belle et si gentille
À la Bastille.*

Gdy dylizans ich mijał, przyjrzałem im się z bliska. Byli straszni. Oczy ich świeciły złowrogim blaskiem. Twarze mieli blade i wygolone. Gorący kurz tłumił im w gardle ochryple głosy. Opanował mnie rozpaczliwy smutek.

— Przyszedłem do siebie dopiero wtedy, gdy powóz wyprzedził tę zmoreę.

Dalej, dalej na południe! — myślałem w duchu. — Tam, dokąd nie sięgają nikczemne odpływy odpadków cywilizacji.

Ilekoć jestem zmęczony, gdy przychodzą na mnie chwile zniechęcenia i bierze mnie ochota usiąść na drodze, jaką sobie wybrałem, przypominam sobie karny oddział z Berrughii i zaraz ruszam dalej.

I jak sownie zostaję wynagrodzony, gdy znajdę się w jednym z tych miejsc, gdzie zwierzęta nie płoszą się, bo nigdy jeszcze nie widziały człowieka, gdzie pustka dokoła jest tak bezmierna, że stary świat mógłby runąć w przepaść, a nie ostrzegłaby mnie o tym ani jedna zmarszczka diuny, ani jedna chmurka na białym niebie.

— To prawda — szepnąłem — i ja także odczułem

to niegdyś na pełnej pustyni w Tidi-Kelt.

Do tej pory nie przerywałem mu uniesienia. Zbyt późno zrozumiałem, jaki błąd popełniłem, wtrącając to nieszczęsne zdanie.

Zaśmiał się znowu swoim złym, nerwowym śmiechem.

— W Tidi-Kelt, naprawdę? Proszę cię, mój drogi, w twoim własnym interesie, jeśli nie chcesz się ośmieszać, to unikaj tego rodzaju reminiscencji. Przypominasz mi Fromentina lub tego biedaka Maupassanta, który mówił o pustyni, ponieważ dotarł aż do Dieffa o dwa dni drogi od ulicy Bab-Azun i placu Gubernatorskiego, a o cztery dni od Avenue de l'Opera; i który, zobaczywszy w pobliżu Bu-Saada jakiegoś nieszczęsnego, zdychającego wielbłąda, wyobraził sobie, że jest w głębi Sahary, na pradawnym szlaku karawan, Tidi-Kelt i pustynia!

— Zdaje mi się jednak, że In-Salah... — rzekłem nieco podrażniony.

— In-Salah? Tidi-Kelt? Ależ mój drogi, kiedy przejeżdżałem tamtędy po raz ostatni, znalazłem tam tyleż starych gazet i próżnych pudełek od sardynek, co w niedzielę w lasku Vincennes.

Stronniczość i widoczna chęć dotknięcia wyprowadziły mnie z równowagi.

— Zapewne — odparłem złośliwie — ja nie dotarłem aż do...

Zatrzymałem się. Ale było już za późno.

Patrzył mi prosto w oczy.

— Dokąd? — zapytał łagodnie.

Nie odpowiedziałem.

— Dokąd? — powtórzył jeszcze.

A gdy milczałem uporczywie:

— Aż do Ued-Tarhid? — dokończył sam.

Na stromej skarpie, w Ued-Tarhid, w odległości stu kilometrów od Timissao, pod 23° czy 25° szerokości północnej, był, według oficjalnego raportu, pochowany kapitan Morhange.

— Przysięgam ci Andrzej! — krzyknąłem niezręcznie.

— Co mi przysięgasz?

— Że nie miałem najłżejszego zamiaru...

— Mówić o Ued-Tarhid? Dlaczego? Dlaczego nie miałoby się mówić wobec mnie o Ued-Tarhid?

Wzruszył ramionami wobec mego błagalnie zakłopotanego milczenia.

— Idiota — powiedział po prostu.

I odszedł, zanim zdołałem coś odpowiedzieć.

Cała moja pokora nie zdołała go rozbroić. Przekonałem się o tym nazajutrz, a sposób, w jaki zmanifestował swoje usposobienie względem mnie, był dość niesmaczny.

Zaledwie zdążyłem wstać, gdy wszedł do mego pokoju.

— Czy możesz mi wytłumaczyć, co to znaczy? — zapytał.

Miał w ręku jeden z rejestrów administracyjnych. W okresach nerwowego podrażnienia przeglądał je w nadziei, iż znajdzie powód, aby się okazać nieznośnym pod względem wojskowej dyscypliny.

Tym razem przypadek mu sprzyjał.

Otworzył rejestr. Zaczerwieniłem się gwałtownie, ujrawszy tam słabo utrwaloną odbitkę, dobrze mi znanej fotografii.

— Co to jest? — powtórzył pogardliwym tonem.

Nazbyt często zastawałem go w mym pokoju, przyglądającego się bez żadnej sympatii fotografii panny de C., abym nie był przekonany, że zupełnie świadomie szuka teraz zaczepki.

Powstrzymałem się jednak i schowałem do szuflady nieszczęsną odbitkę.

Ale spokój mój nie był mu po myśli.

— Proszę cię, staraj się odtąd nie rozwłóczyć swoich czułych pamiątek po urzędowych papierach — rzekł. — Nie należy dostarczać Gourrutowi środków podniecających — dorzucił z beczelnym uśmiechem.

— Andrzej — rzekłem, blednąc — zakazuję ci...

Wyprostował się dumnie.

— Co takiego? To mi dopiero. Pozwoliłem przecie mówić o Ued-Tarhid, prawda? Sądzę więc, że ja mam prawo...

— Andrzej!

Przyglądał się teraz szyderczo wiszącemu na ścianie portretowi, z którego odbitkę schowałem przed chwilą.

— Ta... ta... ta... Nie złość się, proszę! Ale mówiąc między nami, przyznaj, że jest trochę za chuda.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wyszedł, nucąc swój wczorajszy wszeteczny refren:

*À la Bastille, à la Bastille,
On aimé bien, on aimé bien
Nini Peau d'Chien...*

Przez trzy dni nie przemówiliśmy do siebie ani słowa. Rozpacz moja nie miała granic. Czy mogę być odpowiedzialny za to, że na dwa zdania, jedno brzmiało zawsze jak aluzja.

— Taka sytuacja jest nie do zniesienia — powiedziałem sobie — i nie może dłużej trwać.

I rzeczywiście wkrótce nastąpiła zmiana.

W tydzień po scenie z fotografią przyjechał kurier. Zaledwie zdążyłem rzucić okiem na *Zeitschrift*, owo niemieckie czasopismo, o którym już wspominałem, gdy aż skoczyłem ze zdumienia. Oto co przeczytałem: *Reise und Entdeckungen zwei französischer Offiziere, Rittmeisters Morhange und Oberleutnants de Saint-Avit im westlichen Sahara*.

W tej samej chwili usłyszałem głos mego kolegi.

— Czy jest w tym numerze coś ciekawego?

— Nie — odparłem niedbale.

— Pokaż.

Posłuchałem. Cóż innego mogłem zrobić?

Miałem wrażenie, że, przeglądając gazetę, zbladł,

Mimo to rzekł tonem najbardziej naturalnym:

— Pożyczysz mi to, prawda? — I wyszedł, rzucając mi spojrzenie pełne nieufności.

Dzień włókł się wolno. Zobaczyłem go dopiero wieczorem. Był wesoły, bardzo nawet wesoły, wesołością, która robiła na mnie przykre wrażenie.

Po skończonym obiedzie wyszliśmy przypatrywać się z tarasu, oparci o jego balustradę. W kierunku wschodnim był stamtąd widok na pustynię, która poczęła już pogrążyć się w mroku,

Andrzej pierwszy przerwał milczenie.

— Ach, właśnie, oddałem ci już gazetę. Miałaś rację, nie ma nic ciekawego.

Wyglądał na serdecznie ubawionego.

— Co ci jest? Co?

— Nic — odparłem przez ściśnięte gardło,

— Nic? Czy chcesz, żebym ja ci powiedział, co ci jest?

Spojrzałem nań błagalnie.

Wzruszył ramionami. Zdaje się, że powtórzył: *idiotą*.

Noc zapadła szybko. Tylko stroma skarpa południowa w Ued-Mia była jeszcze żółta. W oddali ozwało się nagle złowieszcze zawodzenie młodego szakala.

— *Dib* płacze bez powodu, to zła wróżba — rzekł Saint-Avit. Podjął znowu bezlitośnie: — Więc nie chcesz mówić ze mną?

Zdobyłem się na wysiłek, aby wypowiedzieć to pełne żalostnej skargi zdanie:

— Co za straszny dzień! Co za duszna noc!... Człowiek przestaje być sobą...

— Tak jest — rzekł dziwnym głosem Saint-Avit. — Duszna, duszna noc... tak duszna, jak owa, w której zabiłem kapitana Morhange'a.

¹ *Doctrina Ptolemaci ab injuria recentiorum vindicata sive Nilus Superior et Niger verus, hodiernus Eghiren, ab antiquis explorati*, Paris 1874. (Przyp. aut.)

² *De nomine et genere populorum qui berberi vulgo dicuntur*, Paris 1882. (Przyp. aut.)

III

WYPRAWA MORHANGE – SAINT-AVIT

— Zabiłem kapitana Morhange’a — powtórzył mi nazajutrz kapitan de Saint-Avit o tej samej godzinie, na tym samym miejscu, ze spokojem zupełnie niewspółmiernym do spędzonej przeze mnie straszliwej nocy. — Dlaczego uczyniłem ci to wyznanie? – nie wiem. Może pod wpływem pustyni. Czy jesteś człowiekiem, co zdoła dźwignąć ciężar tego wyznania i co w razie potrzeby przyjmie konsekwencje, jakie ono za sobą pociąga? I tego nie wiem. Przyszłość okaże. Na razie faktem jest, powtarzam ci, że zabiłem kapitana Morhange’a.

Zabiłem go. A ponieważ pragniesz na pewno, abym ci opowiedział w jakich okolicznościach się to stało, zrozumiesz, że nie będę sobie łamał głowy nad wymyślaniem jakiegoś romansu, ani też, że nie zacznę opowiadania według metody naturalistów, od tego, z jakiego materiału zrobione były moje pierwsze spodnie, ani według metody neokatolików, od tego czy się jako dziecko często spowiadałem i jakie to na mnie wywierało wrażenie. Nie mam ochoty do zbytanych wynurzeń. Musisz się

więc zadowolić tym, że opowiadanie swoje zacznę od chwili mego poznania się z Morhange'em.

Przede wszystkim muszę zaznaczyć, iż nie żałuję, że go znałem, mimo że zapłaciłem za to swoim spokojem i opinią. Na ogół niezależnie od kwestii koleżeństwa, zabijając go, dałem dowód czarnej niewdzięczności. Jemu to, jego znajomości napisów na kamieniach zawdzięczam jedyną rzecz, która uczyniła moje życie ciekawszym niż szare życie innych oficerów w Auxonne lub gdzie indziej.

Po tym wstępie przystępuję do faktu:

Po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Morhange'a w arabskim biurze Uargli, gdzie służyłem jako porucznik. Muszę dodać, że fakt ten wiązał się z przyczynami, wprawiającymi mnie w zły humor. Był to okres burzliwy. Sułtan marokański omalże wcale nie taił swego wrogiego usposobienia. W Tuacie, gdzie przygotowywano już morderstwo Flattersa i Frescaly'ego, pomagał sułtan matactwom naszych wrogów. Ów Tuat był centrum wszelkich spisków i zrad, a jednocześnie miejscem zaprowiantowania nieuchwytnych koczowniczych band. Gubernatorzy Algieru, Tirman, Cambon i Laferriere zażądali ogłoszenia tam okupacji. Ministrowie wojny byli, milcząc, tego samego zdania. Parlament jednak nie wypowiedział się w tym względzie, a to z powodu Anglii, Niemiec, a przede wszystkim z powodu pewnej *Deklaracji praw człowieka i obywatela*, która uważa rewolucję za święty obowiązek, choćby nawet rewolucjonistami byli dzicy, którzy po prostu obcinają głowy. Krótko mówiąc, działalność wojenna ograniczała się do dyskretnego zwiększenia garnizonów na południu i stworzenia nowych placówek w Berresof, Hassi-el-Mia oraz fortec Mac-Mahon, Lallemand i Miribel. Lecz, jak słusznie utrzymuje

Castries, *nie panuje się nad koczownikami przy pomocy „bordżów” ale za pośrednictwem żołądka*. A tym żołądkiem były oazy Tuatu. Trzeba więc było przekonać panów adwokatów z Paryża o konieczności opanowania ich. Najlepszym sposobem do tego było przedstawić im dokładny obraz intryg, jakie tam przeciwko nam knuto.

Głównymi przywódcami tych intryg byli wówczas i są nimi jeszcze Senussisowie, których przywódca duchowy zmuszony był przez nasze wojsko przenieść główne siedlisko sprzysiężenia o kilkaset mil stąd do Szimmedru w Tibesti. Powzięto myśl (mówię *powzięto* przez skromność) odszukania śladów zostawionych przez tych agitatorów na ich ulubionych szlakach poprzez pustynię Rhat, Temassinin oraz równiny Adżemoru i In-Salah. Była to, jak widzisz, przynajmniej od Temassininu, ta sama droga, jaką w roku 1864 szła wyprawa Gerarda Rohlfsa.

Znany już byłem wówczas jako kierownik dwóch poprzednich wypraw: do Agadesu i do Bihny, a pomiędzy oficerami uchodziłem za najlepszego znawcę kwestii Senussisów. Zażądano więc, abym się podjął tego nowego zadania.

Osądziłem wówczas, że należy przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie i rzucić po drodze okiem na Hoggar północy, ażeby się przekonać, czy Tuaregowie z Ahi-Tarhen utrzymywali zawsze z Senussisami tak serdeczne stosunki jak, wówczas gdy połączyli się celem wymordowania ekspedycji Flattersa. Przyznano mi słusność. Pierwotny mój projekt zmieniono tylko o tyle, że po przybyciu do Ighelaszemu, położonego o sześćset kilometrów na południe od Temassininu, nie miałem jechać prosto do Tuatu drogą przez Rhat i In-Salah, ale zapuścić się w skały Muydiru i Hoggaru i dostać się na południowy

wschód, aż do Shik-Salah. Stamtąd miałem skrócić na północ, w kierunku In-Salah, drogą przez Sudan i Agades. Było to przedłużeniem ledwie o osiemset kilometrów drogi, wynoszącej przeszło siedemset mil, dawało jednak gwarancję dokładnego strzeżenia dróg, jakimi udawali się do Tuatu nasi wrogowie, Senussisowie z Tibesti i Tuaregowie z Hoggaru. Sądziłem też, że uda mi się przy tej okazji zbadać trochę układ geologiczny wyżyny Egeru, o której Duveyrier i inni tak mało wspominają.

Wszystko było gotowe do wyjazdu z Uargli. To *wszystko* było właściwie bardzo niewiele. Trzy wielbłądy: mój, mego towarzysza Bu-Dżema, wiernego Chaamby, który był ze mną podczas wyprawy do Airu i służył mi nie tyle jako przewodnik, bo okolicę znałem, co jako maszyna do obsługiwania wielbłądów, i wreszcie trzeci objuczony żywnością i worami skórzanymi z wodą do picia, bardzo małymi, ponieważ postoje ze studniami zostały dzięki moim staraniom dostatecznie naprawione.

Inni udają się w taką podróż ze setką żołnierzy a nawet z armatą, ja jednak trwałem w tradycji Dulsy i Reného Cailliégo: wyruszam sam.

Byłem w owym rozkoszonym momencie, kiedy się czuje, że ze światem cywilizowanym łączą nas tylko bardzo delikatne nici, gdy nadeszła do Uargli depeusza z ministerstwa.

Porucznik de Saint-Avit — powiedziane było krótko — wstrzyma się z wyjazdem aż do przybycia kapitana Morhange'a, który będzie mu towarzyszył w podróży naukowej.

Byłem niemal zrozpaczony. Wyprawa ta była moim

wyłącznie pomysłem. Domyślasz się, ile trudności musiałem pokonać, zanim się przełożone władze na nią zgodziły. I oto w chwili, kiedy wyobrażałem sobie już te długie godziny samotności pośród pustyni, dają mi za towarzysza kogoś obcego, a w dodatku przełożonego!

Kondolencje składane mi przez kolegów pogorszyły jeszcze mój zły humor,

W roczniku, do którego natychmiast zajrzeli, znaleźli następujące szczegóły:

Morhange (Jan, Maria, Franciszek). Nominacja oficerska z roku 1881. Dyplomowany kapitan nadliczbowy (Wojskowa służba geograficzna).

— Oto wyjaśnienie — rzekł jeden z kolegów. — Przydzielają ci takiego marudziarza, aby zbierał owoce z twojego ciężkiego trudu! Dyplomowany! Ładna historia!

— Niezupełnie się z panem zgadzam — ozwał się nasz komendant. — Dowiedziano się widocznie w parlamencie – niedyskretni znajdują się niestety zawsze – o prawdziwym celu misji Saint-Avit, o zamiarze skłonienia ich do okupacji Tuatu. Ten Morhange musi być po prostu mężem zaufania Komisji Wojskowej. Wszyscy ci ministrowie, posłowie, gubernatorzy pilnują się nawzajem. Będzie można kiedyś napisać piękną paradoksalną historię francuskiej ekspansji kolonialnej, która dokonywała się zawsze bez wiedzy najwyższej władzy wbrew jej woli.

— Tak czy owak, rezultat jest ten sam — rzekłem gorzko. — Będzie nas dwóch Francuzów szpiegujących się nawzajem od rana do wieczora na drogach południa. Miła perspektywa wobec tego, że i tak już trzeba całą swą uwagę wycęzać na to, by uchronić się przed niespodziankami ze

strony tubylców. Kiedyż może ten pan tu być?

— Prawdopodobnie pojutrze. Zapowiedziano mi, że idzie konwój z Ghardai. Możliwe, że skorzysta zeń. Mam wrażenie, że nie bardzo umie sam podróżować.

Kapitan Morhange przybył rzeczywiście w dwa dni później z konwojem z Ghardai. Zapytał się przede wszystkim o mnie. Gdy wszedł do mego pokoju, dokąd usunąłem się z godnością, skoro tylko konwój się ukazał, stwierdziłem z przykrością, że trudno mi będzie długo na niego liczyć.

Był słuszny, twarz miał pełną i rumianą, wesołe oczy, małe czarne wąsiki, włosy prawie zupełnie siwe.

— Przepraszam pana stokrotnie, drogi kolego — ozwał się natychmiast ze sobie tylko właściwą szczerością. — Musi pan być strasznie zły na natręta, co popsuł pańskie plany i opóźnił wyjazd.

— Ani trochę, panie kapitanie — odparłem chłodno.

— Zawdzięcza to pan trochę sobie. Sława, którą pan sobie zdobył w Paryżu jako znawca Południa, obudziła we mnie chęć mieć pana za kierownika, gdy Ministerstwo Oświaty, Handlu i Towarzystwo Geograficzne włoży na mnie misję, która mnie tu sprowadza. Te trzy wielce szanowne instytucje powierzyły mi mianowicie odszukanie starożytnego traktu karawan, który od wieku IX był drogą handlową pomiędzy Tunezją i Sudanem przez Tozeur, Uarglę i Es-Suk i zbadanie możliwości przywrócenia ich do starożytnej świetności. Jednocześnie dowiedziałem się w Urzędzie Geograficznym o podróży, jaką pan przedsięwzięje. Od Uargli do Shikh-Salah droga nasza jest wspólna. Muszę się więc panu przyznać, że jest to w moim życiu pierwsza tego rodzaju podróż. Bez żadnej tremy podjąłem się godzinnego wykładu o literaturze arabskiej na

katedrze Szkoły Języków Wschodnich, zdaję sobie jednak sprawę z tego, że na pustyni mógłbym nie wiedzieć, czy należy kierować się na prawo czy na lewo.

Jedyną okazją do nabrania orientacji było przyłączyć się do wyprawy wytrawnego znawcy. Niech mi pan nie bierze za złe, że wyzyskałem wszystkie swoje wpływy, aby opóźnić pański wyjazd z Uargli aż do czasu, kiedy zdołam dotrzeć do pana. Oto wszystko. Dodam jeszcze jedno. Cel mojej wyprawy jest najkompletniej cywilny, podczas gdy pan jesteś pełnomocnikiem Ministerstwa Wojny. Do chwili więc, kiedy przybywszy do Shikh-Salah, rozjedziemy się, pan w stronę Tuatu, a ja do Nigru, będę spełniał ściśle wszystkie pańskie rady i rozporządzenia jako podwładny i, mam nadzieję, jako przyjaciel.

W miarę jak słuchałem jego szczerych i uprzejmych słów, odczuwałem z radością, że pierzchają wszystkie moje dotychczasowe najgorsze obawy. Mimo to chciałem jeszcze ciągle zachowywać się względem niego z pewną rezerwą, jako odwet za to, że bez mojej wiedzy rozporządził się moją osobą,

— Jestem panu bardzo wdzięczny, panie kapitanie, za tak pochlebne słowa. Kiedy życzy pan sobie wyjechać z Uargli?

Morhange zrobił gest, wyrażający zupełną obojętność.

— Ależ kiedy pan zechce. Jutro, dziś wieczorem. Przeze mnie się pan opóźnił. Wszystkie pańskie przygotowania muszą być skończone już od dawna.

Wpadłem we własne sidła, nie miałem bowiem zamiaru wyruszyć przed upływem tygodnia.

— Jutro, panie kapitanie? A pańskie bagaże?

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— Sądziłem, iż należy się obarczać jak najmniejszą ilością pakunków.

Troszkę rzeczy i papier udźwignął z łatwością mój dzielny wielbłąd. Co do reszty, chcę dopiero zasięgnąć pańskiej rady i skorzystać z zapasów Uargła.

Byłem pobity. Nie mogłem mieć już nic do zarzucenia. Ale taka szczerość i swoboda wzbudziły we mnie od razu dziwną sympatię.

— No jakże? — spytali koledzy, gdyśmy się wszyscy zebrali na koktajl. — Ten twój kapitan przedstawia się zupełnie nadzwyczajnie.

— A tak!

— Nie będziesz z nim miał na pewno żadnych kwestii. Musisz tylko pilnować, aby nie zechciał później wyciągnąć wyłącznie dla siebie wszystkich korzyści.

— Prace nasze idą w zupełnie różnych kierunkach — odparłem.

Byłem zamyślony, nic poza tym, przysięgam. Od tej chwili nie miałem już żalu do Morhange'a. Ale milczenie moje utwierdziło kolegów w mniemaniu, że ciągle jeszcze jestem mu niechętny. Toteż wszyscy, rozumiesz — wszyscy — orzekli później, gdy zaczęły powstawać dokoła mojej osoby podejrzenia: — *Jest on stanowczo winien. Widzieliśmy jak razem wyjeżdżali, możemy to potwierdzić.*

Jestem winien... Ale nie z powodu niskiego uczucia zazdrości... Co za absurd!

I po tym wszystkim nie pozostaje mi teraz nic innego jak uciekać, uciekać tam, gdzie nie spotyka się już ludzi, co myślą i rozumują.

Morhange wszedł pod rękę z majorem, który zdawał się być zachwycony tą nową znajomością.

Przedstawił go z rozmachem.

— Kapitan Morhange, moi panowie. Daję wam słowo, że pod względem humoru jest to oficer starej daty. Chce on już jutro wyjechać. Musimy go jednak tak przyjąć, aby czym prędzej zamiaru tego poniechał. Panie kapitanie, ma pan do zaofiarowania nam całych osiem dni.

— Jestem do dyspozycji porucznika de Saint-Avit — odparł Morhange, uśmiechając się lekko.

Rozmowa stała się ogólna. Dźwięczał śmiech, dzwoniły kieliszki. Koledzy moi zaśmiewali się z historii, jakie im gość opowiadał z niesłabnącym humorem. Mnie zaś nigdy jeszcze nie było tak smutno.

Nadeszła pora przejścia do sali jadalnej.

— Panie kapitanie — zawołał rozpromieniony major — proszę sięść po mojej prawej ręce. Mam nadzieję, że będzie nam pan w dalszym ciągu opowiadał nowinki paryskie. Pan wie, że ich tu już nie znamy.

— Według rozkazu, panie majorze — rzekł Morhange.

— Siadajcie panowie.

Oficerowie posłuchali, rozległo się wesołe suwanie krzesłami.

Nie spuszczałem z oczu stojącego jeszcze ciągle Morhange'a.

— Pan major i panowie pozwolicie? — rzekł.

I zanim siadł przy stole, gdzie był następnie najweselszym w świecie towarzyszem, odmówił półgłosem z przymkniętymi oczami modlitwę.

IV

KU DWUDZIESTEMU PIĄTEMU STOPNIOWI

— Widzi pan — powiedział do mnie po upływie dwóch tygodni kapitan Morhange — że zna pan daleko lepiej starożytne drogi Sahary, niż się pan do tego przyznawał, wie pan bowiem o istnieniu obydwu Tadekk. Jednym z tych dwóch miast, o których mi pan właśnie mówił, jest Tadekką Ibn-Batuty, którą historyk ten oznaczył w odległości siedemdziesięciu dni drogi od Tuatu, a którą Schirmer umieszcza słusznie w krainie Auelimmidenów. Przez tę właśnie Tadekkę przechodziły w XIX stuleciu karawany Sonraju, które udawały się co roku do Egiptu. Moja Tadekka jest tą drugą, stolicą *zawoalowanych ludzi*, a Ibn-Khaldun umieszcza ją w odległości dwudziestu dni drogi na południe od Uargli, zaś w odległości dni trzydziestu od El-Bekri, którą nazywa Tadmeką. Do tej właśnie Tadmeki zmierzam, tę Tadmekę muszę odnaleźć pośród ruin Es-Suku. Przez Es-Suk szła droga handlowa, która w IX stuleciu przecinała tunezyjski Djerid na zakręcie, jaki Niger robi w Burrum. Oto w celu zbadania możliwości ponownego użytkowania tego pradawnego

traktu powierzyło mi ministerstwo misję, której zawdzięczam przyjemność korzystania z pańskiego towarzystwa.

— Rozczaruje się pan prawdopodobnie — szepnąłem. — Mam wrażenie, że handel prowadzony dziś na tych traktach jest nieznaczący.

— Zobaczymy — rzekł spokojnie.

Jechaliśmy teraz wzdłuż monotonych brzegów jakiejś sebkhy. Szeroki obszar salin błyszczał niebieskawo w zachodzącym słońcu. Długie kroki naszych pięciu wielbłądów odbijały w nich swoje ruchome ciemnoniebieskie cienie. Chwilami zrywał się jedyny mieszkaniec tych pustkowi, ptak, nieokreślony rodzaj czapli, i krążył w powietrzu jakby zawieszony na nitce, aby usiąść natychmiast tam, gdzieśmy przeszli.

Szedłem naprzód, uważając na drogę. Morhange za mną. Spowity w swój olbrzymi burnus, w prostym fezie spahisów na głowie, z zawieszonym na szyi wielkim szkaplerzem o grubych, czarnych i białych paciorkach, zakończonych krzyżem, stanowił doskonały typ Białych Ojców kardynała Lavigerie'ego.

Skręciliśmy właśnie na południowy zachód, ku drodze, którą odbywał Flatters, przedtem jednak zatrzymaliśmy się przez dwa dni w Temassininie. Przypadł mi zaszczyt zwrócić uwagę przed Fourao na znaczenie Temassininu, punktu geometrycznego, przez który przechodzą karawany i wskazać miejsce, w którym kapitan Pein wybudował fort. Położony na skrzyżowaniu dróg idących do Tuatu z Fuzzanu i Tibesti jest w Temassininie przyszłą siedzibą cudownego biura wywiadowczego. W ciągu tych dni zebrałem mnóstwo ważnych wiadomości o zachowaniu się naszych wrogów, Senussisów.

Obydwa te dni spędził Morhange na rozmowach ze starym Murzynem, strażnikiem *tubetu*, pod którego gipsową kopułą przechowują się szczątki świątobliwego Sidi-Mussy. Żałuję, że zapomniałem treści tych rozmów. Ale po zdumieniu Murzyna zrozumiałem, jak dalece jestem w stosunku do mego towarzysza nieświadomy tajemnic przeolbrzymiej Sahary.

Jeśli chcesz mieć pojęcie, ile niezwyklej oryginalności wnosił do swoich eskapad Morhange, to posłuchaj: Działo się to w odległości jakichś dwustu kilometrów stąd, na pełnym obszarze Wielkiej Diuny, pośród tej strasznej drogi, gdzie na przestrzeni sześciu dni marszu nie ma wody. Od pierwszej studni dzieliły nas jeszcze dwa dni drogi, a wiesz co o tych studniach pisał do swej żony Flatters: *żeby je otworzyć i dać możliwość napicia się zwierzętom i ludziom trzeba pracować godzinami*. Spotkaliśmy tam karawanę, która dążyła na wschód do Rhadamesu i skręciła trochę za bardzo na północ. Wielbłądy tej karawany nadmiernie obciążone, były straszliwie pomęczone. Z tyłu kroczył szary, biedny osiołek, który przystawał co kroku, nie chcąc iść. Kupcy zdjęli z niego balast, wiedząc, że zdechnie. Szedł jednak ostatkiem sił, czując, że gdy stanie, nadejdzie koniec i zaszeleszczą nad nim łyse sępy. Kocham zwierzęta, mam nawet poważne przyczyny do tego, żeby je woleć od ludzi. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy zrobić to, co zrobił Morhange. Musisz wiedzieć, że nasze własne zapasy wody dobiegały do końca i że wielbłądy nasze, bez których się jest pośród pustyni niczym, od wielu już godzin nie były pojone. Morhange kazał swemu wielbłądowi przykleknąć, rozwiązał jedną sakwę i napoił osiołka. Z prawdziwą przyjemnością patrzyłem na rozkosz

nieszczęśliwego zwierzęcia. Byłem jednak za to odpowiedzialny i widziałem pełne niezadowolenia miny Bu-Dżemy i tamtych spragnionych ludzi. Zwróciłem na to jego uwagę. Jak on ją przyjął! *Dałem to, do czego miałem prawo* — odparł Morhange. — *Jutro wieczorem około godziny szóstej będziemy przy studni El-Biodh. Wiem, że do tej pory nie będę miał pragnienia.* Powiedział to tonem, w którym po raz pierwszy odczułem kapitana. Łatwo to powiedzieć, pomyślałem rozgniewany. Wie dobrze, że gdy mu się zechce pić, będzie miał do rozporządzenia zapas mój i Bu-Dżemy. Nie znałem jeszcze wówczas Morhange'a. Aż do przybycia do studni El-Biodh nie pił nic, odrzucając z uśmiechem nasze propozycje.

Cień świętego Franciszka z Asyżu! Cieniste pagórki tak czyste przy wschodzącym słońcu! Przy podobnym wschodzie słońca nad brzegiem wątego strumyka spływającego pełnymi kaskadami ze szczeliny w szarych skałach Engere, zatrzymał się Morhange. Nieoczekiwane wody płynęły po piasku, a pod światło widzieliśmy małe, czarne rybki. Ryby w pośrodku Sahary! Staliśmy wszyscy trzej w milczeniu przed tym dziwem przyrody! Jedna z nich skoczyła na piasek. Została tam, miotając na próżno swoim białym brzuszkiem... Morhange wziął ją, przyjrzał się jej, a potem wrzucił ją do wody... Cień świętego Franciszka, Cieniste pagórki... Ale przysiągłem, że nie będę przerywał opowiadania niewczesnymi dygresjami.

— Widzi pan — mówił do mnie w tydzień później Morhange — że miałem rację, radząc panu skierować się nieco na południe, zanim pan dotrze do Shik-Salah. Coś mi mówiło, że ten Engere nie jest dla pana bez znaczenia. Wiedziałem, że znajdzie pan tutaj na każdym kroku kamienie, które pozwolą panu ustalić w niezbity sposób

wulkaniczne pochodzenie tego obszaru.

Posuwaliśmy się wówczas wzdłuż wschodniego zbocza gór Tifedest, ku dwudziestemu piątemu stopniowi szerokości północnej.

— Byłbym naprawdę srodze niewdzięcznym, gdybym panu za to serdecznie nie dziękował — odparłem.

Nigdy w życiu nie zapomnę tego momentu. Zsiadliśmy wówczas z wielbłądów i zbieraliśmy topiczne odłamki skał. Morhange wykazywał przy tym dużą znajomość geologii, aczkolwiek twierdził zawsze, że nauka ta jest mu obca.

Zadałem mu wówczas następujące pytanie:

— Czy mogę wyrazić panu moją wdzięczność przez uczynienie pewnego wyznania?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

— Proszę bardzo.

— W podróży, jaką pan podjął, nie mogę się dopatrzeć praktycznego celu.

Uśmiechnął się.

— Jak to? Wyzyskanie starożytnego traktu karawan; wykazanie, że już w najbardziej zamierzchłej przeszłości istniała łączność pomiędzy państwami Morza Śródziemnego a państwami Czarnych – czy nie ma to w pańskim pojęciu żadnego znaczenia? Nadzieja zlikwidowania raz na zawsze wszelkich pradawnych sprzeczności, jakie istnieją w badaniach Anville'a, Heerena, Berliouxa, Quatremera z jednej strony, a Gosselina, Walckenaera, Tissota, Vivien de Saint-Martina z drugiej – czy nie jest to według pana ciekawe? Ależ, do diabła, trudno pana zadowolić!

— Miałem na myśli korzyści praktyczne — odpowiedziałem. — Nie zaprzeczy pan chyba, że

sprzeczności owe są sprawą wyłącznie książkowych geografów i domorosłych badaczy.

Morhange ciągle się uśmiechał.

— Nie zasmucaj mnie pan, drogi przyjacielu. Nie zapominaj, że pańska misja została panu powierzona przez Ministerstwo Wojny, a moja mnie przez Ministerstwo Oświaty. To odmienne źródło tłumaczy nasze odmienne cele. I przyznaję otwarcie, że moja misja nie ma istotnie żadnego charakteru praktycznego.

— W równej mierze jest pan wysłannikiem Ministerstwa Handlu — odparłem dotknięty — i z tego tytułu ma pan zbadać możliwość przywrócenia starożytnego traktu handlowego z IX stulecia. A przecież przy pańskiej znajomości historii i geografii Sahary, nie miał pan, wyjeżdżając z Paryża, żadnych pod tym względem wątpliwości. Droga z Dżeridu do Nigru jest zupełnie zamarła. Wiedział pan doskonale, że nie uda się wskrzesić handlu na szlaku, który podjął się pan pod tym względem badać.

Morhange popatrzył mi prosto w twarz.

— A gdyby rzeczywiście tak było — rzekł z sympatyczną swobodą — gdybym naprawdę miał przed wyjazdem tę pewność, jaką mi pan przypisuje, to jaki należy stąd wyciągnąć wniosek?

— Pragnąłbym gorąco usłyszeć to od pana.

— Po prostu ten, że w wyszukaniu pretekstu do podróży byłem mniej zręczny od pana, że przyprowadziły mnie tutaj mniej zręcznie obmyślane motywy.

— Pretekst? Nie rozumiem.

— Teraz kolej na pana być szczerym. Jestem przekonany, że pragnie pan gorąco poinformować biura arabskie o sprawach Senussisów. Przyznaj pan jednak, że

nie jest to wyłącznym celem pańskiej podróży. Jest pan geologiem. Misja ta jest dla pana doskonałą okazją do zaspokojenia pańskich zainteresowań w tym kierunku. Nikt nie może mieć panu nic do zarzucenia, ponieważ potrafił pan wymyślić coś, co krajowi przyniesie pożytek, a panu sprawi przyjemność. Tylko niech pan na miłość Boską temu nie przeczy. Jako dowód wystarczy chyba pańska obecność tutaj na zboczu Tifedest, bardzo ciekawym z punktu widzenia mineralogicznego, którego zbadanie jednak odrzuciło pana o kilkaset metrów na południe od pańskiego oficjalnego szlaku.

Trudno było z większą gracją utrafić w sedno. Odparowałem cios, atakując.

— Czy z tego wszystkiego, co pan powiedział, mam wyciągnąć wniosek, że nie znam prawdziwych motywów pańskiej podróży i że nie mają one nic wspólnego z motywami oficjalnymi?

Posunąłem się za daleko. Poznałem to po powadze, jaką tym razem nacechowana była odpowiedź Morhange'a.

— Nie, drogi poruczniku, nie powinien pan wyciągać tego wniosku. Nie miałem bynajmniej zamiaru okłamywania wielce szanownych urzędów, które zaszczyliły mnie swoim zaufaniem i subsydem. Dołożę wszelkich starań, aby wypełnić to, o co im chodzi. Nie mam jednak żadnego powodu ukrywać, że mam prócz tego jeszcze inny, zupełnie osobisty cel, który mi daleko więcej leży na sercu. Powiedzmy nawet, że użyję tu niezbyt miłej terminologii, że cel ów jest *ostatecznym*, podczas gdy tamto wszystko jest tylko *środkiem*.

— Czy byłoby z mojej strony niedyskrecją?...

— Ani trochę — odparł mój towarzysz. Za kilka dni staniemy w Shikh-Salah i rozjedziemy się. Nie chcę

niczego ukrywać przed panem, coś kierował mymi pierwszymi krokami na Saharze.

Zatrzymaliśmy się w dolinie wyschniętego strumyka, gdzie rosło kilka anemicznych roślin. Źródło położone w pobliżu otoczone było koroną zieleni. Odjuczone na noc wielbłądy skubały trawę. Gładkie i czarne ściany gór Tifedest wznosiły się dokoła nas nieomalże prostopadle. W powietrzu unosił się błękitny dym ogniska, przy którym Bu-Dżema gotował obiad.

Dokoła nie unosił się żaden szmer ani powiew. Dym wspinał się prościusienko i powoli na blade schody firmamentu.

— Czy słyszał pan kiedy o *Atlasie chrystianizmu*?
— spytał Morhange.

— Zdaje mi się, że tak. Czy nie jest to dzieło geograficzne, wydane przez Ojców Benedyktynów pod kierunkiem niejakiego Don Grangera?

— Pamięć pana nie zawodzi — odparł Morhange.
— Muszę jednak wyjaśnić panu bliżej sprawę, którymi nie miał pan powodu dotychczas się interesować. *Atlas chrystianizmu* zamierzał ustalić granicę, do której sięgało morze chrystianizmu we wszystkich stuleciach i we wszystkich częściach świata. Dzieło godne zaiste wiedzy Benedyktynów i tak niezwykłego erudyty jak Don Granger.

— Przybył więc pan tutaj zapewne, aby zbadać te granice — szepnąłem.

— To są one właśnie — odparł mój towarzysz.

Zamilkł. Szanowałem jego milczenie, zdecydowany nie dziwić się już niczemu.

— Jeśli się nie chce być śmiesznym, nie można przerwać w połowie zwierzeń — podjął po chwili namysłu, głosem bardzo poważnym i pozbawionym tego humoru,

którym niedawno rozweselał młodych oficerów w Uargli. — Ponieważ zacząłem już, muszę powiedzieć panu wszystko. Niech pan zaufa mojej szczerości i nie nalega na ujawnienie pewnych wypadków mego życia osobistego. W następstwie tych wypadków zamierzałem przed czterema laty wstąpić do klasztoru, mniejsza o to dla jakich powodów. Podziwiam dziś jednak sam, że na zmianę kierunku mego życia wpłynęło przejście przezeń istoty, której to nie obchodziło zupełnie. Podziwiam, że dla oddziaływania na moje przeznaczenie w sposób zgoła nieoczekiwany zesłał stwórca istotę, której jedyną zasługą było to, że była piękna. Klasztor, do którego furty zapukałem, miał poważne wątpliwości co do solidności mego powołania. Nie mogę nie oddać słuszności przeorowi, który nie zgodził się na to, abym się w wojsku podał do dymisji. Byłem wówczas od roku kapitanem. Na rozkaz przeora starałem się o trzyletnie zwolnienie ze służby i otrzymałem je. Przez te trzy lata próby miano się przekonać, czy świat naprawdę przestał dla mnie istnieć.

Od pierwszego dnia przybycia do klasztoru zostałem oddany do dyspozycji Don Grangera, który przeznaczył mnie do pracy przy słynnym *Atlasie chrystianizmu*. Z krótkiego egzaminu wywnioskował Don Granger, jakiego rodzaju usługi mogę mu oddać. W ten sposób dostałem się do pracowni, poświęconej kartografii Afryki Północnej. Nie umiałem ani słowa po arabsku, ale ongi, podczas kiedy służyłem w Lyonie, wysłuchałem na Wydziale Literackim wykładów Berlouxa, wielkiego geografa, którego interesowała przede wszystkim jedna idea: wpływ, jaki cywilizacja grecka i romańska wywarły na Afrykę. Ten szczegół z mego życia wystarczył Don Grangerowi. Przy jego pomocy zaznajomiłem się ze słownikami

berberyjskimi Ventury, Delaporte'a, Brosselarde'a, z *Grammatical sketch of the Temahaq* Stanlope'a, Fleemana i *Wyciągiem gramatyki i języka temachek* kapitana Hanoteau. Po upływie trzech miesięcy potrafiłem już odcyfrować pismo tinar, które jest narodowym pismem Tuaregów, używających języka *temachek*. Język ten wyraża najjaskrawiej całą różnicę, istniejącą pomiędzy rasą Tuaregów a ich wrogów, mahometan.

Don Granger miał mocne przekonanie, że Tuaregowie byli kiedyś chrześcijanami, należy tylko określić bliżej tę epokę, która przypada prawdopodobnie na okres rozkwitu kościoła Hippona. Wie pan zapewne lepiej niż ja, że krzyż jest u nich stałym motywem ornamentacyjnym. Duveyrier stwierdził, że istnieje on w ich alfabecie, na broni i pośród deseni ich odzieży. Tatuowali się na czole i na dłoni również krzyżem o czterech równych ramionach; kolby ich siodeł, gardy ich szabel i sztylety są również w kształcie krzyża. A czyż nie pamięta pan, że, pomimo zakazu dzwonów, które są w pojęciu islamu symbolem chrystianizmu, wielbłądy Tuaregów noszą dzwonki?

Ani Don Granger, ani ja nie przywiązywaliśmy zbytnej uwagi do tych dowodów, nazbyt podobnych do argumentów przytaczanych przez *Geniusza chrystianizmu*, nie mogliśmy jednak odmawiać wszelkiej wartości pewnym argumentom teologicznym. Bóg Tuaregów, Amanai, niezapreczenie Adonai z Biblii, jest jedyny. Mają piekło, *timsi-tan-alakliari*, ostatni ogień, gdzie rządzi Iblis, nasz Lucyfer. Ich raj, w którym otrzymują zapłatę za dobre uczynki, zamieszkały jest przez *andželuseny*, nasze anioły. A nie zaprzeczy pan podobieństwa tej teologii z teologią Koranu, ponieważ przytoczę panu argumenty historyczne i

przypomni pan sobie, że Tuaregowie walczyli w ciągu wieków aż do wygnania, aby utrzymać swoje wierzenia, przeciw fanatyzmowi mahometańskiemu.

Studiowaliśmy kilka razy z Don Grangerem tę straszną epopeję, pełną krwawych walk tubylców z Arabami. Śledziłem razem z nim przebieg tej walki, w której armia Sidi-Okby, jednego z towarzyszy Proroka, zapuściła się w głąb pustyni, aby zniszczyć wielkie plemiona tuareskie i narzucić im jarzmo muzułmańskie. Plemiona te były wówczas bogate i szczęśliwe. Były to plemiona Ihoggarenów, Imedodrenów, Uadelenów, Kel-Gueressów i Kel-Airów. Ale nieustanne kłótnie wyczerpały ich odporność. Mimo to była jeszcze groźna i dopiero po długiej i zaciętej wojnie udało się Arabom zająć stolicę Berberów. Zburzyli ją, wyciąwszy przedtem w pień jej mieszkańców. Na ruinach wybudował Okba nowe miasto. Miasto to, to jest Es-Suk. To zaś, które zburzył Okba, to Tadmekka berberyjska. Don Granger zażądał ode mnie, abym się udał do Es-Suk i odgrzebał z ruin muzułmańskiego Es-Suk szczątki Tadmekki berberyjskiej, a może chrześcijańskiej.

— Rozumiem — szepnąłem.

— Doskonale — rzekł Morhange. — Opowiem panu teraz coś, co świadczy o praktycznym zmyśle zakonników, moich obecnych zwierzchników. Przypomina pan sobie, że nawet po trzyletnim moim pobycie w klasztorze mieli oni wątpliwości co do trwałości mego powołania do życia zakonnego. I oto nadarzyła im się sposobność ostatecznego jego wypróbowania i jednocześnie wykorzystania mojego stanowiska dla swoich celów. Pewnego poranka zostałem zawezwany do Ojca Przeora, który w obecności milczącego uparcie Don

Grangera, przemówił do mnie w te słowa:

— Za dwa tygodnie upływa termin pańskiego urlopu. Wróci pan do Paryża i zgłosi się w Ministerstwie. Wobec wiadomości, jakich pan tu nabył i stosunków, jakie nas łączą ze sztabem generalnym, nie będzie żadnych trudności, aby pan wstąpił do Wojskowej Służby Geograficznej. Gdy się pan już znajdzie przy ulicy Grenelle, otrzyma pan od nas dalsze wskazówki.

Byłem zdumiony ich zaufaniem do mnie. Dopiero zostawszy ponownie kapitanem Służby Geograficznej, zrozumiałem. Codzienne obcowanie z Don Grangerem i jego wychowankami w klasztorze utrzymywało mnie w przekonaniu, że posiadam bardzo skąpe wiadomości. Zetknawszy się z kolegami, oceniłem całą głębię wiedzy, jaką posiadałem w klasztorze. O szczegóły mojej wyprawy nie potrzebowałem się kłopotać, wszystko załatwiły ministerstwa, które prosiły mnie, abym się zechciał podjąć. Moja inicjatywa ograniczyła się do tego, że dowiedziawszy się, iż pan wyrusza w swoją podróż z Uargli, robiłem co można, aby zdążyć się z panem połączyć. Sądzę, że nie ma pan już do mnie żalu?

Światło zgasło już na zachodzie, gdzie słońce pograżyło się w niezmierny przepych fioletowych zasłon. Wśród tej bezmiernej przestrzeni, u stóp czarnych, niedostępnych skał, byliśmy sami. Zupełnie sami. Tylko my.

Wyciągnąłem do Morhange'a dłoń. Uścisnął ją, po czym rzekł:

— Choć nieskończenie daleka wydaje mi się droga, dzieląca mnie od chwili, kiedy spełniwszy swe zadanie, będą mógł wrócić do klasztoru, aby zapomnieć tam o tym, do czego nie byłem stworzony, to wiedz pan, że tych

kilkaset kilometrów, które przebędę razem z panem przed przybyciem do Shikh-Salah wydają mi się nieskończenie krótkie.

W bladej powierzchni nieruchomego źródła odbiła się niby srebrny gwóźdź wschodząca gwiazda.

— Shikh-Salah! — szepnąłem z sercem, pełnym nieokreślonego smutku. — Cierpliwości! Nie jesteśmy tam jeszcze!

I istotnie, nie mieliśmy tam dotrzeć nigdy!

V

NAPIS

Silnym uderzeniem żelaznej laski odbił Morhange kawałek skały od czarnej powierzchni góry.

— Co to jest? — zapytał, podając mi go.

— Bazalt — odrzekłem.

— Nic ciekawego widocznie, gdyż pan zaledwie rzucił okiem?

— Przeciwnie, to bardzo ciekawe. Przyznam się jednak, że zajmuje mnie w danej chwili coś innego.

— Co takiego?

— Niech pan spojrzy w tę stronę — rzekłem, wskazując na zachód, gdzie po drugiej stronie białej równiny widniał na horyzoncie jakiś czarny punkt.

Była szósta rano. Słońce już wzeszło, ale na próżno szukałoby się go na gładkiej powierzchni nieba. Nie wyczuwało się też najlżejszego nawet wietrzyku ni powiewu.

Nagle jęknął jeden z naszych wielbłądów. To ukazała się olbrzymia antylopa, rzuciła się jak szalona naprzód i uderzyła głową o skalistą ścianę. Zatrzymała się

oszołomiona w odległości kilku kroków od nas, drżąc cała na swych cienkich nóżkach.

Bu-Dżema przyłączył się do nas.

— Gdy drżą nogi antylopy, znaczy to, że załamią się wkrótce filary firmamentu — szepnął.

Morhange popatrzył na mnie, po czym przeniósł wzrok na zwiększający się ciągle czarny punkt.

— Burza, prawda?

— Tak, burza.

— Niepokoi to pana?

Nie zaraz mu odpowiedziałem. Zamieniłem właśnie kilka krótkich zdań z Bu-Dżemą, zajęтым uspakajaniem coraz bardziej niespokojnych wielbłądów.

Morhange powtórzył pytanie. Wzruszyłem ramionami.

— Niepokoi? Nie wiem. Nie widziałem nigdy burzy w Hoggarze. Ta będzie zdaje się groźna. Zresztą, niech pan spojrzy!

Na płaskiej skale podniósł się lekki tuman kurzu. W nieruchomej atmosferze zawirowało kilka ziarenek piasku z zawrotną, wzrastającą ciągle szybkością, dając nam przedsmak tego, co lada chwila mogło się zwalić na nas.

Tuż nad naszymi głowami przeleciało z głośnym krzykiem stado dzikich gęsi. Leciały z zachodu.

— Uciekają w stronę Sebkhā Amanghor — zauważył Bu-Dżema.

— Nie ulega wątpliwości — pomyślałem. Morhange przyglądał mi się ciekawie.

— Co zrobimy? — zapytał.

— Musimy wsiąść natychmiast na wielbłądy i szukać schronienia na którymkolwiek wzgórzu. Niech pan zda sobie sprawę z naszej sytuacji. Wygodnie jest iść

łożyskiem wyschniętej rzeczki. Ale za kwadrans zerwie się burza a za pół godziny potoczy się tędy olbrzymi strumień. Po tym gruncie, który prawie zupełnie nie wchłania wody, spływa deszcz niby woda wylana z wiadra na atlasowy chodnik. Nic nie wsiąka, wszystko narasta w górę. Zresztą zobacz pan!

I pokazałem mu w odległości kilkunastu metrów w ścianie skalistego korytarza długie, wydrążone i równoległe smugi dawnych śladów.

— Za godzinę wody wzniosą się do tej wysokości. Oto są ślady dawnego zalewu. Dalej, w drogę! Nie ma chwili do stracenia!

— W drogę! — rzekł spokojnie Morhange.

Z niemałym trudem zmusiliśmy nasze wielbłądy do tego, by uklęknęły. Gdyśmy wreszcie wskoczyli na siodła, rzuciły się pędem przed siebie w bezładnym strachu.

Nagle zerwał się straszliwy wichur i prawie równocześnie dzień jakby umknął z wąwozu. Nad naszymi głowami niebo stało się naraz czarniejsze niż czarne ściany parowu, przez który pędziliśmy bez tchu.

— Jeśli w przeciągu minuty nie dopadniemy do jakiegoś wyłomu w skale, jesteśmy zgubieni — krzyknąłem do towarzyszy.

Nie usłyszeli mego głosu, ale odwróciwszy się, zobaczyłem, że nie pozostawali w tyle. Tuż za mną był Morhange, ostatni jechał Bu-Dżema, gnając przed sobą z przedziwną zręcznością dwa wielbłądy z bagażami.

Oślepiająca błyskawica rozdarła ciemności. Rozległ się trzask gromu, powtarzany w nieskończoność echem skał, a jednocześnie poczęły padać wielkie, ciepłe krople. W jednej chwili nasze burnusy, zawieszony wskutek pędu nad naszymi głowami, spadły na nasze ciała, ociekając

woda.

Nagle na prawo od nas potoczyła się kaskada wody z szerokiej szczeliny w skale. Było to wyschnięte łozysko rzeki, gdzieśmy rano odpoczywali. Z szumem płynął już tamtędy olbrzymi strumień.

Nigdy nie oceniłem tak jak wówczas niezwyklej pewności, z jaką wdzierają się wielbłądy na miejsca najbardziej nawet wzniosłe. Badając ostrożnie teren, rozstawiając nieskończenie długie nogi, wspierając się o skały – dokazały wielbłądy nasze tego, czego nie dokazałyby może muły pirenejskie. Po kilku chwilach nadludzkich wysiłków znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu na bazaltowym wzniesieniu, o jakie pięćdziesiąt metrów ponad korytarzem strumyka, gdzieśmy przebywali. Przypadek zrzucił, że poza nami znajdowała się niewielka grotta, gdzie Bu-Dżema umieścił wielbłądy. Z progu tej grotty oglądaliśmy w milczeniu cudowny widok, roztaczający się przed naszymi oczyma.

Przypatrywałeś się zapewne na polu bitwy pod Chalons ogniovi artylerii. Widziałeś kredową ziemię Marny rozszalałą pod wybuchami granatów jak kałamarze, do których w gimnazjum wrzucaliśmy kawałek węgla wapiennego. Nadyma się, wspina, wrze, wśród huku pękających pocisków. Tak samo jest mniej więcej na pustyni, ale w najgłębszej ciemności. Białe wody osadzały się w tej czarnej jamie i wspinały się ku naszemu cokołowi. Nieustannie rozlegał się trzask piorunów i huk ścian skalistych murów podmywanych przez wodę i walących się na miazgę w skłębione fale.

Podczas tej straszliwej nawałnicy, która trwała może godzinę, a może dwie, nie przemówiliśmy do siebie ani słowa, zawieszeni nad tą fantastyczną kadzią, patrząc

nieustannie z trwogą i czując z okropnym lękiem, jak drży pod uderzeniami nawałnicy bazaltowy słup, na którym znaleźliśmy schronienie. Sądzę, że ani przez chwilę nie pragnęliśmy, aby skończyło się to olbrzymie zjawisko, tak dalece było piękne.

Wreszcie zajaśniało słońce. Wówczas dopiero spojrzeliśmy na siebie. Morhange wyciągnął do mnie dłoń.

— Dziękuję — rzekł z prostotą. — Utonąć pośrodku Sahary — dorzucił z uśmiechem — byłoby zbyt śmieszne i pretensjonalne. Przytomność pańskiego umysłu uratowała nas od tej paradoksalnej śmierci.

Ach czemuż nie potknął się wówczas jego wielbłąd i nie stoczył się z nim do wody! Nie byłoby się stało to, co nastąpiło później. Tak myślę w chwilach słabości. Ale otrząsam się z nich szybko. Nie żałuję, nie wolno mi żałować niczego.

Morhange zostawił mnie i poszedł zajrzeć do maleńkiej groty, skąd dochodziły pełne zadowolenia pomruki wielbłądów Bu-Dżemy. Zostałem sam i przyglądałem się potokowi, który ciągle jeszcze przybierał wśród rozhukanego napływu rozkiełznanych wód. Deszcz przestał padać, niebo stało się znowu niebieskie. Czułem jak ubranie moje, przed chwilą jeszcze zupełnie mokre, wysycha na mnie z nieprawdopodobną szybkością.

Czyjaś ręka dotknęła mego ramienia. Morhange był znowu przy mnie. Na twarzy jego malował się niezwykle radosny uśmiech.

— Niech pan idzie za mną — rzekł.

Poszedłem za nim zaintrygowany. Weszliśmy do groty.

Otwór przez który mogły wejść wielbłądy, przepuszczał światło dzienne. Morhange zaprowadził mnie

przed gładką ścianę skalną.

— Spójrz pan — rzekł z źle ukrywaną radością.

— Co takiego?

— Jak to, nie widzi pan?

— Widzę kilka napisów w narzeczu Tuaregów odparłem lekko rozczarowany. Mówiłem już panu, że pismo Tifinar znam bardzo słabo. Czy napisy te są ciekawsze niż te, któreśmy dotychczas spotykali?

— Niech się pan przyjrzy temu — rzekł Morhange.

W głosie jego brzmiała tak silnie nuta tryumfu, że skupiłem całą swoją uwagę.

Patrzyłem.

Był to napis ułożony w kształt krzyża. Ponieważ w przygodzie naszej odegrał on rolę dość ważną, więc ci go narysuję.

Oto on:

A

N

T

A i n i t n a

N

ì

a

Rysunek ten wykonany był bardzo regularnie i dość głęboko wryty w skale. Chociaż nie byłem jeszcze wówczas wytrawnym znawcą napisów skalnych, domyśliłem się jednak, że musiał być bardzo stary.

Morhange przypatrywał mu się coraz więcej rozpromieniony.

Spojrzałem nań pytająco.

— No i cóż pan o tym powie? — rzekł.

— Cóż mogę powiedzieć? Powtarzam jeszcze raz, że bardzo słabo odcyfrowuję pismo tifinar.

— Czy dopomóc panu? — zapytał.

Po wzruszeniach, któreśmy przeszli, nauka odczytywania napisów berberyjskich wydawała mi się co najmniej niewłaściwa. Ale radość Morhanga była tak widoczna, że nie chciałem mu jej psuć.

— A więc — zaczął mój towarzysz tak swobodnie jak przed tablicą szkolną — pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy w tym napisie jest to, że jest powtórzony dwa razy w kształcie krzyża. Znaczy to, że powtarza się w nim dwa razy jeden i ten sam wyraz, który odczytujemy raz od góry do dołu a drugi raz od strony prawej do lewej. Wyraz ten składa się z siedmiu liter, z których czwarta stanowi środek. Już sam ten układ, tak rzadki w piśmie tifinar, jest rzeczą znamioną. Ale jest tutaj coś jeszcze ciekawszego. Odczytajmy teraz.

Myląc się nieustannie, odczytałem wreszcie przy pomocy Morhange'a napisane słowo.

— Rozumie pań? — zapytał Morhange, przymrużając oczy, kiedy już skończyłem.

— Ani trochę — odparłem lekko zniecierpliwiony — *a, n, t, i, n, h, a; Antinha*. Antinha – nie znam takiego wyrazy, ani nawet podobnego, w żadnym ze znanych mi

dialektów saharyjskich.

Morhange zatarł ręce. Radość jego dochodziła do niezwykłych granic.

— Oto właśnie chodzi, że napis ten jest jedyny w swoim rodzaju.

— Jak to?

— Ani w arabskim, ani w berberyjskim narzeczu nie znajdziemy żadnego analogicznego wyrazu.

— Więc?

— Więc, drogi przyjacielu, odkryliśmy słowo z jakiegoś nieznanego języka, napisane językiem tifinar.

— A do jakiego języka, sądzi pan, że ono należy?

— Niech pan sobie przede wszystkim przypomni, że w alfabecie tifinar nie istnieje litera *e*. Zastąpiona została ona tutaj przez najbardziej do niej zbliżony znak fonetyczny, przez *h*, a gdy ją na właściwe miejsce wstawiamy, to otrzymamy – co?

— *Antinea*.

— *Antinea*, doskonale. Jest to więc wyraz grecki, napisany pismem tifinar. Sądzę, że zgodzi się pan teraz ze mną, iż odkrycie moje jest dość ważne.

Dnia tego nie odczytywaliśmy już żadnych napisów, Rozległ się bowiem nagle straszny, rozpaczliwy krzyk.

Wypadliśmy z grotu i oczom naszym przedstawił się dziwny widok.

Niebo było już zupełnie czyste, ale strumień toczył jeszcze ciągle swoje spienione, żółte fale i nie można było osądzić, kiedy opadną. Pośród nich widniała jakaś szpara, miękka masa, która płynęła z prądem. Ale największym zdumieniem przejęło nas najpierw to, że wśród rumowisk skalnych stromego brzegu, biegł jakby w pogoni za płynącymi szczątkami Bu-Dżema, zwyczajnie tak

spokojny, a który obecnie robił wrażenie opętanego.

Chwyciłem Morhange'a za ramię. Szara masa poruszała się i wyłoniła się z niej długa, nędzna szyja, z której wyrwał się przejmujący zew oszalałego zwierzęcia.

— Co za opieszałość! — zawołałam. — To jeden z naszych wielbłądów wyrwał się i prąd go unosi.

— Myli się pan — odparł Morhange. — Wszystkie nasze wielbłądy są w grocie. Ten, za którym rzucił się Bu-Dżema, nie należy do nas. A krzyk przerażenia, któryśmy przed chwilą słyszeli, nie padł z ust Bu-Dżemy. Bu-Dżema pochłonięty jest obecnie tylko jedną myślą: przywłaszczenia sobie tego wielbłąda.

— Więc kto krzyknął?

— Postarajmy się iść kawałek w górę strumienia — rzekł mój towarzysz.

I nie czekając mojej odpowiedzi, poszedł wzdłuż skalistego wybrzeża, świeżo nawiedzonego nawałnicą.

Można powiedzieć, że poszedł wówczas Morhange ku swemu przeznaczeniu.

Ruszyłem za nim. Z największą trudnością przeszliśmy jakieś dwieście lub trzysta metrów. W końcu spostrzegliśmy u naszych stóp małą, pluskającą zatokę, której fale powoli opadały.

— Spójrz — rzekł Morhange.

Czarna masa tańczyła na wodach zatoki. Podeszliśmy bliżej przekonaliśmy się, że był to człowiek ubrany w długi, błękitny płaszcz Tuaregów.

— Niech mi pan poda rękę — rzekł Morhange — a drugą uczep się pan skały.

Morhange był bardzo silny i w jednej chwili wyciągnął tonącego na brzeg.

— Żyje jeszcze — skonstatował z zadowoleniem. —

Musimy go teraz zaprowadzić do groty, tutaj nie jest odpowiednie miejsce do cucenia topielca.

Podniósł ciało w swych mocnych ramionach.

— Jest on na swój wzrost zadziwiająco lekki.

Zanim doszliśmy z powrotem do groty, ubranie Targijczyka zdążyło wyschnąć, puściło jednak kolor i człowiek, którego przywracał do życia Morhange, był koloru indygo.

Gdy zaaplikowałem mu porcję rumu, Targijczyk otworzył oczy, przypatrywał się nam obydwu ze zdumieniem, po czym przymknął je znowu i ledwie zrozumiałym głosem szepnął po arabsku słowa, których prawdziwe znaczenie zrozumieliśmy dopiero w kilka dni później.

— *Czyżbym osiągnął już cel mojej wyprawy?*

— O jakiej wyprawie on mówi? — spytałem.

— Daj mu pan przyjść zupełnie do siebie — odparł Morhange. — Niech pan otworzy puszkę konserw. W stosunku do tych zuchów nie potrzeba zachowywać tych wszystkich środków ostrożności, co przy topielcach europejskich.

Człowiek, któremuśmy uratowali życie był nieomalże olbrzymem. Wychudła twarz była regularna, prawie piękna. Cerę miał jasną, brodę rzadką. Siwe włosy zdradzały człowieka sześćdziesięcioletniego.

Kiedym postawił przed nim puszkę *corned beefu* w oczach jego zabłysła radość. Puszka ta zawierała cztery solidne porcje. W oka mgnieniu wchłonął w siebie całą jej zawartość.

— Ma niezły apetyt! — rzekł Morhange. — Możemy go już teraz bez żadnych skrupułów indagować.

Targijczyk nasunął na czoło i twarz rytualny

błękitny zawój. Musiał być bardzo głodny, jeśli nie zrobił tego zaraz po przyjsciu do przytomności. Obecnie widać było jego oczy, które spoglądały na nas coraz bardziej ponuro.

— Oficerowie francuscy — szepnął wreszcie.

Potem wziął dłoń Morhange'a, położył ją sobie na piersi, a następnie przycisnął do ust.

Nagle odmalował się w jego oczach wyraz przerażenia.

— A gdzie mój wielbłąd?

Odpowiedziałem mu, że przodownik nasz go ratuje. Targijczyk opowiedział nam, że wielbłąd jego potknął się, wpadł do wody, dokąd i on sam runął, starając się powstrzymać zwierzę. Uderzył przy tym głową o skałę i krzyknął. Dalej nic już nie pamiętał.

— Jak się nazywasz? — spytałem.

— Eg-Antenuen.

— Do jakiego plemienia należysz?

— Do plemienia Kel-Tahat.

— Wszyscy Kel-Tahat są, zdaje się, podwładnymi plemienia Kel-Rhela, arystokracji Hoggaru?

— Tak — odparł, spoglądając na mnie z ukosa. — Miałem wrażenie, że pytania, dotyczące Hoggaru nie są miłe.

— Plemię Kel-Tahat zamieszkuje, jeśli się nie mylę, południowo-wschodnią część Atakoru¹, Co robiłeś tutaj, tak daleko od swoich stron, gdyśmy ci uratowali życie?

— Jechałem przez Tit do In-Salah — rzekł.

— Po co?

Miał już odpowiedzieć. Nagle zadrżał. Osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w jeden kąt groty. Spojrzeliśmy w tamtą stronę i ujrzeliśmy napis, na skałe, który przed

godziną tak uradował Morhange'a.

— Znasz ten napis? — zapytał z nagłą ciekawością Morhange.

Targijczyk nie powiedział nic, ale oczy jego błysnęły dziwnie.

— Znasz? — nalegał Morhange. I dorzucił: — Antinea.

— Antinea — powtórzył Targijczyk.

I zamilkł.

— Odpowiedzże kapitanowi — krzyknąłem, czując, że ogarnia mnie dziwny gniew.

Targijczyk popatrzył na mnie. Zdawało mi się, że chciał mówić. Ale nagle oczy jego zeszywniały. Czulem, że pod lśniącą zasłoną rysy jego skurczyły się.

Morhange i ja odwróciliśmy się.

Na progu groty pojawił się zmieszany Bu-Dżema zmęczony ponadgodzinną, daremną gonitwą.

¹ Inne określenie Hoggaru w języku tenahag. (Przyp. aut.)

VI

NIEMIŁE SKUTKI SAŁATY

W chwili gdy Eg-Antenuen i Bu-Dżema spojrzeli sobie oko w oko, miałem wrażenie, że zarówno Targijczyk jak Chaamba drgnęli, jednakowoż natychmiast opanowali się. Było to powtarzam z mojej strony tylko przelotne wrażenie. Postanowiłem jednak wypytać później na osobności przewodnika o naszego nowego towarzysza.

Dzień ów zmęczył nas już dostatecznie. Postanowiliśmy więc nie jechać już tego dnia dalej, a nawet przenocować w grocie, aż woda opadnie zupełnie.

Kiedy rano po przebudzeniu studiowałem na mapie kierunek dalszej drogi, zbliżył się do mnie Morhange. Był trochę zmieszany.

— Za trzy dni będziemy w Shikh-Salah — rzekłem.
— A może już pojutrze wieczorem, jeśli tylko wielbłądy będą dobrze szły.

— Możliwe, że rozjedziemy się wcześniej — wyjąkał.

— Jak to?

— Tak, zmieniłem trochę swoją marszrutę. Nie mam

zamiaru iść prosto w kierunku Timissao. Chce przedtem zboczyć trochę ku góróm Hoggar.

Zmarszczyłem brew.

— Skąd ten nowy plan?

Szukałem jednocześnie wzrokiem Eg-Antenuena, którego widziałem wczoraj i przed chwilą rozmawiającego z Morhange'em. Siedział spokojnie i naprawiał sobie sandał osmoloną nitką, którą mu dał Bu-Dżema.

— Człowiek ten — tłumaczył Morhange coraz bardziej zmieszany — poinformował mnie, że podobne napisy znajdują się w kilku jeszcze jaskiniach wschodniego Hoggaru leżących wzdłuż drogi, jaką on odbywać będzie, wracając do domu. Droga ta wiedzie przez Tit. Otóż z Tit do Timissao przez Silet jest zaledwie dwieście kilometrów. Droga ta jest prawie klasyczna i o połowę krótsza od tej, jaką musiałbym odbyć sam po rozstaniu się z panem, od Shikh-Salah do Timissao. Nieco i rozsądek wskazuje mi więc...

— Nieco? Nawet bardzo — odparłem. — Czy pan jest już zupełnie zdecydowany?

— Zupełnie.

— Kiedy ma pan zamiar mnie opuścić?

— Pewno dziś jeszcze. Droga, którą Eg-Antenuen ma zamiar dostać się do Hoggaru przecina naszą w odległości czterech mil stąd. Mam z tego powodu do pana małą prośbę.

— Proszę bardzo.

— Czy mógłby pan zostawić mi dla mojego towarzysza, Targijczyka, który stracił swego wielbłąda, jednego z dwu swoich bagażowych wielbłądów?

— Wielbłąd, dźwigający pański bagaż należy do pana, podobnie jak pański mehari¹ — odparłem chłodno.

Milczeliśmy przez długą chwilę. Morhange był zakłopotany. Studiowałem mapę. Niemal wszędzie, szczególnie na południu, niezbadane okolice Hoggaru tworzyły wśród ciemnego tła przepuszczalnych gór liczne, zbyt liczne, białe plamy.

— Czy może mi pan dać słowo, że obejrzawszy owe sławetne groty, uda się pan do Timissao przez Tit i Silet? — rzekłem w końcu.

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Dlaczego mnie pan o to pyta?

— Bo jeśli mi pan da na to słowo i jeśli naturalnie towarzystwo moje nie będzie panu niemiłe, będę panu towarzyszył. Przedłuży to moją drogę nie więcej jak o dwieście kilometrów. Dotrę do Shikh-Salah od południa zamiast od wschodu.

Morhange popatrzył na mnie wzruszony.

— Dlaczego pan to robi? — wyszeptał.

— Jestem, drogi mój przyjacielu — po raz pierwszy nazwałem tak Morhange'a — obdarzony nieocenionym w pustyni darem: umiem wyczuwać niebezpieczeństwo. Wczoraj rano przed burzą dałem panu mały przykład tego. Mam wrażenie, że przy całej swej wiedzy nie zdaje pan sobie sprawy z tego, co to jest Hoggar i jakie tam można mieć spotkanie. Nie chcę więc puszczać tam pana samego.

— Mam przewodnika — odparł z właściwą sobie naiwnością.

Ciągle przykucnięty Eg-Antenuen naprawiał swój sandał.

Podszedłem doń.

— Słyszałeś, co mówiłem do kapitana?

— Tak — odparł spokojnie Targijczyk.

— Będę mu towarzyszył. Zostawimy cię w Tit,

dokąd postarasz się nas szczęśliwie doprowadzić. Dokąd zamierzasz zaprowadzić kapitana?

— Nie ja mu to proponowałem, ale on mnie o to prosił — zauważył chłodno Targijczyk. — Groty z napisem są w górach o trzy dni stąd w kierunku południowym. Droga jest z początku ciężka. Ale dalej staje się zupełnie łatwa i bez trudu można się dostać do Timissao. Są tam dobre studnie, w których Tuaregowie Taitoga poją swoje wielbłądy.

— Czy dobrze znasz drogę?

Wzruszył ramionami. W oczach jego błysnął pogardliwy uśmiech.

— Odbyłem ją dwadzieścia razy.

Szliśmy przez dwie godziny. Nie zamieniłem z Morhange'em ani słowa. Zdawałem sobie sprawę z tego, jakie szaleństwo popełniamy, zapuszczając się z taką lekkomyślnością w najmniej znane i najniebezpieczniejsze okolice Sahary. Wszystkie ciosy wymierzone przeciw postępowi Francuzów w głąb kraju wyszły z tego groźnego Hoggaru. A jednak z ochotą przyłączyłem się do tej szalonej wyprawy. Po cóż więc miałem psuć efekt mojego gestu, objawiając nieustannie niezadowolenie? A po wtóre muszę przyznać, że obrót, jaki zaczęła przybierać nasza podróż, podobał mi się. Od tej chwili miałem wrażenie, że zdążamy ku czemuś niesłychanemu, że czeka nas jakaś potworna wprost przygoda. Nie można być bezkarnie całymi miesiącami i latami gościem pustyni. Prędzej czy później zapanuje ona nad nami, zabijając w nas wszelkie poczucie obowiązku, subordynacji i odpowiedzialności. Co się kryje za tymi tajemniczymi skałami, za tymi bezbarwnymi pustkowiami, jaka tajemnica tam drzemie? I idzie się, idzie coraz dalej!

— Czy jest pan przynajmniej pewny, że napisy owe
warte są wyprawy? — spytałem Morhange’a.

Towarzysz mój drgnął z zadowoleniem.
Zrozumiałem, iż obawiał się ciągle, że jadę niechętnie. W
tej chwili jednak dałem mu sposobność przekonania mnie i
skrupuły jego rozwiały się, ustępując miejsca uczuciu,
którego byłem pewien.

— Nigdy jeszcze nie odkryto greckiego napisu w
tych okolicach — rzekł głosem, w którym drżał ukrywany
entuzjizm. — Najdalej wysunięte okolice, w których
znaleziono je, są na południe Algierii i Cyrenajki. Niechże
pan tylko zda sobie sprawę, że to Hoggar! Prawda, że napis
ten przetłumaczony jest na tifinar, ale zwiększa to tylko
jego wartość.

— Co według pana oznacza ten wyraz?

— *Antinea* może to być tylko imię własne — rzekł
Morhange. — Do kogo należy nie wiem na razie. Jeśli
jednak podążam teraz ku południowi i ciągnę pana za sobą,
to dlatego, iż mam nadzieję znaleźć tam jakieś wyjaśnienie.
Jego pochodzenie? Jest kilkadziesiąt możliwości, albowiem
alfabet Tifinar daleki jest od greckiego, co komplikuje
hipotezę. Czy podać panu niektóre?

— Proszę.

— Jest więc najpierw *αντι* i *ναρς*, *kobieta naprzeciw
okrętu*, i objaśnienie, które podobałoby się bardzo
Gaffarelowi i memu czcigodnemu mistrzowi Berliouxowi.
Odnosiłoby się to dobrze do figur rzeźbionych na dziobach
okrętu. Jest pewna nazwa techniczna, której nie mogę sobie
w tej chwili przypomnieć, choćby mi wsypano sto kijów.

Następnie *αντινα*, co należałoby odnieść *αντι* i
ναος, *ta, która się znajduje przed ναος*, przed *ναος*,
świątynia, ta, która znajduje się przed sanktuarium, zatem

kapłanka. Interpretacja ta wprawiłaby w zachwyt przede wszystkim Gierarda i Renana. Potem *αντινεα* od *αντι* i *νεος*, *nowość*, co może oznaczać dwie rzeczy: albo *tę która jest przeciwieństwem młodej*, to jest starą, albo *tę która jest nieprzyjaciółką nowości*, albo *nieprzyjaciół młodości*.

Istnieje jeszcze inne znaczenie słowa *αντι*, w *zamian za*, które jednak komplikuje powyższe możliwości. Istnieje zarazem poczwórne znaczenie słowa *νεο*, które oznacza *iść, płynąć, prząść* albo *tkać* i *naprowadzać*. To jeszcze nie zapominaj pan, że nie mam tu pod ręką na wygodnym zresztą grzbiecie wielbłąda ani wielkiego słownika Estenine'a, ani leksykonów Passowa, Pape'a lub Liddela-Scotta, Chcę ci przez to dowieść, mój drogi, jak dalece nauka odczytywania napisów jest jeszcze wiedzą względną, zawsze zależną od odkrycia jakiegoś nowego tekstu, obalającego poprzednie dane, o ile nie jest na łasce chwilowego nastroju badaczy napisów i ich indywidualnych poglądów na wszechświat.

— Jest to także moje przekonanie — rzekłem. — Mimo jednak całego sceptycyzmu, z jakim odnosi się pan do celów, do których pan zdąża, naraża się pan z całą śmiałością na niebezpieczeństwa, które mogą być bardzo poważne.

Morhange uśmiechnął się tylko lekko.

— Nie interpretuję, mój przyjacielu, ale cytuję. Z tego, co mu przyniosę, Don Granger wyciągnie wnioski, których nie potrafiłbym wyprowadzić przy moich słabych wiadomościach. Chciałem się zabawić trochę. Wybacz mi pan.

W tej chwili puścił popręg jednego z wielbłądów zapewne niedostatecznie ściągnięty i część bagażu spadła na ziemię.

Eg-Antenuen zeszedł ze swego wielbłąda i pomagał Bu-Dżemie w naprawianiu złego.

Gdy skończyli, podjechałem na wielbłądzie do Bu-Dżemy.

— Na następnym przystanku trzeba będzie lepiej umocować bagaże, będziemy jechali pod górę.

Przewodnik spojrzał na mnie zdumiony. Uważałem dotychczas za zbyt ciche informować go o naszych nowych planach. Sądziłem jednak, że zrobił to Eg-Antenuen.

— Panie poruczniku, biała równina po drodze do Shikh-Salah nie jest górzysta — rzekł Chaamba.

— Nie pojedziemy przez białą równinę. Skręcimy na południe przez Hoggar.

— Przez Hoggar? — szepnął. Ale...

— Ale co?

— Nie znam drogi.

— Eg-Antenuen będzie nas prowadził.

— Eg-Antenuen!

Spojrzałem na Bu-Dżemę, uderzył mnie bowiem głuchy dźwięk jego głosu. Z przerażeniem i zdumieniem utkwiał on wzrok w Targijczyku.

Wielbłąd Eg-Antenuena szedł o jakie dziesięć metrów przed nami obok Morhange'a. Rozmawiali ze sobą. Domyśliłem się, że Morhange zabawia Targijczyka sprawą napisów. Nie byliśmy jednak tak daleko, by nie mogli słyszeć tego co mówimy.

Popatrzyłem znowu na naszego przewodnika. Był blady.

— Co ci jest, Bu-Dżema, co ci jest — spytałem cicho.

— Nie tutaj, panie poruczniku. Nie teraz! — szepnął.

Zęby jego dzwoniły. Dodał ledwie dosłyszonym szeptem:

— Nie tutaj. Wieczorem na popasie, gdy zwrócony ku wschodowi po zachodzie słońca będzie odmawiał modlitwę, zawołaj mnie, panie, do siebie. Powiem panu... Ale nie teraz. On rozmawia, a jednocześnie słucha. Wracaj pan do kapitana.

— Nowa jakaś historia! — szepnąłem i ścisnąwszy kolanami szyję wielbłąda, popędziłem za Morhange'em.

Około piątej po południu zatrzymał się Eg-Antenuen, który jechał na przedzie.

— To tutaj — rzekł, zeskakując na ziemię.

Okolica była piękna i dzika. Po lewej stronie rysowała się na tle czerwonego nieba fantastyczna, granitowa ściana gór. Ściana ta przecięta była od góry do dołu szczeliną, wysoką na jakie tysiąc metrów, tworząc rodzaj korytarza o szerokości, wystarczającej zaledwie dla trzech wielbłądów.

— To tutaj — powtórzył Targijczyk.

W kierunku wschodnim, prosto przed nami, wiła się w blaskach zachodzącego słońca biała wstęga drogi, którą opuściliśmy. Biała równina, droga do Shikh-Salah, wiadome miejsce spoczynku, znajome studnie. A z drugiej strony ta czarna ściana i ten ciemny korytarz.

Spojrzałem na Morhange'a.

— Zatrzymajmy się tutaj — rzekł z prostotą. — Eg-Antenuen radzi wziąć stąd pełen zapas świeżej wody.

Postanowiliśmy jednogłośnie spędzić tu noc przed zapuszczeniem się w góry.

Było tam źródółko w cienistej jamie z ładną kaskadą, kilka krzaków i trochę roślinności.

Wielbłądy zabrały się już do jedzenia. Bu-Dżema

rozłożył na wielkim płaskim kamieniu nasze podrózne nakrycie, kubki, talerzyki. Obok półmiska z sałatą, którą narwał nad wilgotnym brzegiem strumyka, postawił otwarte pudełko konserw. Po nerwowości jego ruchów domyślałem się, jak bardzo jest zaniepokojony.

W chwili, gdy pochylił się nade mną, żeby mi podać talerz, wskazał ruchem ręki ponury korytarz, w który mieliśmy się zapuścić.

— Bad-el-Khuf — szepnął.

— Co on mówi? — spytał Morhange, który spostrzegł jego gest.

— Bad-el Khuf – to Kraina Lęku. Tak nazywają Arabowie Hoggar.

Bu-Dżema usiadł znowu na uboczu, zostawiając nas samych przy obiedzie. Przykucnąwszy, zaczął jeść sałatę, której część zostawił dla siebie.

Eg-Antenuen siedział nieruchomo.

Nagle wstał. Słońce tworzyło na zachodzie już tylko krwawą plamę. Targijczyk zbliżył się do źródła, rozłożył na ziemi swój błękitny burnus i ukląkł.

— Nie przypuszczałem, że Tuaregowie szanują do tego stopnia tradycje muzułmańskie — rzekł Morhange.

— Ani ja — odparłem zamyślony.

W tej chwili jednak zajmowało mnie coś zupełnie innego.

— Bu-Dżema — zawołałem.

Jednocześnie patrzyłem na Eg-Antenuena. Zwrócony ku Wschodowi i zatopiony w modlitwie, nie zwracał na mnie pozornie żadnej uwagi. Bił właśnie pokłon, gdy zawołałem znowu i głośniejszą niż poprzednio:

— Bu-Dżema chodź ze mną do nowego wielbłąda, muszę sobie coś wyjąć z juków.

Powoli, cicho, klęcząc ciągle, odmawiał Eg-Antuen swoją modlitwę.

Bu-Dżema ani drgnął!

Za całą odpowiedź usłyszałem głuchy jęk.

Zerwaliśmy się jednocześnie z Morhanem i podbiegliśmy do przewodnika. Eg-Antenuen znalazł się jednocześnie z nami.

Z zamkniętymi oczami i cały zeszywniały, zawisł Chaamba w ramionach Morhange'a. Chwyciłem go za rękę. Eg-Antenuen ujął go za drugą. Każdy z nas starał się odgadnąć, zrozumieć...

Nagle Eg-Antenuen skoczył. Spostrzegł leżącą na ziemi małą miseczkę, którą Arab przed chwilą trzymał na kolanach.

Podniósł ją, obejrzał dokładnie kilka listków sałaty, które na niej jeszcze zostały i przeraźliwie krzyknął.

— Masz tobie, teraz i ten zwariuje — rzekł Morhange.

Wpatrywałem się w Eg-Antenuena. Nie mówiąc ani słowa, rzucił się ku kamieniowi, na którym stało nasze nakrycie. W chwilę potem wrócił do nas, trzymając w rękę półmisek z sałatą, którejsmy nie zdążyli jeszcze napocząć. Wyjął następnie z miseczki Bu-Dżema płaski zielony liść i porównał go z liśćmi z naszego półmiska.

— Afahlehle! — rzekł.

Przejął mnie dreszcz podobnie, jak Morhange'a, była to afahlehle, straszna roślina, która zabiła część misji Flattersa szybciej i pewniej niż broń tuareska.

Eg-Antenuen stał.

Wysoka sylweta czerniła się na tle bladoliliowego nieba. Patrzył na nas.

A gdy rzuciliśmy się znowu do nieszczęsnego

przewodnika:

— Afahlehle — rzekł i pokręcił głową.

Bu-Dzema umarł w nocy, nie odzyskawszy przytomności.

¹ mehari – wielbłąd-wierzchowiec.

VII

KRAINA LĘKU

— Ciekawe — rzekł Morhange — że wyprawa nasza tak skąpa w wypadki od Uargli, zaczyna teraz obfitować w nieoczekiwane wydarzenia.

Wypowiedział to zdanie, wstawszy z klęczek po odmówieniu modlitwy nad mozolnie wygrzebaną jamą, w której złożyliśmy ciało naszego przewodnika.

Nie wierzę w Boga. Lecz jeśli istnieje jakaś moc, zła czy dobra, moc światła czy ciemności, na którą człowiek wpływ mieć może, to chyba modlitwą odmówioną przez takiego człowieka.

Od dwóch dni szliśmy pośród labiryntu olbrzymich czarnych skał, nie słysząc nic prócz odgłosu spadających w przepaść kamieni, co obsuwały się pod nogami wielbłądów. Istotnie ciekawy marsz. W ciągu pierwszych godzin, próbowałem przy pomocy busoli oznaczyć drogę, którą przebywaliśmy. Ale zgubiłem szybko kierunek. Schowałem więc moją busolę do olstra. Odtąd Eg-Antenuen był naszym panem. Musieliśmy mu zaufać.

Eg-Antenuen szedł pierwszy, za nim Morhange, ja

zamykałem pochód. Bardzo ciekawe odmiany skał wulkanicznych przesuwają się przed moimi oczyma, ale na próżno. Nie interesowało mnie to wcale. Opanowała mnie inna ciekawość. Szaleństwo Morhange'a ogarnęło i mnie i gdyby towarzysz mój rzekł mi: *To co robimy, pozbawione jest sensu, wracajmy na znaną utartą drogę*, byłbym mu odpowiedział: *Zostawiam panu pełną swobodę działania – ja idę dalej*.

Około wieczora drugiego dnia znaleźliśmy się u stóp czarnej skały, której poszarpane zbocza wznosiły się na dwa tysiące metrów ponad naszymi głowami. Był to rodzaj olbrzymiego bastionu, o zarysach donżonu feudalnego, odcinającego się z niewiarygodną wyrazistością na pomarańczowym niebie.

Znaleźliśmy tam studnię i kilka drzewek, pierwszych od czasu, jakśmy się zapuścili w głąb Hoggaru.

Otoczała je gromada ludzi. Wielbłądy ich szukały problematycznego pożywienia. Na nasz widok skupili się i przyjęli pozycję obronną.

— Tuaregowie Eggali — rzekł Eg-Antenuen, zwracając się ku nam.

Potem zbliżył się do nich.

Piękni to byli ludzie ci Eggali. Najśluszniejsi ze wszystkich Tuaregów, jakich kiedykolwiek widziałem. Z niespodziewaną skwapliwością odsunęli się od studni, dając nam do niej dostęp. Eg-Antenuen przemówił do nich kilka słów. Patrzyli na mnie i na Morhange'a z ciekawością graniczącą z przestachem, w każdym zaś razie z szacunkiem.

Byłem zdziwiony ich powściągliwym zachowaniem się, bo dowódca ich nie przyjął drobnych podarków, które

wyciągnąłem z juków. Zdawał się unikać nawet mego spojrzenia.

Gdy odjechali, wyraziłem Eg-Antenuenowi moje zdumienie z powodu ich powściągliwości, do której nie przyzwyczyały mnie dotychczasowe stosunki z ludnością Sahary.

— Do ciebie zaś zwracali się z szacunkiem a nawet rodzajem lęku — mówiłem do niego. A przecież szczep Eggali należy do możliwych, podczas gdy szczep Kel-Taht, do którego jakoby należysz, do plemienia niewolniczego.

Uśmiech przemknął przez ciemne oczy Eg-Antenuena.

— To prawda — rzekł.

— A zatem?

— Bo powiedziałem im, że zmierzam z tobą i kapitanem do Góry Geniuszów.

Ruchem ręki wskazał Eg-Antenuen czarną górę.

— Boją się. Wszyscy Tuaregowie Hoggaru lękają się Góry Geniuszów. Widziałeś, jak na sam dźwięk jej nazwy uciekli?

— A więc prowadzisz nas do Góry Geniuszów? — zapytał Morhange.

— Tak jest — odparł Targijczyk. — Tam są napisy, o których mówiłem.

— Nie uprzedziłeś nas o tym szczególe.

— Bo i po co? Tuaregowie boją się ilhinenów, tych rogatych duchów, co mają kosmaty ogon, sierść jako odzienie i rzucają mór na całe stada wielbłądów, a na ludzi katalepsję. Ale wiem, że Europejczycy nie boją się i kpią nawet z tego powodu z Tuaregów.

— A ty — rzekłem — będąc Targijczykiem, nie boisz się tych duchów?

Eg-Antenuen wskazał na woreczek z czerwonej skóry, zawieszony na piersiach u różańca z białych paciorków.

— Mam amulet, pobłogosławiony przez samego czcigodnego Sidi-Musę — odparł poważnie. — A zresztą jestem z wami. Wyście mi uratowali życie. Chcieliście zobaczyć napisy. Niech się dzieje wola Allaha.

Powiedziawszy to, usiadł, wyciągnął długą trzciniową fajkę z miedzianym cybuchem i począł poważnie palić.

— Wszystko to zaczyna być dziwne — rzekł Morhange, zbliżając się do mnie.

— Nie należy przesadzać — odpowiedziałem. — Przypomina pan sobie równie dobrze jak ja, ustęp, w którym Barth opowiada o swojej wycieczce do *Idinien*, która jest Górą Geniuszów Tuaregów Azdżera. Miejsce to miało tak złą reputację, że żaden Targijczyk nie chciał mu towarzyszyć. A jednak wrócił stamtąd.

— Wrócił, to prawda — odparł mój towarzysz — ale z początku błądził. Bez wody i pożywienia byłby umarł z głodu i pragnienia, tak dalece, że był zmuszony naciąć sobie żyły, żeby napić się trochę krwi. Nie jest to miła perspektywa.

Wzruszyłem ramionami. Nie moja to przecież wina, że się tu znajdujemy.

Morhange zrozumiał mój gest i począł się jakby usprawiedliwiać.

— Byłbym zresztą niezmiernie ciekawy — mówił ze sztuczną nieco wesołością — wejść w stosunki z tymi geniuszami i sprawdzić informacje, podawane o nich przez Pomponiusza Mela, który je zna i twierdzi, że znajdują się w górach Tuaregów. Nazywa je Egipanami, Blemienami,

Gamfazantami a nawet Satyrami.

Gamfazanty są nagie, Blemieny nie mają głowy a twarz mają umieszczoną na piersiach, Satyry zaś nie mają nic ludzkiego prócz twarzy. Satyry, Egipany – czy nie jest ciekawe to zastosowanie greckich nazw do tutejszych duchów? Wierz mi pan, że stoimy wobec ciekawych odkryć i jestem pewny, że Antinea będzie kluczem do oryginalnych odkryć.

— Cicho — rzekłem, kładąc palec na ustach — słuchaj pan.

Dziwaczne jakieś odgłosy poczęły budzić się dokoła nas pośród zapadającej szybko nocy. Jakieś jęki długie, żalosne skargi płynęły z otaczających nas ciemności. Zdawało się, że to cała czarna góra poczęła nagle jęczeć.

Spojrzyliśmy na Eg-Antenuena. Palił spokojnie fajkę.

— To duchy się budzą — objaśnił z całym spokojem.

Morhange słuchał, nie mówiąc do mnie ani słowa. Rozumiał zapewne równie dobrze jak ja: rozgrzane skały, pękające kamienie, cały szereg fenomenów fizycznych, wspomnienie śpiewającego posągu Memnona... Mimo wszystko jednak wpływał ten nieprzewidziany koncert fatalnie na nasze rozprężone nerwy.

Przypomniało mi się ostatnie zdanie biednego Bu-Dżemy:

— Kraina Lęku — szepnąłem cicho.

— Kraina Lęku — powtórzył Morhange.

Gdy ukazały się na niebie pierwsze gwiazdy, skończył się niezwykle koncert. Z głębokim wzruszeniem przypatrywaliśmy się zapalającym się kolejno na bladym lazurze maleńkim światełkom. W tej strasliwej chwili były

one jedynym łącznikiem pomiędzy nami opuszczonymi, samotnymi wędrowcami a naszymi braćmi z północy, którzy rzucają się o tej godzinie przy blaskach lamp elektrycznych w wir wielkomięskiego użycia i rozkoszy.

*Chae-Ahadh essa hetisenet:
Meterdżee d'Erredżeaot,
Mateseksek d'Essekaot,
Matelahrlahr d'Ellerhaot,
Ettas dżenen, barad tit-ennit abalet.*

Powoli i głucho rozbrzmiewał głos Eg-Antenuena. Dźwięczał on z poważnym i smutnym majestatem wśród zupełnej ciszy.

Dotknąłem jego ramienia. Ruchem głowy wskazał mi na firmamencie drgającą konstelację.

— Plejady, — szepnąłem do Morhangea, wskazując mu tych siedem białych gwiazd, podczas gdy Eg-Antenuen śpiewał dalej monotonnym głosem swą ponurą piosenkę.

*Siedem jest cór nocy:
Materdżere i Erredżeaot,
Mateseksek i Essekaot,
Matelahrlahr i Ellerhaot,
Siódma to chłopiec, który zgubił jedno oko.*

Ogarnęła mnie nagle niemoc. Gdy Targijczyk po raz trzeci zaintonował swój refren, chwyciłem go za ramię.

— Kiedy staniemy w grocie z napisami?
— zapytałem go brutalnie.

— Popatrzył na mnie i odrzekł ze zwykłym spokojem:

— Już jesteście.

— Jesteście? Na cóż więc czekasz, że nam jej nie pokazujesz?

— Czekam, byście tego zażądali — odparł niegrzecznie.

Morhange skoczył na równe nogi.

— Jest już grota – tutaj?

— Jest tutaj — odparł poważnie Eg-Antenuen, wstając.

— Prowadź nas do niej.

— Morhange — rzekłem zaniepokojony nagle — noc zapada. I tak teraz nic nie zobaczymy. To może jeszcze daleko.

— Załedwie pięćset kroków — odparł Eg-Antenuen. — Grota pełna jest suchego zielska, zapali się je i będzie jak w dzień.

— Chodźmy — powtórzył mój towarzysz.

— A wielbłądy? — zapytałem,

— Są przywiązane — rzekł Eg-Antenuen, zresztą nie oddalamy się na długo.

Ruszył już w kierunku czarnej skały. Straszliwie podniecony, Morhange szedł za nim. Ja poszedłem także, od tej chwili głęboko zaniepokojony. W skroniach mi waliło. Nie boję się — powtarzałem sam sobie — przysięgam, że się nie boję.

I naprawdę nie był to lęk. A jednak – co za dziwne uczucie oszołomienia. Mgła przysłaniała mi oczy. W uszach mi szumiało. Usłyszałem znowu głos Eg-Antenuena, ale dwakroć silniejszy, olbrzymi, chociaż bardzo głuchy:

Siedem jest cór nocy...

I zdawało mi się, że echo gór powtarza w nieskończoność ponury ostatni wiersz:

Siódma to chłopiec, który zgubił jedno oko...

— To tutaj — rzekł Targijczyk.

Ciemna jama otwierała się w wąwozie. Eg-Antenuen zgiął się i wszedł. My za nim. Ogarnęła nas ciemność.

Błysnęło żółte światło. To Eg-Antenuen rozniecił krzesiwo. Zapalił stos zeschniętego zielska, leżący u wejścia. W pierwszej chwili nie mogliśmy nic dojrzeć. Oślepił nas dym,

Eg-Antenuen pozostał u wejścia do groty. Siadł i począł z największym spokojem palić swą fajkę, puszczając długie, szare kłęby dymu.

Zeschnięte trawy dawały teraz jasne światło. Zobaczyłem Morhange'a. Wydawał mi się niezwykle blady. Oparty obydwoma rękami o ścianę, odcyfrowywał z wysiłkiem jakieś napisy, które zaledwie mogłem dojrzeć.

Zdawało mi się, że ręce jego drżą.

— Cóż u licha, czyżby się czuł równie źle jak ja? — pomyślałem, czując, że coraz trudniej mi jest zebrać myśli.

Usłyszałem, jak krzyknął gwałtownie, zdaje mi się, że do Eg-Antenuena:

— Usuń się na bok! Niech powietrze ma dostęp. Co za straszny dym!

Odczytywał, ciągle odczytywał.

Nagle usłyszałem znowu jego głos, ale bardzo słabo. Miałem wrażenie, że i dźwięki toną w dymie.

— Antinea... Nareszcie... Antinea... Ale nie wyryte

w kamieniu.... znaczone ciemną ochrą... przed dziesięciu... przed pięciu może laty.... Ach!

Chwycił się za głowę i krzyknął:

— Ależ to mistyfikacja! Tragiczna mistyfikacja!

Roześmiałem się drwiąco:

— No, no! Nie irytuj się pan!

Chwycił mnie za ramię i potrząsnął mną. W oczach jego malowało się przerażenie i zdumienie.

— Czy pan oszalał? — ryknął mi prosto w twarz.

— Niech pan nie krzyczy tak głośno — powtórzyłem, śmiejąc się ciągle.

Popatrzył na mnie jeszcze i siadł przygnębiony na kamieniu naprzeciwko mnie.

U wejścia do groty palił ciągle Eg-Antenuen swoją fajkę z niezmiennym spokojem. W ciemności błyszczało czerwone wieczko jego fajki.

— Szalony, szalony — powtarzał Morhange, którego głos stawał się coraz bardziej niewyraźny.

Nagle schylił się nad zielskiem, które rzuciło ostatnie płomienie, wyższe i jaśniejsze. Chwycił jakąś niedopaloną jeszcze trawę. Przyglądał jej się uważnie, po czym odrzucił w płomień z przeraźliwym śmiechem...

— Cha, cha... to doskonale!

Zataczając się, zbliżył się do Eg-Antenuena i wskazał mu ogień.

— Konopie, co! Haszysz, haszysz! Cha, cha... to doskonale!

— Doskonale! — powtórzyłem, wybuchając śmiechem.

Eg-Antenuen przywodził dyskretnym śmiechem. Dogasający ogień oświetlał jego zawołowaną twarz i odbijał się w jego straszliwych ciemnych oczach.

Po upływie jakiej sekundy Morhange chwycił nagle Targijczyka za ramię.

— I ja chcę zapalić, daj mi fajkę!

Niewzruszony upiór podał memu towarzyszowi żądany przedmiot.

— Ach!... fajka Europejczyka...

— Fajka Europejczyka — powtórzyłem coraz weselszy.

Z literą *M*... Jakby specjalnie zrobioną... *M*... Kapitan Morhange...

— Kapitan Masson — poprawił spokojnie Eg-Antenuen.

— Kapitan Masson — powtórzyłem jednocześnie z Morhange'em.

Rozśmialiśmy się znowu,

— Cha... cha... cha... Kapitan Masson... Pułkownik Flatters... Studnie Garama... Zabito go, żeby mu zabrać fajkę... Tę oto fajkę... Kapitana Massona zabił Segheir-Ben-Szeik.

— Tak jest, rzeczywiście, Segheir-Ben-Szeik — odparł z niezmałym spokojem Targijczyk!

— Kapitan Masson i pułkownik Flatters oddalili się od konwoju, aby obejrzeć studnie — mówił Morhange, śmiejąc się głośno.

— Wówczas otoczyli ich Tuaregowie — dorzuciłem, śmiejąc się coraz serdeczniej.

— Targijczyk z Hoggaru schwycił za cugle kapitana Massona...

— Segheir-Ben-Szeik trzymał konia pułkownika Flattersa — dodał Eg-Antenuen.

— Pułkownik kładzie stopę w strzemię i w tejże chwili zostaje pchnięty przez Segheir-Ben-Szeika —

rzekłem.

— Kapitan Masson wyciąga rewolwer i strzela do Segheir-Ben-Szeika, któremu odrywa trzy palce u lewej ręki — rzekł Morhange.

— Ale Segheir-Ben-Szeik jednym cięciem szabli rozplątał kapitanowi Massonowi czaszkę — dokończył Eg-Antenuen.

Wypowiedział to zdanie, śmiejąc się cicho i z zadowoleniem.

Oświetliło go dogasające światło. Widzimy jego czarną, błyszczącą fajkę. Trzyma ją lewą ręką. Ma u niej tylko dwa palce. Dotychczas nie zauważyłem tego szczegółu.

Morhange dostrzegł to teraz także, bo zakończył, wybuchnąwszy przenikliwym śmiechem:

— Więc rozplatawszy mu czaszkę ograbiłeś go, zabrałeś mu fajkę! Brawo Segheir-Ben-Szeik!

Segheir-Ben-Szeik nie odpowiada. Odczuwamy jednak jego wewnętrzne zadowolenie. Nie przestaje palić. Z trudem już rozróżniłem jego rysy. Płomień blednie... gaśnie... Nigdy nie śmiałem się tyle, co tego wieczoru. Jestem pewien, że Morhange też nie... Zapomni o klasztorze... A wszystko przez to, że Segheir-Ben-Szeik ukradł kapitanowi Massonowi fajkę... I wierz tu w powołanie religijne!

I znowu ta przekłeta pieśń. *Siódma to chłopiec, który zgubił jedno oko...* Jest nas teraz w jaskini czterech... Co ja mówię! Pięciu... sześciu... siedmiu... ośmiu... Nie krępujcie się moi drodzy! Nareszcie dowiem się, jak wyglądają tutejsze duchy... Gamfazanty, Blemienny... Morhange mówił, że Blemienny mają twarz w pośrodku piersi. Ten, który chwyta mnie w ramiona, to stanowczo nie

Blemien. Wynosi mnie. A Morhange? Nie chcę, żeby o nim zapomniano!

Nie zapomniano o nim. Dostrzegłem go przywiązanego do wielbłąda, który idzie przed tym, do którego ja jestem przymocowany. Dobrze zrobili, że mnie przywiązali, bo inaczej spadłbym z pewnością. Te duchy nie są naprawdę złe. Ale ta droga jest długa! Mam ochotę położyć się... Spać!

Przeszliśmy zdaje się przez długi korytarz i wydostali się na powietrze. A oto jesteśmy znowu w nieskończenie długim korytarzu. I znowu gwiazdy... Czy ta dziwaczna podróż będzie jeszcze długa trwała?

O... znowu światła... Może gwiazdy... Nie, dobrze powiedziałem – światła... Schody, daję słowo schody, w skale wykute, ale schody... Jakże mogą wielbłądy? To już nie wielbłąd – to człowiek mnie niesie.... Człowiek cały biało ubrany, nie Gamfazant ani Blemien. Morhange robi minę ze swoimi wywodami historycznymi, które są fałszywe, powtarzam, wszystkie fałszywe. Dzielny Morhange. Oby tylko jego Gamfazant nie pozwolił mu spaść z wielbłąda na tych niekończących się schodach. U sufitu błyszczą się coś... Ależ tak, to lampa, mosiężna lampa jak w Tunisie u Barbouchy... A teraz już znowu nic nie widać. Ale kpię sobie z tego, wyciągnąłem się, będę już mógł spać. Co za śmieszny dzień.... Ach, panowie, zapewniam was, że nie trzeba mnie wiązać! Nie mam wcale zamiaru wysiąść na bulwarach.

I znowu ciemności. Kroki oddalają się. Cisza.

Na chwilę tylko. Tuż obok słychać rozmowę. Co oni mówią? Nie, to niemożliwe! Ten dźwięk metalu, ten głos! Czy wiecie, co on krzyczał, co krzyczał ten głos akcentem kogoś, kto jest do tego przyzwyczajony? Wołano tam:

— Faites vos jeux!¹ Panowie, faites vos jeux! W banku dziesięć tysięcy luidorów! Faites vos jeux!
— Cóż, u diabła, jestem w Hoggarze, czy nie?

¹ Faites vos jeux! (fr.) – Umieszczajcie swoje zakłady!

VIII

PRZEBUDZENIE W HOGGARZE

Był już jasny dzień, gdy otworzyłem oczy. Natychmiast pomyślałem o Morhange'u. Nie widziałem go, ale z bardzo bliska usłyszałem jego pełne zdumienia okrzyki.

Zawołałem nań. Przybiegł natychmiast.

— Nie przywiązali pana? — zapytałem go.

— Owszem, ale niedokładnie i udało mi się oswobodzić.

— Mógł pan i mnie rozwiązać — zauważyłem niechętnie.

— Po cóż miałem pana budzić. Domyślałem się, że zaraz po przebudzeniu zawoła pan na mnie. I tak się też stało.

Wstając, chwiałem się.

Morhange uśmiechnął się.

— Gdybyśmy całą noc spędzili na paleniu i piciu, nie byłibyśmy w stanie bardziej opłakanym — zauważył.

— Ależ szelma ten Eg-Antuen ze swoim haszyszem!

— Segheir-Ben-Szeik — poprawiłem.

Przetarłem ręką czoło.

— Gdzie my jesteśmy?

— Mój drogi, od chwili, gdy się obudziłem z tego niezwykłego koszmaru, który ogarnął mnie w tej dymiącej się grocie ze schodami i lampami z tysiąca i jednej nocy — odparł Morhange — spotyka mnie coraz to nowa niespodzianka. Wpadam z jednego osłupienia w drugie. Rozejrzyj się pan dokoła....

Rozejrzałem się, przetarłem oczy i chwyciłem Morhange'a za rękę.

— Morhange — błagałem go — to chyba ciągle jeszcze sen!

Znajdowaliśmy się w dużej okrągłej sali, o średnicy około pięćdziesięciu stóp i takiej samej niemal wysokości, oświetlonej przez oszkloną niszę, z której widać było ciemnobłękitne niebo. Na jego tle przelatowały tu i tam świegocące radośnie jaskółki.

Podłoga, wklęsłe ściany i sufit zrobione były z żyłkowatego jak porfir marmuru, wykładanego dziwnym metalem, bledszym od złota, a ciemniejszym od srebra, powleczonym w tej chwili mgłą poranna która wpadała przez niszę.

Zwabiony światłem i świeżym powiewem podszedłem, chwając się, do okna i wychyliłem się.

Nie zdołałem powstrzymać okrzyku zachwyty.

Znajdowałem się na pewnego rodzaju balkonie zawieszonym nad pustką, a przymocowanym nad samą krawędzią do skały. Nade mną — błękit, pode mną, o pięćdziesiąt metrów niżej, otoczony zewsząd iglicami tworzącymi nieprzerwany i nierozzerwalny pas — prawdziwy raj ziemski. W rozległym ogrodzie kołysały się lekko olbrzymie palmy. U ich stóp skupiły się wszelkie małe

drzewa oaz: drzewa migdałowe, cytrynowe, pomarańczowe i dużo innych, których z takiej wysokości nie mogłem rozpoznać. Szeroki błękitny strumień, zasilany przez kaskadę, rozlewał się w czarujące jezioro, którego powierzchnia mieniła się cudownymi barwami. Wśród tej otchłani zieleni krążyły wielkie ptaki. Na jeziorze rozpościerała się różowa płachta kwiatów czerwonaku. Wznoszące się zaś dokoła tego wszystkiego szczyty górskie, pokryte były śniegiem zupełnie.

Błękitny strumień, zielone palmy, złociste owoce a w górze ten cudowny śnieg – wszystko to składało się na całość tak piękną i czystą, że moje wątłe ludzkie nerwy nie mogły już znieść dłużej tego widoku. Oparłem czoło o balustradę pokrytą również tym boskim śniegiem i jałem płakać jak dziecko.

Morhange miał także usposobienie dziecka, ale obudziwszy się wcześniej, zdążył już oswoić się z otoczeniem, którego fantastyczność przytłaczała mnie!

Położył mi rękę na ramieniu i poprowadził łagodnie z powrotem do sali.

— Ależ nie widział pan jeszcze nic! Patrz, patrz!

— O, Morhange, Morhange!

— Cóż ja na to poradzę? Patrz pan!

Zacząłem wreszcie spostrzegać, że dziwna sala umeblowana była po europejsku. Były w niej wprawdzie tu i ówdzie okrągłe skórzane poduszki Tuaregów, pokrowce z Gafsu, kairskie dywany, wschodnie portiere, których w owej chwili nie miałbym odwagi odsłonić. Ale wpółotwarte drzwi w ścianie ukazywały bibliotekę pełną książek. A na ścianach wisiały reprodukcje starożytnych arcydzieł. Wreszcie był stół uginający się po prostu pod stosami papierów, broszur i książek. Myślałem, że oszaleję,

zobaczywszy numer ostatni *Przeglądu Archeologicznego*.

Spojrzałem na Morhange'a. I on popatrzył na mnie również i nagle wybuchnęliśmy obydwaj szalonym śmiechem, który trwał dobrą chwilę.

— Nie wiem — powiedział wreszcie Morhange — czy nie będziemy kiedyś żałowali tej wyprawy do Hoggaru. — Przyznaj pan, że na razie zapowiada się ona ciekawie i pełna jest nieprzewidzianych przygód. Ten niezwykle przewodnik, który nas usypia, aby nam oszczędzić niewygód podróży karawaną i wtajemniczyć w tak zachwalane rozkosze haszyszu, ta fantastyczna nocna wędrówka i na zakończenie ta grotka... doprawdy, wszystko to może wyprowadzić z równowagi najbardziej nawet trzeźwy umysł.

— Co pan jednak o tym wszystkim myśli?

— Co myśle? Mój biedny przyjacielu. Toż to samo, co i pan. Nic a nic nie rozumiem. Na nic zda się tutaj cała moja, jak ją pan nazywa, erudycja. Bo jakże może być inaczej? Ten troglodytyzm wprawia mnie w zdumienie. Pliniusz wspomina istotnie o tubylcach, żyjących w grotach w odległości siedmiu dni marszu na południowy zachód od kraju Amantów, a dwunastu na zachód od wielkiej Syrty. I Herodot powiada również, że Garamanci wygnali na swoich rydwanach zaprzężonych w konie, troglodyckich Etiopów, ale jesteśmy przecież w Hoggarze, w kraju Tuaregów, których żaden z badaczy nie przedstawiał dotychczas jako ludzi żyjących w grotach. Bo proszę, co znaczy ta grotka, która urządzona jest jak gabinet z reprodukcjami Wenus Medycejskiej i Apollona na ścianach? Można oszaleć, doprawdy można oszaleć.

I Morhange rzucił się na kanapę, zanosząc się od śmiechu.

— Patrz pan — rzekłem — łacina!

Wziąłem kilka oddzielnych kartek z biurka stojącego na środku sali. Morhange odebrał mi je z rąk i odczytywał chciwie. Na twarzy jego odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

— Coraz lepiej, mój drogi! Jest tutaj ktoś, piszący referat o wyspach Gorgony *De Gorgonum insulis*. Meduza była to według niego dzika Libijka, która mieszkała w okolicach jeziora Tryton, terazniejszego Chott Melhrir i tam właśnie Perseusz... Ach!

Głos Morhange'a załamał się. W tej samej chwili rozległ się w ogromnej sali inny przeciągły i skrzeczący głos:

— Proszę bardzo, niech pan moje papiery zostawi w spokoju.

Spojrzałem na wchodzącego.

Jedna z kotar Caramaniego rozchyliła się, wpuszczając osobę najmniej oczekiwaną. Mimo obojętności, z jaką przyjmowaliśmy najbardziej śmieszne ewentualności, pojawienie się tej postaci przekraczało granice wszelkiej nadzwyczajności.

Na progu stał mały łysy człowieczek o żółtej i szpiczastej twarzy, której znaczna część ginęła pod zielonymi okularami i małą bródką.

Miał olbrzymi wiśniowy krawat, białe spodnie, a jedynym wschodnim szczegółem jego ubrania były czerwone sandały. Miał też przypięty ostentacyjnie znaczek oficera Urzędu Oświecenia Publicznego.

Zebrał porozrzucane w odruchu osłupienia przez Morhange'a kartki, policzył je, ułożył i rzuciwszy na nas niechętnie spojrzenie, zadzwonił.

Kotara uniosła się znowu. Wszedł olbrzymi biały

Targijczyk¹. Miałem wrażenie, że jest to jeden z duchów, jakie widziałem w grocie.

— Ferradji — zapytał ze złością maleńki oficer z Urzędu Oświecenia Publicznego — dlaczego przyprawiono tych panów do biblioteki?

Targijczyk skłonił się z szacunkiem.

— Segheir-Ben-Szeik wrócił wcześniej niż go się spodziewano, sisi — odparł — i ludzie balsamujący ciało nie zdążyli jeszcze wykończyć swojej pracy — rzekł, wskazując na nas. — Przyprawiono ich na razie tutaj.

— Dobrze, możesz odejść — rzekł z furią mały człowieczek.

Ferradji doszedł do drzwi, cofając się tyłem. Na progu zatrzymał się i dorzucił:

— Przypominam panu, sisi, że podano już do stołu.

— Dobrze — precz!

Człowiek w zielonych okularach siadł przed biurkiem i począł nerwowo przerzucać papiery.

W owej chwili ogarnęła mnie nagle wściekła rozpacz. Zbliżyłem się doń.

— Panie — rzekłem — ani ja, ani mój towarzysz nie wiemy ani gdzie się znajdujemy, ani kto pan jesteś. Widzimy tylko, że jesteś Francuzem, nosisz bowiem jedną z najbardziej szanowanych honorowych dystynkcji naszego kraju. Toż samo mógł i pan u nas zauważyć — dorzuciłem, wskazując na czerwoną wstążeczkę na mojej białej kamizelce.

Spojrzał na mnie z pogardliwym zdziwieniem.

— Więc?

— Więc Murzyn, który wyszedł stąd przed chwilą, wymienił imię Segheir-Ben-Szeika, bandyty, zbrodniarza i jednego z zabójców pułkownika Flattersa. Czy pan wie o

tym szczególe?

Mały człowieczek popatrzył na mnie chłodno i wzruszył ramionami,

— Oczywiście. Ale cóż mnie to może obchodzić?

— Jak to? — wrzasnąłem, nie panując już nad sobą.
— Któż więc pan jesteś?

— Panie — zwrócił się człowieczek z komiczną godnością do Morhange'a — biorę pana za świadka dziwnego zachowania się pańskiego towarzysza. Jestem tutaj u siebie i nie pozwolę...

— Proszę, niech pan wybaczy memu koledze — rzekł, zbliżywszy się, Morhange. — Nie jest on, podobnie jak pan, człowiekiem uczonym. Pan wie, że młodzi porucznicy bywają zapalczywi. Zrozumie pan zresztą, że mamy obydwaj dość powodów, aby utracić zwykły spokój.

Byłem wściekły i miałem ochotę zaprotestować przeciwko pokornemu tonowi Morhange'a, spojrzawszy jednak na niego przekonałem się, że ironia malująca się na jego twarzy nie była mniejsza od jego zdumienia.

— Wiem, że oficerowie są po większej części gburami — mruknął staruszek — ale to jeszcze nie powód, żeby...

— Ja jestem oficerem — odparł Morhange tonem coraz bardziej uniżonym — nigdy jednak nie odczułem tak boleśnie niższości intelektualnej, jaka cechuje ten stan, jak przed chwilą, kiedy, pan mi wybaczy moją niedyskrecję, przrzucąłem pańską uczoną pracę, poświęconą historii Gorgony według Proklesa z Kartaginy, cytowanego przez Pauzaniaśa.

Na twarzy staruszka odmalowało się przekomiczne zdumienie.

— Co takiego? — zawołał.

— Szkoda wielka — ciągnął dalej niewzruszenie Morhange — że nie jesteśmy w posiadaniu ciekawej rozprawy, poświęconej pięknej sprawie napisanej przez Statiusa Sebosusa, o którym wspomina Pliniusz i że...

— Pan zna Statiusa Sebosusa?

— I że mój mistrz, geograf Berlioux...

— Pan znał Berliouxa, był pan jego uczniem? — wyjąkał uradowany staruszek.

— Miałem ten zaszczyt — odparł Morhange już bardzo chłodno.

— A zatem mój panie, zatem musiał pan słyszeć o problemie Atlantydy.

— W samej rzeczy prace Lagneau, Plioxa i Arboisa de Jubainville'a nie są mi obce — rzekł lodowato Morhange.

— O mój Boże! — wołał nieprzytomny prawie człowieczek. — Panie kapitanie, jakże jestem szczęśliwy! Przepraszam stokrotnie!

W tej samej chwili kotara znów się uniosła i ukazał się Ferradji.

— Sidi, każą panu powiedzieć, że jeśli nie przyjdiesz, to zaczną bez pana.

— Idę już, idę. Powiedz im Ferradji, że idziemy. Ach panie, gdybym był przewidział! Ale oficer, znający Proklesa z Kartaginy i Aboisa de Jubainville'a, to coś tak niezwykłego. Jeszcze raz... Ale niechże się przedstawię: Stefan de Mesge, docent uniwersytetu.

— Kapitan Morhange — rzekł mój towarzysz.

— Porucznik de Saint-Avit — rzekłem z kolei. — To prawda, że nie potrafię teraz odróżnić Arboisa z Kartaginy od Proklesa z Jubainville. Ale uzupełnię te luki później. Na razie chciałbym wiedzieć, gdzie się

znajdujemy, czy jesteśmy wolni, czy też w mocy jakiejś potęgi nadprzyrodzonej. Mam wrażenie, że jest pan tutaj zupełnie u siebie i że będzie mnie pan mógł w tym względzie, który uważam na razie za najważniejszy, poinformować.

Pan de Mesge popatrzył na mnie. Na ustach jego błędził dosyć zły uśmiech. Otworzył już usta...

Nagle rozległ się ostry dźwięk dzwonka.

— Za chwilę wytłumaczę panom wszystko... Na razie jednak musimy się spieszyć. Jest to pora śniadania i moi współbiednicy zaczynają się niecierpliwić.

— Współbiednicy?

— Jest ich dwóch — objaśnił pan de Mesge. — Stanowimy we trzech europejski personel tego domu, personel stały — dorzucił ze swoim niepokojącym uśmiechem. — Są to oryginały, z którymi będziecie zapewne chcieli mieć jak najmniej do czynienia. Jeden z nich to duchowny, umysł ciasny, chociaż protestant. Drugi — człowiek wykolejony, stary wariat.

— Przepraszam — rzekłem — to zapewne jego głos słyszałem tej nocy. Trzymał bank. Grał pewno z panem i pastorem?

Pan de Mesge wykonał gest lekceważenia.

— Ze mną, sądzi pan? On gra z Tuaregami. Wyuczył ich wszelkich możliwych gier. To on właśnie dzwoni tak przeraźliwie, żebyśmy się spieszyli. Jest już wpół do dziesiątej, a o dziesiątej otwiera się sala gry w *trente et quarante*. Spieszmy się. I panowie chyba posilicie się chętnie.

— I owszem, nie pogardzimy — odparł Morhange.

Poszliśmy za panem de Mesge poprzez długi ciemny korytarz, gdzie co krok były schody. W kutyh w skale

niszach pozawieszane były w pewnych odstępach różowe ample i kadzielnice. Powietrze nasycone tu było odorującymi wschodnimi zapachami, tworząc przyjemny kontrast z zimnym powietrzem śnieżystych szczytów.

Od czasu do czasu mijał nas niby niemy cień jakiś biały Targijczyk i słyszeliśmy za nami stukot jego sandałów.

Pan de Mesge zatrzymał się przed masywnymi drzwiami wykładanymi tym samym bladym metalem, który zauważyłem na ścianach biblioteki, otworzył je i wpuścił nas pierwszych.

Jakkolwiek stołowy pokój, do któregośmy weszli mało był podobny do europejskich stołowych pokoi, można mu było jednak pozazdrościć komfortu. Oświetlony był, podobnie jak biblioteka, przez oszkloną niszę. Zdałem sobie jednak sprawę, że o ile tamta wychodziła na ogród położony wewnątrz pierścienia górskiego, ta wychodziła na jego stronę zewnętrzną.

Nie było tu stołu pośrodku, ani tych barbarzyńskich mebli, które nazywają krzesłami. Za to moc kredensów ze złożonego drewna podobnych do weneckich dywanów o obcych i jaskrawych barwach i targijskich lub tunezyjskich poduszek. Pośrodku rozesłany był olbrzymi obrus, a na nim pośród srebrnej zastawy i naczyń z winnymi olejkami taka uczta, że sam jej widok wprawił nas w radosny zachwyty.

Pan de Mesge wystąpił naprzód, przedstawił nas dwóm osobistościom, co zajęły już miejsca przy stole.

— Pan Spardek — rzekł, i zrozumiałem, że w tym prostym zdaniu wyraża nasz staruszek całą swoją pogardę dla ziemskich tytułów.

Wielebny Spardek z Manchesteru uklonił się nam z wyrazem współczucia i poprosił, byśmy mu pozwolili

zatrzymać na głowie cylinder o szerokich kryzach. Był to człowiek słuszny, chudy, oschły i chłodny. Jadł poważnie i ponuro.

— Pan Bielowski — rzekł de Mesge, przedstawiając nas drugiemu towarzyszowi.

— Hrabia Kazimierz Bielowski, hetman żytomierski — poprawił uprzejmie ten ostatni i wstał, żeby nam uścisnąć dłonie.

Poczułem od razu sympatię do hetmana żytomierskiego, który był doskonałym typem pięknego starca. Rozdział przedzielał jego włosy koloru czekoladowego (dowiedziałem się później, że hetman farbował je jakimś odwarem). Nosił też również czekoladowe bokobrody a la Franciszek Józef. Nos miał z lekka czerwony, ale cienki, arystokratyczny. Ręce miał bajeczne. Przez chwilę zastanawiałem się, z jakiej epoki datuje się strój hrabiego koloru zielonego z żółtymi wyłogami, przyozdobiony wielką gwiazdą ze srebra i błękitnej emalii. Przypomniałem sobie portret księcia de Morny i zdecydowałem się na lata 1860-1862. Później okaże się, że się wcale nie omyliłem. Hrabia wskazał mi miejsce obok siebie. Jednym z pierwszych jego pytań było, czy dokupuję do pięciu.

— Zależy to od natchnienia — odparłem.

— Słusznie. Ja nie dokupuję już od roku 1866. Ślubowałem sobie. Grałem kiedyś u Walewskiego piekielną partię. Dokupuję do pięciu. Naturalnie przegrywam. Przeciwnik miał czwórkę. — *Idiota* — zawołał mały baron Chauv-Giseux. — Rozłuszczony rzucam weń butelką szampana. On schyla się i butelka trafia w marszałka Vaillanta. Tableau! Sprawa się załagodziła, bo byliśmy obydwaj wolnomularzami. Król kazał mi tylko przysiąc, że

nigdy już nie będę dokupywał do pięciu. Dotrzymuję przyrzeczenia, ale czasami ciąży mi to.

I dodał melancholijnym głosem:

— Pozwoli pan trochę tego Hoggaru z roku 1880. Doskonałe wino rodzime. To ja, poruczniku, nauczyłem tubylców używania soku winnego. Wino palmowe, doskonałe, jeśli umie się je odpowiednio wytwarzać, staje się z czasem niesmaczne. Ten Hoggar z roku 1880 był istotnie mocny. Kosztowaliśmy go w wielkich kubkach srebrnych. Było świeże jak wino reńskie, wytrawne jak wino Ermitażu. Powiadam ci, świetne wino.

Nalewał to wino i był najdowcipniejszym biesiadnikiem. Mięsa było mało, ale było ono znakomicie przyprawione. Wiele ciastek, faworków z miodu, pączków z aromatem, cukierków z daktylami. A przede wszystkim w wielkich połączonych półmiskach lub plecionych koszach z łożyny olbrzymie stopy owoców, fig, daktyli, migdałów, jujub, granatów, brzoskwiń, olbrzymich winogron o gronach dłuższych niż te, które zwieszały się z ramion dostawców hebrajskich w krainie Kanaanu, ciężkich, przeciętych na dwie połowy kawonów, o mięszu wilgotnym i różowym z czarnymi ziarenkami.

Zaledwie zdążyłem zjeść jeden z tych zamrożonych pięknych owoców, gdy pan de Mesge powstał:

— Jeśli panowie pozwolą — zwrócił się do Morhange'a i do mnie.

— Wyrwijcie się jak można najprędzej od tego starego nudziarza — szepnął mi hetman żytomierski. — Zacznie się zaraz partyjka *trente et quarante*. Zobaczycie, zobaczycie! Mocniejsza gra niż u Kory Pearl.

— Proszę panów — powtórzył suchym tonem pan de Mesge.

Poszliśmy za nim. Gdy znaleźliśmy się znowu we trzech w bibliotece zwrócił się do mnie.

— Pytał się pan mnie, jaka tajemna moc trzyma was tutaj. Ton pański był tego rodzaju, że byłbym panu odmówił odpowiedzi, gdyby nie pański towarzysz, który dzięki swojej wiedzy lepiej jeszcze od pana oceni całą doniosłość tego, o czym was za chwilę poinformuję.

Mówiąc to, przekręcił guzik ukryty w ścianie. Ukazała się szafa pełna książek. Wziął jedną z nich.

— Jesteście panowie — ciągnął dalej — obydwaj w mocy kobiety. Kobieta ta, królowa, sułtanka, absolutna władczyni Hoggaru, nazywa się Antinea. Niech pan tak nie drży, panie Morhange, zrozumie pan za chwilę.

Otworzył książkę i przeczytał następujące zdanie:

Zanim przystąpię do rzeczy, muszę was o jednym uprzedzić: niechaj was nie dziwi, że będę mówił o barbarzyńcach, noszących greckie imiona.

— Co to za książka? — wyszeptał Morhange, którego bladeść przeraziła mnie.

— Książka ta — odparł po woli pan de Mesge z niezwykłym wyrazem triumfu, ważąc każde słowo — jest to najwspanialszy ze wszystkich dialogów Platona *Critias* czyli *Atlantyda*.

— *Critias*? Ależ on jest niedokończony — szepnął Morhange.

— Niedokończony we Francji, w Europie, wszędzie, ale nie tutaj — rzekł pan de Mesge. — Tutaj jest w całości. Proszę niech pan sprawdzi ten egzemplarz.

— Ale co za związek, co za związek — powtarzał Morhange, przerzucając gorączkowo manuskrypt —

istnieje pomiędzy tym dialogiem całkowitym, tak, całkowitym, a tą kobietą Antineą? Dlaczego jest on w jej posiadaniu?

— Ponieważ — odparł niewzruszony człowieczek — książka ta jest jej księgą rodową – czymś w rodzaju almanachu gotajskiego – rozumie pan? Ponieważ zawiera ona jej cudowną genealogię, Antinea bowiem jest...

— Jest? — powtórzył Morhange.

— Jest wnuczką Neptuna, jest ostatnią przedstawicielką rodu Atlantydwów.

¹ Tuaregami białymi nazywają Murzynów, służących Tuaregów, ubranych na białą w odróżnieniu od panów, którzy noszą suknie błękitne. (Przyp. aut.)

IX

ATLANTYDA

Pan de Mesge popatrzył zwycięsko na Morhange'a. Widoczne było, że zwracał się wyłącznie do niego, że jego tylko uważa za godnego swoich zwierzeń.

— Wielu oficerów francuskich i cudzoziemców — rzekł — sprowadzał tutaj kaprys władczyni naszej, Antinei. Pan jest pierwszym, którego zaszczytam swoimi zwierzeniami. Ale był pan uczniem Berliouxa, a ja zawdzięczam temu wielkiemu człowiekowi tak wiele, iż zdaje mi się, że, dzieląc się z jego uczniem niezwykłymi rezultatami mych dociekań, czczę w ten sposób jego pamięć.

Zadzwoił. Zjawił się Ferradji.

— Kawy dla panów — rozkazał de Mesge.

Podsunał nam szkatułkę jaskrawo malowaną z egipskimi papierosami.

— Nigdy nie palę — wyjaśnił. — Ale Antinea przychodzi tu czasem. To jej papierosy. Palcie panowie.

Czułem zawsze wstręt do tego jasnego tytoniu, który pozwala pomocnikowi fryzjerskiemu z ulicy Michodiere

oddawać się złudzeniom rozkoszy wschodnich. Ale w braku innych, papierosy te miały swój powab. Od dawna już bowiem wyczerpał się mój zapas tytoniu.

— Mam tutaj komplet *Vie Parisienne* — zwrócił się do mnie de Mesge — może zechce go pan przejrzeć, podczas gdy ja będę rozmawiać z pańskim przyjacielem.

— Panie — odparłem dosyć ostro. — Nie byłem wprawdzie uczniem Berliouxa, pozwoli pan jednak, że posłucham waszej rozmowy. Nic wątpię, że zainteresuje mnie ona.

— Jak pan sobie życzy — odparł staruszek.

Siedliśmy wygodnie. Pan Le Mesge usiadł przed biurkiem i rozpoczął swoje opowiadanie:

— Przy całej obiektywności, jaką chcę zachować wobec spraw naukowych, nie mogę oddzielić zupełnie moich własnych dziejów od historii ostatniej potomkini Clito i Neptuna. Sprawia mi to przykreść, a zarazem zaszczyt. Jestem niejako synem moich własnych dzieł. Od wczesnego dzieciństwa uczułem zapał do nauk historycznych, które ożywił wiek XIX. Zrozumiałem, gdzie jest moje powołanie. Poszedłem za nim wbrew wszystkim i wszystkiemu.

Tak, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Bez żadnych środków, prócz mojej pracy i zasługi, zostałem przyjęty jako docent historii i geografii na konkursie w roku 1880. Był to wielki konkurs. Wśród trzynastu przyjętych znajdowały się nazwiska, które dzisiaj są już sławne: Julliana, Bourgeoisa, Auerbacha... Nie mam żalu do moich kolegów, że dostąpili tych publicznych zaszczytów. Z politowaniem czytam ich prace, a nieszczęsne błędy, na które skazuje ich brak należytego udokumentowania, odpląciłyby mi w zupełności przykreści uniwersyteckie i

nappełniły mnie ironiczną radością, gdybym już od dawna nie był wyższy ponad miłość własną.

Jako profesor liceum w Lyonie poznałem Berliouxa i studiowałem z zapalem jego prace nad historią Afryki. Od tej pory przyszedł mi na myśl oryginalny temat pracy doktorskiej. Chodziło o przeprowadzenie paraleli pomiędzy bohaterką Berberów z siódmego wieku, która walczyła przeciwko arabskiemu najeźdźcy, Kahenie, a bohaterką francuską, Joanną d'Arc. Zaproponowałem więc fakultetowi filozoficznemu następujący temat: *Joanna d'Arc i Tuaregowie*. Temat ten wywołał w całym świecie naukowym śmiech i drwiny. Przyjaciele uprzedzili mnie o tym po cichu. Nie chciałem im wierzyć. Ale zawezwano mnie do rektora, który najpierw dopytywał się, ku mojemu zdumieniu, bardzo troskliwie o moje zdrowie, a w końcu zaproponował mi dwuletni półpłatny urlop. Odmówiłem oburzony. Rektor nie nalegał, ale po upływie dwóch tygodni zostałem przeniesiony bez żadnych ceregieli do najbardziej zaniedbanego liceum francuskiego w Mont-de-Marsan. Pojmuje pan, że byłem rozgoryczony i wybaczy pan złe moje zachowanie się w tej zapadłej dzielnicy. Cóż można tam robić poza jedzeniem i pićmi? Oddawałem się tym zajęciom z całą namiętnością. Życie moje zapełniałem wątróbkami, bekasami i winami. Skutek był dość szybki: po upływie roku kości moje zaczęły trzeszczeć jak źle naoliwione koła roweru, który pędził zbyt długo po zakurzonej drodze. Uporczywa podagra przykuła mnie do łóżka. Na szczęście lekarstwo jest w tym błogosławionym kraju blisko. Pojechałem leczyć się do Dax.

Wynająłem pokój nad brzegiem Aduru, na promenadzie Baignots. Sprzątała mi go kobieta, która usługiwała również pewnemu staremu jegomościowi,

spensjonowanemu sędziemu śledczemu i prezesowi Towarzystwa Rogera Ducosa, w którym okoliczni uczeni studiowali z przedziwną niekompetencją najbardziej nieprawdopodobne kwestie. Pewnego popołudnia zostałem z powodu ulewnego deszczu w domu. Kobięcina czyściła właśnie z zapalem klamkę u moich drzwi. Używała do tego pasty, zwanej *trigoli*, którą położyła na kawałku papieru. Dziwny wygląd tego papieru zwrócił moją uwagę. Przyjrzałem mu się. — Na miłość Boską! Skąd macie ten papier?

Przeraziła się:

— U mojego uczonego są całe stosy takich samych. Wyrwałam go z kajetu.

— Macie tu dziesięć franków i przynieście mi ten kajet.

Po upływie kwadransa przyniosła mi go. Na szczęście nie brakło w nim żadnej innej kartki prócz tamtej. A czy wie pan co to był za kajet? Był to ni mniej ni więcej, tylko rękopis *Podróży do Atlantydy* mitografa Denisa z Miletu, cytowany przez Diodora, nad którego zaginięciem tak często rozpaczał Berlioux.

W tym nieocenionym dokumencie było dużo cytatów z *Critiasa*. Odtwarzał on zasadniczą treść słynnego dialogu, którego jedyny w świecie egzemplarz miał pan przed chwilą w ręce. Wskazywał on w sposób niepodlegający dyskusji położenie zamku Atlantydów i wykazywał, że siedziba ta, której istnienia zaprzecza dzisiejsza nauka, nie została zalana przez fale, jak to sobie wyobrażają nieliczni obrońcy hipotezy atlantydzkiej. Nazywa się po prostu *centralnymi górami mazycejskimi*. Wiadomo panu, że identyczność *Mazysów* Herodota z

ludami Imoszaocha, Tuaregami, nie ulega żadnej wątpliwości. Otóż rękopis Denisa utożsamia Mazysów historycznych z Atlantydami wspomnianej legendy.

Denis pouczył mnie więc, że środkowa część Atlantydy, kolebka i siedziba dynastii neptuńskiej, nie tylko nie zaginęła podczas katastrofy opisanej przez Platona, która pochłonęła resztę wyspy Atlantydy, ale że część ta odpowiada Hoggarowi Targijskiemu, i że w tym Hoggarze, przynajmniej w jego epoce, szlachetna dynastia Neptuńska rozmnażała się jeszcze ciągle.

Historycy Atlantydy ustalają datę kataklizmu, co zniszczył całą lub część wyspy, na dziewięć tysięcy lat przed Chrystusem. Skoro Denis z Miletu, który dzieło swoje pisał niecałe dwa tysiące lat temu, twierdzi, że za jego czasów dynastia pochodząca od Neptuna panowała jeszcze, to przyszło mi na myśl: czemu by coś, co przetrwało dziewięć tysięcy lat, nie mogło przetrwać jedenaście tysięcy? Od tej chwili miałem jedyny cel: nawiązać stosunki z potomkami rodu Neptuna i wykazać im ich świetną przeszłość, o której, jak sądziłem nic nie wiedzą.

Zrozumiecie panowie, że nie zwierzyłem się z tym przed władzami uniwersyteckimi. Prosić ich o pomoc i pozwolenie, wiedząc jakie jest ich usposobienie względem mnie, znaczyło narażać się dobrowolnie na więzienie. Zebrałem więc wszystkie swoje drobne oszczędności i wyruszyłem cicho, bez rozgłosu, do Oranu. Pierwszego października przybyłem do In-Salah. Wyciągnięty wygodnie pod palmą oazy myślałem z prawdziwą rozkoszą o tym, że tego samego dnia oszalały dyrektor w Mont-de-Marsan, powstrzymując z trudnością dwudziestu wyjących przed drzwiami pustej klasy bachorów, wysyła na

wszystkie strony depesze gończe za swoim zaginionym profesorem historii.

Pan de Mesge przerwał na chwilę i rzucił na nas pełne zadowolenia spojrzenie.

— Wybacz pan, jeśli opowiadanie pańskie — rzekłem wówczas — interesuje mnie więcej niż się tego spodziewałem. Ale, jak panu wiadomo, wielu rzeczy nie jestem w stanie zrozumieć. Mówił pan o dynastii Neptuna. Cóż to za dynastia, od której, jak mi się zdaje, pochodzi Antinea? Jaką rolę odgrywa ona w historii Atlantydy?

Pan Le Mesge uśmiechnął się pobłaźliwie i spojrzał z ukosa na Morhange'a. Poprawił okulary i zaczął czytać. Zdawało się, że magiczna siła platońska przeistoczyła tego śmiesznego staruszka.

Rozlosowawszy pomiędzy sobą różne części ziemi, jedni z bogów wzięli w posiadanie większe, inni mniejsze obszary. Neptun, któremu przy podziale przypadła wyspa Atlantyda, w jednej jej części osadził potomstwo, które miał ze śmiertelniczki. Była to równina, położona pośrodku wyspy, ale niedaleko od morza, najpiękniejsza i najżyźniejsza z równin. O pięćdziesiąt staj od tej równiny, w samym centrum wyspy, była góra. Mieszkał tam jeden z tych ludzi, którzy na początku świata urodzili się z Ziemi, Evenor z żoną swoją Leucippe. Mieli oni jedyną córkę Clito, z którą po śmierci rodziców ożenił się Neptun. Neptun też ufortyfikował górę, oddzielił ją od reszty wyspy. Opasał on ją kolejno pierścieniami morza i ziemi, z których jedne były mniejsze, drugie większe, dwoma pierścieniami ziemi i trzema morza i zaokrąglił je w środku wyspy, tak że wszystkie ich części znajdowały się w równej odległości...

Pan de Mesge przerwał czytanie.

— Czy nic to panu nie przypomina? — zapytał.

Spojrzałem na Morhange'a, pogrążonego w głębokich rozmyślaniach.

— Nic? — nalegał ostrym głosem profesor.

— Morhange, Morhange — wybełkotałem — przypomnij pan sobie naszą wczorajszą wędrówkę, nasze porwanie, te dwa korytarze, które przebyliśmy, zanim dostaliśmy się tutaj... Dwa pasy ziemi i morza... dwa korytarze... dwa pierścienie ziemi...

— Che! che! — roześmiał się pan de Mesge.

I spojrzał na mnie z uśmiechem. Zrozumiałem ten uśmiech. Mówił on: Czyżbyś pan był mniej tępy, niż sądziłem?

Z widocznym wysiłkiem przerwał Morhange milczenie.

— Rozumiem, rozumiem... Trzy pasy morza... Ależ panie, stawia więc pan w swojej interpretacji, której pomysłowości nie zaprzeczam, hipotezę istnienia Morza Syryjskiego?

— Tak jest, i podtrzymuję ją — odparł popędliwie staruszek, uderzając w biurko.— Wiem dobrze, że Shirmer i inni uczeni wypowiadają się przeciwko temu. Wiem o tym lepiej niż pan. Wiem wszystko, panie. Dostarczę panu wszelkich dowodów. Dziś przy obiedzie będziecie spożywali ryby. Powiecie mi panowie później, czy ryby te, łowione w jeziorze, które widać z tego okna, przypominają ryby wód słodkich.

— Rozumie pan teraz — ciągnął dalej już z większym spokojem — błąd ludzi, którzy, wierząc w istnienie Atlantydy, sądzili, że została ona podczas kataklizmu całkowicie zatopiona. Wszyscy myśleli, że

nastąpiło wówczas zatopienie. Tymczasem było to wynurzenie się z fali. Z fal Atlantyku wyłoniły się nowe ziemie. Pustynia zajęła miejsce morza. Sebhazy, saliny, jeziora Trytonów, piaszczyste Syrty są to opustoszałe ślady ruchomych fal, po których płynęła niegdyś flota, udająca się na podbój Attyki. Piasek więcej od wody pochłania cywilizację. Z pięknej wyspy, którą wbijały w dumę i otaczały zielenią morze i wiatry na zawsze od świata żywego, utrzymała się tylko ta cudna oaza, którą macie przed waszymi stopami, te czerwone owoce, ta kaskada, to błękitne jezioro – jedyni świadkowie minionego złotego wieku. Wczoraj wieczorem, przybywając tutaj, przeszliście przez pięć pasów, przez trzy pasy wyschniętego morza i dwa pasy ziemi, przecięte korytarzami, które przebyliście na wielbłędach. Korytarzami tymi płynęły niegdyś trójżaglowce. Dawną wspaniałość zatrzymała po tej olbrzymiej katastrofie tylko ta góra, gdzie Neptun umieścił niegdyś swą ukochaną Clito, córkę Evenora i Leucippe, matkę Atlasa a przedwieczną prababkę Antinei, władczyni krainy, z której nie wyjdzie już nigdy.

— Panie — rzekł Morhange z wyszukaną grzecznością — byłoby rzeczą zupełnie naturalną, gdybyśmy się chcieli przede wszystkim dowiedzieć, jakie są powody i jaki cel naszego uwięzienia. Ale pańskie rewelacje zaciekawiają mnie do tego stopnia, że pomijam na razie tę kwestię natury prywatnej. W tych dniach odkryłem w dwóch grotach wyryte to imię greckie. Dzięki panu i dzięki boskiemu Platonowi rozumiem teraz, iż nie należy się dziwić, skąd wzięły się pośród barbarzyńców greckie imiona. Zdumiewa mnie jednak w dalszym ciągu etymologia tego słowa. Czy zechce mi ją pan wyjaśnić?

— Z największą chęcią — odparł de Mesge. — Nie

jest pan pierwszym, który mi to pytanie zadaje. Większość podróżnych, których widziałem tutaj od lat dziesięciu, zwabiona została w ten sam sposób: zaciekał ich ten grecki wyraz napisany narzeczem tifinar. Mam nawet dość dokładny katalog napisów i grot, w jakich się one znajdują. Wszystkie lub prawie wszystkie są tej treści: *Antinea. Tu zaczyna się jej władanie*. Kazałem nawet odmalować świeżo ochrą, te, które zaczynały się już zacierać. Ale wracając do tego, co już w pierw powiedziałem, żaden z Europejczyków, których ten tajemniczy napis tu przyprowadził, znalazłszy się już w pałacu Antinei, nie dociekał jego etymologii. Zaprzętało ich wówczas inne zagadnienie. Dałoby się dużo powiedzieć o tym, jak łatwo zapominają uczeni o kwestiach czysto naukowych i jak je poświęcają dla trosk bardziej przyziemnych, na przykład swego życia.

— Do kwestii tej powrócimy, jeśli pan pozwoli, innym razem — rzekł z niezmienną kurtuazją Morhange.

— Zrobiłem tę dygresję, aby pana przekonać, że nie zaliczam go do tego niższego gatunku uczonych. Pan istotnie interesuje się pochodzeniem wyrazu *Antinea*, zanim jeszcze dowiedziałeś się, jakiego typu kobieta je nosi i dla jakich powodów jesteście panowie obydwaj jej więźniami.

Popatrzyłem uważnie na staruszkę. Ale mówił on zupełnie poważnie.

— Tym lepiej dla ciebie — pomyślałem. — Inaczej, wyrzuciłbym cię przez okno, tam mógłbyś ironizować do woli. Prawo przyciągania ciał nie jest z pewnością odmienne w Hoggarze.

— Sformułował pan zapewne — ciągnął dalej niewzruszony moim gniewnym wzrokiem pan de Mesge, zwracając się do Morhange'a — kilka hipotez

etymologicznych, kiedy zobaczył pan po raz pierwszy owo imię, Antinea. Czy mógłby mi pan powiedzieć?

— Owszem — rzekł Morhange.

I wyliczył szczegółowo etymologie, o których wyżej mówiłem.

Człowiek z wzniesionym półkoszulkiem zatarł ręce.

— Doskonale — potwierdził akcentem najwyższej radości. — Arcydoskonale, jak na średnie znajomości greczyzny, które pan posiada. Mimo to, jest to wszystko fałszywe, arcyfałszywe. Nie będę jednak pana długo męczył: Słowo *Antinea* składa się z następujących części: *ti* jest tylko przymieszką barbarzyńską w tym rdzennie greckim nazwisku. *Ti* jest to przedimek rodzaju żeńskiego w narzeczu berberyjskim. Mamy kilka przykładów takiej przymieszki. Na przykład Tipasa, miasto północno-afrykańskie. Nazwa jego oznacza *cała*, od *ti πασα*; zaś *tinea* znaczy *nowa*, od *ti i vea*«.

— A przedrostek *an* — zapytał Morhange.

— Po to więc męczyłem się — odparł pan Le Mesge — mówiąc panu przez godzinę o Critiasie, aby dojść do takiego nędznego rezultatu? Pewne jest, że przedrostek *an* nie oznacza sam nic. Zrozumie pan, jeśli mu powiem, że jest to bardzo ciekawy wypadek skrótu wyrazu. Nie należy czytać *an*, ale *atlan*. *Atl* odpadło przy skrócie. Pozostało *an*. W rezultacie więc Antinea da się rozłożyć następująco: *Ti-vea-atl* 'Av. A oznacza to *nowa Atlanta*.

Spojrzałem na Morhange'a. Zdumienie jego nie miało granic. Berberyjski przedimek *ti* wprowadził go nieomal w osłupienie.

— Czy miał pan okazję sprawdzić tę zadziwiająca etymologię? — wyrzekł wreszcie.

— Wystarczy jeśli pan przejrzy tych kilka książek

— odparł pogardliwie pan de Mesge.

Otworzył kolejno pięć, dziesięć, dwadzieścia szaf, oczom naszym ukazała się wspomniana biblioteka.

— Wszystko, wszystko tu jest — szepnął Morhange z wyrazem przerażenia i podziwu.

— Przynajmniej wszystko, co warte jest poznania — rzekł de Mesge. — Wszystkie wielkie dzieła, których utrata tak boli naszych pseudouczonech.

— W jaki sposób dostały się one tutaj?

— Drogi panie, jak mnie pan zasmuca, choć sądziłem, że wtajemniczony pan jest w pewne rzeczy, Czyż zapomniał pan o tym, co mówi Pliniusz Stary o bibliotece Kartaginy i skarbach, jakie tam były nagromadzone. Gdy w roku 146 miasto to padło pod razami tego hultaja Scypiona, senat rzymski, to zbiorowisko analfabetów, potraktował te skarby z lekceważeniem. Ofiarował je tamtejszym królom. W ten sposób Mastanabal zagarnął cudowne dziedzictwo. Przechodząc z ojca na syna, dostały się one z kolei synom i wnukom, Hiempsalowi, Jubie I, Jubie II, mężowi przedziwnej Kleopatry Selene, córki Kleopatry Wielkiej i Marka Antoniusza. Kleopatra Selene zrodziła córkę, która wyszła za króla Atlanty. W ten sposób zalicza Antinea, córka Neptuna, do przodków swych także nieśmiertelną królową. I tą drogą spadku biblioteka Kartaginy, wzbogacona szczątkami biblioteki Aleksandrii, znajduje się obecnie przed panem.

Wiedza ucieka od człowieka i podczas gdy powstały potworne, pseudonaukowe wieże Babel w Berlinie, Londynie i Paryżu, prawdziwa wiedza zamknęła się w tym zakątku, w Hoggarze. Mogą tworzyć tam rozmaite hipotezy, oparte na zagubionych dziełach świata starożytnego: dzieła te nie zginęły. Są tutaj. Tutaj są księgi

hebrajskie, chaldejskie, asyryjskie. Tutaj znajdują się wielkie tradycje egipskie, które natchnęły Solona, Herodota i Platona. Tutaj są mitografowie greccy, czarnoksiężnicy Afryki romańskiej, marzyciele hinduscy, słowem, wszystkie skarby, których brak powoduje śmieszne współczesne rozprawy. Wierz mi pan, że ja, skromny człowiek, zostałem srodze pomszczony za to, że wzięto mnie tam w kraju za wariata. Żyłem, żyję i żyć będę, zaśmiewając się z ich pseudoerudycji. A gdy umrę, wówczas i nadal, dzięki starożytności zazdrosnego o swą ukochaną Clito Neptuna, który odciął ją od reszty świata, też same omyłki panować będą nad ich politowania godnymi piśmidłami.

— Twierdzi pan więc, że Egipt wywarł pewien wpływ na tutejszą cywilizację? — zapytał Morhange głosem bardzo poważnym. — Dla przyczyn, które może kiedyś panu wyjaśnię, pragnąłbym mieć dowody tego,

— Nic łatwiejszego — odparł de Mesge.

Wtedy zbliżyłem się do starca.

— Dwa słowa tylko — rzekłem brutalnie. — Wszystkie te naukowe dociekania uważam w danej chwili za zupełnie bezsensowne. Nie z mojej winy miał pan przykrości na uniwersytecie i nie jest pan dzisiaj w College de France czy gdzie indziej. Na razie obchodzi mnie tylko jedna rzecz: chcę wiedzieć, co my tu robimy, co ja tu robię. Bardziej niż grecka lub berberyjska etymologia imienia Antinea, obchodzi mnie to, czego ta dama właściwie od nas chce. Kolega mój chce wiedzieć, jakie stosunki łączą ją ze starożytnym Egiptem: to bardzo pięknie. Co do mnie, pragnąłbym znać jej stosunek do gubernatorstwa generalnego Algieru i do biur arabskich.

Pan de Mesge roześmiał się złośliwie.

— Dam panom odpowiedź, która was obydwóch zadowoli.

I dodał:

— Proszę za mną. Czas już, abyście się o wszystkim dowiedzieli.

X

SALA Z CZERWONEGO MARMURU

Poszliśmy znowu za panem Le Mesge'em przez nieskończenie długie schody i korytarze,

— W labiryncie tym traci się wszelkie poczucie orientacji — szepnąłem do Morhange'a.

— Traci się przede wszystkim głowę — odparł szepsem mój towarzysz. — Ten stary wariat posiada bez kwestii głęboką wiedzę, ale Bóg jeden wie, do czego zmierza. Zresztą obiecał, że dowiemy się wszystkiego.

Pan Le Mesge zatrzymał się przed ciężkimi ciemnymi drzwiami inkrustowanymi w dziwaczne znaki. Otworzył je.

— Proszę, wejdźcie panowie — rzekł.

Wionął na nas prąd zimnego powietrza. W sali, do którejśmy weszli, panowała atmosfera piwniczna. Na skutek panującego tam półmroku, nie od razu zdałem sobie sprawę z jej rozmiarów. Oświecało ją dwanaście miedzianych lamp, stojących na podłodze niby kolumny, a jaśniejących wielkimi purpurowymi płomieniami. Gdyśmy weszli, wiatr z korytarza poruszył płomienie, które chwiały

się przez chwilę, rzucając dokoła nas olbrzymie i dziwacznie zniekształcone cienie. Po chwili ustał powiew, płomienie zeszywniały i kraśne ich dzioby sterczały znowu nieruchomo pośród ciemności.

Tych dwanaście olbrzymich lamp (każda z nich była ze trzy metry wysoka) ustawionych było w koronę o średnicy co najmniej pięćdziesięciu stóp. Pośrodku tego koła dojrzałem ciemną plamę, mieniającą się dziwaczными czerwonymi refleksami. Zbliżywszy się, ujrzałem świeże źródółko, które powodowało chłód panujący w sali.

W kamieniu, z którego toczyła się szmerząca i cienista fontanna, wykute były olbrzymie ławy. Wyłożone one były miękkimi poduszkami. Dwanaście kadzielnic, ustawionych wewnątrz koła z czerwonych lamp, tworzyło drugi krąg o mniejszej średnicy. Dymu z nich nie było widać w ciemności, ale upojny ich zapach w połączeniu z chłodem i cichym szmerem fontanny budził w duszy pragnienie, aby tu pozostać na zawsze.

Pan Le Mesge wskazał nam olbrzymie krzesła w środku sali. Sam zajął miejsce pomiędzy nami.

— Za chwilę — rzekł — oczy panów przyzwyczajają się do ciemności.

Zauważyłem, że mówi cicho niby w świątyni.

Powoli oczy nasze przywykły naprawdę do czerwonego światła, które oświetlało tylko małą część olbrzymiej sali.

Sklepienie całe pogrążone było w ciemnościach i nie można było określić jego wysokości. Z trudnością dostrzegłem ponad naszymi głowami wielki złoty żyrandol, po którym oślizgiwało się także czerwone światło. Niepodobna jednak było określić długości łańcucha, na którym zawieszony był u tonącego w mroku sufitu.

Marmurowa posadzka była tak gładka, że odbijało się w niej światło pochodni.

Sala ta, powtarzam, była okrągła, a fontanna, do której byliśmy tyłem odwrócenii, stanowiła jej środek.

Byliśmy zwrócenii twarzą do okrągłych ścian. Wzrok nasz nie mógł się naraz oderwać. Oto cośmy ujrzeli: Składały się one z całego szeregu ciemnych nisz, których czarna linia przerwana była przed nami przez drzwi, którymi weszliśmy, a za nami, przez inne drzwi, których istnienia domyśliłem się, odwróciwszy się. Od jednych drzwi do drugich naliczyłem sześćdziesiąt nisz, czyli w sumie było ich sto dwadzieścia. Każda z nich była na trzy metry wysoka, a jeden szeroka. Każda z nich zawierała rodzaj skrzyni szerszej u góry niż u dołu, a zamkniętej tylko w dolnej części. We wszystkich tych skrzyniach, za wyjątkiem stojących na wprost mnie, dostrzegłem jakąś błyszczącą bryłę w kształcie człowieka, coś niby posąg z bardzo jasnego brązu. W odcinku koła, jaki miałem przed oczyma, naliczyłem trzydzieści tych dziwacznych posągów.

Co to za posągi? Chciałem wiedzieć. Wstałem.

Pan Le Mesge położył mi rękę na ramieniu.

— Za chwilę — szepnął cichutko — za chwilę.

Wzrok profesora utkwiony był we drzwiach, przez które weszliśmy, a za którymi słyhać było coraz wyraźniej szmer kroków!

Drzwi otworzyły się cichutko i wkroczyło trzech białych Tuaregów. Dwóch z nich niosło na ramionach podłużną paczkę, trzeci wyglądał na ich przełożonego.

Na znak jego postawili paczkę na ziemi i wzięli z jednej z nisz podłużną skrzynię, które znajdowały się we wszystkich niszach.

— Możecie się panowie przybliżyć — zwrócił się do nas pan Le Mesge.

Dał znak i trzej Tuaregowie odsunęli się nieco.

— Prosił mnie pan przed chwilą — zwrócił się do Morhange'a — abym panu dał dowód wpływu kultury egipskiej na ten kraj. Cóż pan powie o tej skrzyni?

Mówiąc to, wskazał na skrzynię, którą służący wyjęli z niszy i położyli na podłodze.

Morhange wydał głuchy okrzyk.

Mieliśmy przed sobą jedną z takich skrzyń, w jakich przechowywano mumie. Toż samo lśniące drzewo, te same żywe barwy malowideł, tylko zamiast hieroglifów było pismo tifinar. Już sam kształt, wąski u dołu, a szeroki w górze, mógł nas o tym natychmiast przekonać.

Wspomniałem już, że dolna część tej skrzyni była zamknięta i tworzyła prawidłową kwadratową podstawę.

Pan Le Mesge przykląkł i umieścił na dolnej części skrzyni kwadratową białą kartę, rodzaj szerokiej etykiety, którą wziął z biurka, wychodząc z biblioteki.

— Możecie panowie przeczytać — rzekł po prostu, ciągle przyciszonym głosem.

Przyklęknąłem także, gdyż skąpe światło kandelabrow z trudnością tylko pozwalało odcyfrować etykietę, na której zdołałem jednak rozpoznać pismo profesora.

Tłustym rondowym pismem wypisane były te proste słowa:

Numer 53

Major Sir Archibald Russel

Urodzony w Richemont 5 czerwca 1860

Umarł w Hoggarze 3 grudnia 1896 roku

Wyprostowałem się gwałtownie.

— Major Russel! — krzyknąłem.

— Ciszej, ciszej! — rzekł pan Le Mesge. — Tutaj nie wolno nikomu podnosić głosu.

— Major Russel — powtórzyłem, zniżając mimo woli głos — który wyruszył w roku ubiegłym z Chartumu, aby zbadać Sokoto?

— Ten sam — odparł profesor.

— A gdzie jest major Russel?

— Jest tutaj — odpowiedział Le Mesge.

Profesor uczynił znak ręką. Biali Tuaregowie zbliżyli się,

W tajemniczej sali panowała przytłaczająca cisza, przerywana tylko szmerem fontanny.

Trzej Murzyni poczęli rozwijać paczkę, którą przynieśli i położyli obok malowanej skrzyni, Morhange i ja patrzyliśmy skamieniało z przerażenia.

Oczom naszym ukazała się zeszywniała postać ludzka. W świetle czerwonych płomieni leżał przed nami na podłodze, spowity w biały muślin posąg z jasnego brązu, taki sam, jak te, co stojąc dokoła nas w niszach, wpatrywały się w nas przenikliwie.

— Sir Archibald Russel — szepnął powoli pan Le Mesge.

Morhange zbliżył się w milczeniu i podniósł muślinową zasłonę. Powoli, powoli odsłaniał ponury posąg z brązu.

— Mumia... mumia — przemówił wreszcie — pan się myli, to nie jest mumia.

— Ściśle mówiąc — odparł pan Le Mesge — nie jest to mumia. Śmiertelne szczątki, które macie panowie przed sobą, są to rzeczywiście szczątki Sir Archibalda Russela. Tylko muszę zwrócić uwagę, że sposób balsamowania praktykowany w państwie Antinei, różni się od sposobów starożytnego Egiptu. Nie ma tu natronu ani opasek, ani wonnych balsamów. Przemysł Hoggaru doszedł od razu do wyników, które wiedza europejska osiągnęła dopiero po długich poszukiwaniach. Kiedy przybyłem tutaj, stwierdziłem z wielkim zdumieniem, że praktykują tutaj metodę, którą zna jedynie świat cywilizowany.

Pan Le Mesge uderzył lekko palcem w matowe czoło Sir Archibalda Russela. Dał się słyszeć dźwięk metalu.

— Ależ to brąz — szepnąłem. — To nie może być czoło ludzkie. To brąz.

Pan Le Mesge wzruszył ramionami.

— To czoło ludzkie, a nie brąz — zapewnił stanowczo. — Brąz jest ciemniejszy. Ten metal, jest to nieznany metal, o którym wspomina Platon w *Critiasie*, a który jest czymś pośrednim pomiędzy złotem a srebrem. Jest to metal stanowiący właściwość gór Atlantydy: orychalk.

Nachyliwszy się jeszcze niżej stwierdziłem, że jest to ten sam metal, którym pokryte były ściany biblioteki.

— Tak, to orychalk — ciągnął dalej pan Le Mesge. — Widzę, że nie możecie panowie zrozumieć w jaki sposób ciało ludzkie może stać się posągami z orychalku. Czy pan, panie kapitanie, nie słyszał nigdy o metodzie doktora Variota, który do zachowania ciał stosuje inną

metodę, nie balsamowanie?¹ Nie czytał pan nigdy jego książki? Wyjaśnia on w niej metodę, zwaną galwanoplastyczną. Naskórek człowieka pokrywa się cieniutką warstwą soli srebra, ażeby był dobrym przewodnikiem. Następnie zanurza się ciało w siarczanie miedzi i polaryzacja dokonuje dzieła. Tę właśnie metodę zastosowano do ciała czcigodnego angielskiego majora, z tą tylko różnicą, że kąpiel z siarczanu miedzi, zastąpiono kąpielą z siarczanu orychalku, materiału bardzo rzadkiego. Tym sposobem zamiast posągu miedzianego, otrzymuje się posąg z metalu cenniejszego niż złoto i srebro, słowem posąg godny wnuczki Neptuna.

Pan Le Mesge skinął. Czarni niewolnicy wzięli ciało. W przeciągu kilku minut wsunęli upiora z orychalku do malowanego pokrowca i ustawili w niszy, sąsiadującej z inną niszą, noszącą numer 52.

Zrobiwszy to, usunęli się w milczeniu. Zimny powiew śmierci rozkołysał jeszcze raz płomień miedzianych pochodni i rzucił dokoła nas tańczące, wielkie cienie.

Morhange i ja skamienieliśmy jak otaczające nas posągi z jasnego metalu. Z wysiłkiem, chwiejąc się na nogach, zbliżyłem się nagle do niszy sąsiadującej z tą, do której włożono zwłoki majora angielskiego. Spojrzałem na etykietkę numer 52.

Opierając się o czerwony marmur ściany, przeczytałem:

— *Numer 52, Kapitan Wawrzyniec Deligne, Urodzony w Paryżu, 22 lipca 1861 roku. Zmarł w Hoggarze 20 października 1869 roku.*

— Kapitan Delinge — szepnął Morhange — który w roku 1895 wyjechał z Colomb-Bechar do Trimmimun i

przepadł bez wieści.

— Tak jest — rzekł Le Mesge i skinął lekko głową.

— *Numer 51* — czytał Morhange, a zęby mu dzwoniły. — *Pułkownik von Wittman, urodzony w Jenie w roku 1855. Umarł w Hoggarze 1 maja 1896 roku.* Pułkownik Wittman badacz Kanemu, który przepadł w okolicach Agades.

— Tak jest — powtórzył Le Mesge,

— *Numer 50* — czytałem z kolei, chwytając się ściany, aby nie upaść. — *Markiz Alonze d'Oliveira, urodzony w Kadyksie 21 lutego w 1868 r. Zmarł w Hoggarze 1 stycznia 1896 roku...* Oliveira, który wyruszył w kierunku Arauanu.

— Tak jest — rzekł Le Mesge. — Ten Hiszpan był jednym z najbardziej wykształconych ludzi, jakich tu spotkałem. Miewałem z nim ciekawe dyskusje na temat geograficznego pochodzenia królestwa Antinei.

— *Numer 49* — rzekł Morhange, a głos jego był cichy jak szept. — *Porucznik Woodhouse, urodzony w Liverpoolu 15 września 1870 roku. Zmarł w Hoggarze 4 października 1895 roku.*

— Prawie dziecko — rzekł Le Mesge.

— *Numer 48* — czytałem ja z kolei. — *Podporucznik Ludwik de Maillefen, urodzony w Prowansji...*

Nie mogłem dokończyć. Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło.

Ludwik de Maillefen! mój najserdeczniejszy przyjaciel z lat dziecińczych ze szkół w Saint-Cyr i później... Patrzyłem nań, poznawałem go pod metalową powłoką. Ludwik de Maillefen!

I przycisnąwszy czoło do chłodnej ściany

rozszołałem się żałością.

Usłyszałem przygnębiony głos Morhangea, zwrócony do profesora.

— Panie, scena ta trwa już dość długo. Czas ją zakończyć!

— Chciał wiedzieć — odparł Le Mesge — cóż miałem począć?

Zbliżyłem się doń. Chwyciłem go za ramiona.

— W jaki sposób znalazł się tutaj? Dlaczego umarł?

— Umarł tak jak wszyscy inni — odparł profesor — jak porucznik Woodhouse, kapitan Deligne, major Russel, pułkownik Wittman, jak czterdziestu siedmiu poprzednich, jak wszyscy ci, co umrą w przyszłości.

— Dlaczego oni umarli? — zapytał rozkazująco z kolei Morhange,

Profesor popatrzył nań, Morhange zbladł.

— Dlaczego umarli? Umarli z miłości.

I dodał bardzo cicho i bardzo poważnie:

— Teraz już wiecie.

W sposób łagodny i delikatny odciągnął nas pan Le Mesge od metalowych posągów, W chwilę później Morhange i ja siedzieliśmy znowu na miękkich poduszkach pośrodku sali. Skarga niewidzialnej fontanny szemrała u naszych nóg.

Pan Le Mesge siadł pomiędzy nami.

— Teraz już wiecie — powtórzył. — Wiecie, ale nie rozumiecie jeszcze.

Wtedy powolnym głosem wyrzekł te słowa:

— Jesteście, tak jak wszyscy, więźniami Antinei...
A Antinea mści się.

— Mści się? — zapytał już znowu spokojny Morhange. — A za co? Co złego uczyniliśmy Atlantydzie,

porucznik i ja? Czym zasłużyliśmy na jej nienawiść?

— Jest to dawna, niezmiernie dawna walka — odparł poważnie profesor. — Walka, która przewyższa pańskie siły, panie Morhange.

— Proszę, niech się pan jaśniej tłumaczy, panie profesorze,

— Wy jesteście mężczyznami, ona – jest kobietą — rzekł melancholijnie pan Le Mesge. — W tym tkwi wszystko.

— Doprawdy nie rozumiem... nie rozumiemy.

— Zaraz pan zrozumie. Czyż naprawdę zapomniał pan do jakiego stopnia krzywdzone były piękne królowe barbarzyńskich ludów przeszłości przez cudzoziemców, których los zsyłał na ich wybrzeża? W poemacie swoim *Dziewczę z Otaiti* odmalował poeta Victor Hugo doskonale ich podłe postępowanie. Jak daleko sięgnąć pamięcią, nie spotkamy nic prócz brutalności i niewdzięczności. Panowie ci wyzyskiwali do syta ich urodę i bogactwo. Potem pewnego pięknego poranku znikali. Dobrze jeszcze, jeśli nie wracali po pewnym czasie z wojenną flotą i wojskiem okupacyjnym.

— Pańska erudycja zachwyca mnie — rzekł Morhange — słucham dalej.

— Chce pan przykładów? Niestety, jest ich w bród. Przypomnij pan sobie w jaki sposób odnosił się Ulisses do Calypso, Diomedes do Callirhoe. A cóż mówić o Tezeuszu i Ariadnie? Jazon postąpił sobie z Medeą z niepojętą swobodą. Rzymianie kontynuowali tradycję z jeszcze większą brutalnością. Eneasze, który ma tyle rysów wspólnych z czcigodnym Spardkiem, postąpił z królową Dydoną w sposób najbardziej niegodny. Cezar był w stosunku do boskiej Kleopatry ukoronowanym gburem. A

wreszcie Tytus, ten hipokryta Tytus, przeżywszy cały rok w Idumeusie na koszt Bereniki, zabrał ją do Rzymu, aby z niej lepiej szydzić. Czas był najwyższy, aby synowie Jafeta zapłacili za te obelgi córom Sema. Aż znalazła się kobieta, co potrafiła przechylić wielkie heglowskie prawo oscylacji na korzyść swojej płci. Groźna przezornością Neptuna, oddzielona od świata aryjskiego, zwabia do siebie młodych i dzielnych ludzi. Ciało jej ulega im, ale dusza pozostaje nieubłagana. Od śmiazków tych bierze wszystko, co tylko oni dać mogą. Podlega im fizycznie, ale panuje nad nimi duchowo. Jest to pierwsza władczyni, z której namiętność ani na chwilę nawet nie zrobiła niewolnicy. Nigdy nie potrzebowała dźwigać się z upadku, ponieważ nigdy nie upada. Jest to jedyna kobieta, której udało się rozdzielić te dwie nierozdzielne rzeczy, miłość i rozkosz.

Pan Le Mesge umilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej:

— Raz na dzień przychodzi do grobowca. Zatrzymuje się przed stallami, rozmyśla przed sztywnymi posągami. Dotyka ich chłodnych piersi, których żar знаła doskonale. Duma później przez chwilę koło pustej stalli, i wraca potem beztraska do tego, który na nią czeka, a który zaśnie wkrótce na wieki w zimnym swoim pokrowcu z orychalku.

Profesor przestał mówić. Pośród mroku dał się znowu słyszeć szmer fontanny. Pulsy moje były, głowa płonęła. Palila mnie straszliwa gorączka.

— I wszyscy, wszyscy — krzyknąłem bez względu na miejsce — wszyscy zgodzili się! Ulegli, Ach, niech tylko się zjawi! Ja jej pokażę!

Morhange milczał.

— Drogi panie — rzekł łagodnie Le Mesge — mówi

pan jak dziecko. Nic pan jeszcze nie wie, nie widział pan Antinei. Niech pan pamięta, że pomiędzy nimi — wskazał milczącym gestem wszystkie pomniki — byli ludzie równie odważni jak pan, a może mniej nerwowi. Jeden z nich, przypominam sobie, spoczywający pod numerem trzydziestym drugim, był to flegmatyczny Anglik. Stał pierwszy raz przed obliczem Antinei, paląc cygaro. A jednak, podobnie jak inni, ugiął się pod jej wejrzeniem. Nie mów pan nic, dopóki jej nie zobaczysz. Wykształcenie uniwersyteckie daje słabe przygotowanie do dyskusji na temat namiętności. Nie czuję się powołanym do tego, by panu powiedzieć, kim jest Antinea. O jednym tylko pana zapewniam, że z chwilą, gdy ją zobaczysz, zapomnisz o wszystkim: o rodzinie, ojczyźnie, honorze! Wyrzekniesz się dla niej wszystkiego!

— Wszystkiego? — zapytał bardzo spokojnie Morhange.

— Wszystkiego — powtórzył z mocą pan Le Mesge. — Zapomni pan o wszystkim, wyrzeknie się pan wszystkiego.

Dał się znowu słyszeć lekki szmer. Pan Le Mesge spojrzął na zegarek.

— Zresztą przekonacie się panowie sami.

Drzwi się otworzyły. Wszedł wysoki biały Targijczyk, najwyższy jakiegośmy dotychczas w tym domu widzieli, i skierował się ku nam.

Skłoniwszy się, dotknął mego ramienia.

— Idź pan za nim — rzekł pan Le Mesge.

Usłuchałem w milczeniu.

¹ Variot. *Antropologia galwaniczna*. Paryż 1880. (Przyp. aut.)

XI

ANTINEA

Przewodnik i ja szliśmy przez nowy korytarz. Podniecenie moje wzrastało. Pragnąłem stanąć jak najprędzej przed obliczem tej kobiety, powiedzieć jej... Poza tym uczyniłem już ofiarę z mego życia.

Omyliłem się, sądząc, że przygoda ta weźmie od razu obrót bohaterski. Powinienem wiedzieć z mnóstwa poprzednich epizodów, że w życiu w ogóle, a w moim specjalnie, pierwiastek komiczny i tragiczny stale się splatały.

Kiedyśmy przybyli przed małe jasne drzwiczki, przewodnik usunął się i wpuścił mnie do środka. Znalazłem się w wykwintnie urządzonej gotowni. Przez oszklony sufit padało na lśniącą marmurową podłogę jasne, różowe światło. Pierwszym przedmiotem, który rzucił mi się w oczy, był olbrzymi ścienny zegar, w którym cyfry zastąpione były przez znaki Zodiaku. Mała wskazówka nie dosięgała jeszcze znaku Barana.

Była dopiero godzina trzecia!

Zdawało mi się, że dzień ten trwa już od wieków, a

przebyłem zaledwie jego połowę.

Potem inna myśl przebiegła mi przez mózg i zaśmiałem się histerycznie.

— Antinei zależy widocznie na tym, abym jej został przedstawiony w pełnym blasku mych wdzięków.

Wielkie zwierciadło z orychalku zajmowało całą jedną ścianę. Rzuciwszy w nie okiem zrozumiałem, że wymagania Antinei nie są przesadne.

Nieogolona broda, straszliwa warstwa brudu pokrywająca moje oczy i spływająca bruzdami na moje policzki, ubranie powalane ziemią, podarte na krzakach Hoggaru, czyniły ze mnie politowania godnego kawalera.

Rozebrałem się szybko i zanurzyłem w porfirowej wannie, zajmującej środek gotowni. Rozkoszne uczucie ogarnęło mnie, gdym się znalazł w cieplej i wonnej wodzie. Przede mną tańczyły niezliczone flakony różnych kolorów rżnięte w przejrzystym nefrycie. Nerwy moje poczęły się uspakajać.

— Niech diabli wezmą Atlantyde, pieczarę i pana Le Mesge'a — zdażyłem jeszcze pomyśleć,

I zasnąłem w kąpieli.

Gdy otworzyłem oczy, mała wskazówka sięgała prawie znaku Byka. Przede mną stał oparty o wannę wielki Murzyn z odkrytą twarzą, nagimi ramionami i w olbrzymim pomarańczowym turbanie na głowie. Przyglądał mi się, śmiejąc się z cicha i pokazując białe zęby.

— Cóż to znowu za cudak?

Murzyn roześmiał się jeszcze głośniej. I nie mówiąc ani słowa, uniósł mnie niby piórko i wyjął z pachnącej wody.

Po chwili leżałem na marmurowym, pochyłym stole. Murzyn począł mnie masować z niezwykłą gwałtownością.

— No, ostrożnie, bydlę!

Masażysta nic nie odpowiedział, roześmiał się tylko i masował jeszcze mocniej.

— Skąd pochodzisz? Z Kanem, z Bornu? Jak na Targijczyka za dużo się śmiejesz.

Znowu milczenie. Ten Murzyn był równie milczący jak wesoly.

— W każdym razie – bierz lichu! — pomyślałem. — Jest on sympatyczniejszy od pana Le Mesge z jego upiorną erudycją.

— Może papierosa, Sidi?

Nie czekając na odpowiedź, włożył mi Murzyn w usta papierosa, zapalił go, po czym wziął się znowu gwałtownie do nacierania.

Mówi mało, ale jest uprzejmy — pomyślałem.

Puściłem mu w twarz cały kłęb dymu.

Żart ten podobał mu się niezmiernie. Zadowolenie swoje wyraził w ten sposób, że zaczął mnie klepać siarczyście.

Ukończywszy masaż, wziął z toaletki flakonik i natarł mnie jakimś różowym olejkim. Wszelkie zmęczenie uleciało z moich odmłodzonych mięśni. Zadzźwięczał miedziany gong. Mój masażysta zniknął. Teraz weszła stara, niezgrabna Murzynka, przystrojona jaskrawymi świecidłami. Była gadatliwa jak sroka, nie rozumiałem jednak ani słowa z tajemniczego pacierza, który paplała, aż chwyciła moje ręce, potem nogi i wypolerowała mi paznokcie wśród przekonujących grymasów.

Znowu rozległ się gong. Staruszka ustąpiła miejsca innemu, bardzo poważnemu Murzynowi w białym stroju, miał na podłużnej swojej głowie bawełnianą czapeczkę. Był to cyrulik i miał niezwykle zgrabną rękę. Ostrzygł

mnie bardzo przyzwoicie. A potem, nie pytając o moje życzenie, ogolił mnie gładko.

Przypatrywałem się sobie z prawdziwą przyjemnością.

— Antinea musi być zwolenniczką mody amerykańskiej — pomyślałem. — Co za zniewaga dla tradycji wielce czcigodnego pradziada, Neptuna.

Wszedł znowu wesoły Murzyn i położył na kanapie dużą paczkę. Fryzjer się usunął. Z pewnym zdumieniem zobaczyłem, że mój nowy lokaj wyjął z zawiniątka białe flanelowe ubranie, jakie zwykli nosić podczas lata w Algierii francuscy oficerowie. Szerokie i miękkie spodnie leżały jak na miarę. Bluza była bez zarzutu i miała nawet, ku memu najwyższemu zdziwieniu, złote galony, odznaki mojej szarży, spięte z obu stron rękawów dwiema pętlcami. Jako trzewiki dostałem parę wysokich pantofli z czerwonej skóry podbitej złotym kolorem. Jedwabna bielizna zdawała się być sprowadzona prosto z ulicy de la Paix.

— Śniadanie było wyborne — szepnąłem, przeglądając się w lustrze z pełnym zadowoleniem — kąpiel i ubranie wspaniałe, ale co będzie dalej?

Przypomniałem sobie po raz pierwszy salę z czerwonego marmuru i przeszedł mnie lekki dreszcz.

W tej samej chwili zegar wybił pół do piątej.

Zapukano dyskretnie do drzwi. Zjawił się biały Targijczyk, ten sam, co mnie tutaj przyprowadził.

Dotknął mego ramienia i dał mi znak.

I znowu poszedłem za nim.

Szliśmy znowu przez długie korytarze. Byłem wzruszony, ale pod działaniem ciepłej wody zrodziła się we mnie jakaś beztroska. A jeszcze bardziej wzrastała we mnie

ciekawość, której się aż wstydziłem. Gdyby w tej chwili zaproponowano mi powrót na Białą Równinę, koło Shik-Salah, nie wiem, czy bym się zgodził.

Myślałem o Maillefenie:

I on szedł tym korytarzem, co ja. A teraz jest tam, w sali z czerwonego marmuru.

Nie miałem czasu na wspomnienia. Naraz zostałem oślepiony, jakby wybuchem meteoru i rzucony na ziemię. Korytarz był ciemny, nie widziałem nic. Usłyszałem tylko urągliwy ryk.

Targijczyk usunął się, przywarłszy plecami do ściany.

— Hi — szepnąłem, wstając — zaczynają się diabelskie sztuczki.

Szliśmy dalej. Naraz poczęło przeświecać w korytarzu światło inne niż z różowych lamp.

Doszliśmy wreszcie do różowych drzwi z brązu. Rozległ się gong i skrzydła drzwi otworzyły się, Targijczyk, który został na korytarzu, zamknął je za mną w sali.

Machinalnie postąpiłem kilka kroków naprzód, w sali, do której wszedłem sam, po czym zatrzymałem się i przysłoniłem ręką oczy.

Oślepiło mnie lazuruwe światło. Od kilku godzin przyćmione światła lamp odzwyczyły mnie od światła dziennego. Wpadało ono jasną strugą przez całą jedną ogromną ścianę sali.

Sala ta położona była w dolnej części tej góry, bardziej poprzecinanej korytarzami i galeriami niż piramida egipska. Znajdowała się ona na równym poziomie z ogrodem, który widziałem rano z balkonu biblioteki i tworzyła jakby jego dalszą część.

Przejście z sali do ogrodu było nieokreślone. Dywany sięgały palm, a ptaki fruwały pomiędzy lasem kolumn, na których wspierało się sklepienie. Siłą kontrastu część sali nie przylegająca bezpośrednio do ogrodu tonęła w półmroku. Zachodzące za górami słońce różowiło żwir alej i zalewało purpurą kwiat czerwonaku, stojący z wyciągniętym kielichem nad brzegiem szafirowego jeziora.

Naraz upadłem na podłogę po raz drugi. Coś spadło mi na ramiona. Uczułem na szyi dotknięcie czegoś jedwabistego, a na karku gorący oddech. Usłyszałem też urągliwe wycie, które przeraziło mnie już raz w korytarzu. Wyzwolilem się z ciężaru i uderzyłem mocno pięścią w kierunku, skąd zostałem zaatakowany. Rozległo się znowu wycie, tym razem bolesne i pełne złości. Towarzyszył mu głośny wybuch śmiechu. Wściekły zerwałem się na równe nogi i szukałem oczami śmiałka, żeby mu ten śmiech wtłoczyć w gardło. Nagle osłupiałem.

Ujrzałem Antinę.

W najciemniejszej części sali, pod rodzajem sklepienia rozjaśnionego sztucznie przez delikatne światło dzienne wpadające przez dwanaście witraży, na stosie poduszek i białych perskich dywanów spoczywały cztery kobiety. Trzy z nich, bardzo piękne, ubrane w białe jedwabne bluzy haftowane złotem, były to kobiety tuareskie. Czwarta o ciemnej, prawie murzyńskiej cerze, była najmłodsza, a czerwona jedwabna bluzka podkreślała jeszcze silniej ciemną cerę jej twarzy, ramion i nagich nóg. Wszystkie cztery otaczały wzniesienie z białych dywanów, zarzucone olbrzymią lwią skórą, na której wsparta była Antinea.

Antinea! Ilekroć później ją widziałem, pytałem sam

siebie, czym się jej wówczas dobrze przyjrzał, kiedy byłem tak bardzo przerażony. Za każdym bowiem razem wydawała mi się piękniejsza. Trudno jest, patrząc na nią, nie przypomnieć sobie tej kobiety, dla której Efrakteus ujarzmił Atlasa, Sapor zawładnął berłem Ozymandiasza, Mamyrus podbił Suzę i Tentyris, a dla której uciekł Antoniusz...

*Jeśliś nigdy nie drgnęło drżące, ludzkie ciało,
Tobys w ciepłych objęciach jej ramion zadrgało.*

Z jej bujnych kędziorów, aż niebieskich od soczystej czerni, spływał egipski *klaft*¹, Oba końce ciężkiej, złocistej materii sięgały wiotkich bioder. Wypukłe i dumne czoło opasane było złotą opaską ze szmaragdami i podwójnym językiem z rubinów, zwieszającym się nad głową młodej kobiety.

Miała na sobie czarną gazową tunikę, przetykaną złotem, bardzo prostą i bardzo przejrzystą, przytrzymaną z lekka na biodrach białą, muślinową szarfą haftowaną w irysy z czarnych pereł.

Takim był strój Antinei. Ale jakaż była ona sama? Młoda, smukła dziewczyna, o podłużnych, zielonych oczach, o delikatnym a drapieżnym profilu. Adonis, młodzieńcza królowa Saba o uśmiechu i spojrzeniu, jakiego nie znały kobiety Wschodu! Cudowne połączenie ironii i beztroski.

Nie widziałem ciała Antinei. Doprawdy, nie myślałem nigdy, aby na nie spojrzeć. I to właśnie było może najciekawszym rysem pierwszego wrażenia. Samo wspomnienie o męczennikach z sali czerwonego marmuru, o pięćdziesięciu młodzieńcach, którzy smukłe to ciało tulili

w swych ramionach, zdawało mi się w owej niezapomnianej chwili ohydną profanacją. Mimo wyzywająco rozciętej na boku tuniki, mimo odkrytej szyi, nagich ramion, mimo łatwych do odgadnięcia pod cienką gazą tajemnych cieni, mimo chodzących o niej potwornych wieści, kobieta ta zdawała się być istotą czystą, dziewiczą!

W tej chwili śmiała się jeszcze z mojego upadku.

— Hiram! — zawołała.

Odwrociłem się. Ujrzałem nieprzyjaciela.

Na szczycie jednej z kolumn, na wysokości dwudziestu stóp ponad podłogą, siedział wspaniały lampart. Rzucił na mnie jeszcze wściekłe spojrzenia za uderzenie, którym go poczęstowałem.

— Hiram — powtórzyła Antinea. — Hiram, tu!

Zwierzę skoczyło i skuliło się u stóp swej pani. Czerwony język lizał delikatne nagie stopy,

— Przeprós pana — rzekła młoda kobieta.

Lampart popatrzył na mnie nienawistnie. Zmarszczył żółtą skórę na pysku dokoła czarnych wąsów.

— Tfft — zamruczał niby duży kot.

— Marsz! — rozkazała Antinea.

Zwierzę podeszło do mnie. Wtuliło pokornie głowę pomiędzy łapy i czekało.

Pogładziłem jego piękny, nakrapiany łeb.

— Nie trzeba się nań gniewać — rzekła Antinea — zawsze zaczyna tak ze wszystkimi cudzoziemcami.

— Musi więc być często w złym humorze — zauważyłem po prostu.

Były to moje pierwsze słowa, Wywołały one uśmiech na ustach Antinei.

Zmierzyła mnie spokojnym, przeciągłym spojrzeniem,

— Agida — zwróciła się do jednej z kobiet tuareskich — wypłacisz Seg-heir-Ben-Szeikowi dwadzieścia pięć złotych funtów.

— Jesteś porucznikiem? — zapytała po chwili milczenia.

— Z Francji.

— Powinnam się była tego domyślić — odparła z ironią. — Z jakich stron?

— Z Lot-et-Garonne,

— Z jakiej miejscowości?

— Z Duras.

Zamyśliła się chwilę.

— Duras! Przepływa tam maleńka rzeczka, Dropt. Jest stary, wielki zamek.

— Pani zna Duras? — szepnąłem zdumiony.

— Jedzie się tam z Bordeaux maleńką kolejką — ciągnęła dalej. — Po obydwu stronach drogi są winnice. Wsie mają ładne nazwy: Monsegur, Sauverette-de-Guyene, la Tresne, Creon... Creon, jak w *Antygonie*.

— Była pani tam?

Spojrzała na mnie,

— Mów mi ty — rzekła z pewnym znużeniem. — Prędzej czy później przyjdzie chwila, kiedy mnie tykać będziesz. Lepiej od razu.

Ta groźna obietnica uszczęśliwiła mnie. Przypomniały mi się słowa pana Le Mesge'a: *Nie mów nic, dopóki jej nie zobaczysz. Gdy ją ujrzysz, wyrzekniesz się dla niej wszystkiego.*

— Czy byłam w Duras? — wybuchnęła śmiechem. — Żartujesz chyba. Czy wyobrażasz tam sobie wnuczkę Neptuna w przedziale pierwszej klasy na kolejce lokalnej?

Wyciągnęła rękę i wskazała na olbrzymią białą skałę

wznoszącą się ponad palmowym ogrodem.

— Oto mój horyzont — rzekła poważnie.

Wzięła jedną z książek, rozrzuconych dokoła niej na lwiej skórze i otworzyła ją na chybił trafił.

— Jest to rozkład jazdy kolei na Zachodzie — rzekła. — Co za cudowna lektura, dla kogoś, co nie rusza się z miejsca. Obecnie jest pół do szóstej po południu. Przed trzema minutami przybył pociąg do Sugeres w Charente-Inferieure. Odejdzie za minut sześć. Za dwie godziny przybędzie do Rochelle. Jakie to dziwaczne myśleć o tym tutaj. Taka odległość!... Tyle ruchu! Taka martwota!...

— Pani dobrze mówi po francusku — zauważyłem.

Zaśmiała się nerwowo.

— Zmuszona jestem do tego. Tak samo mówię po niemiecku, po włosku, po angielsku, po hiszpańsku. Mój sposób życia zrobił ze mnie poliglotkę. Ale ze wszystkich języków najlepiej lubię francuski. Wolę go od targijskiego, a nawet od arabskiego. Mam wrażenie, że znam go od urodzenia. Wierz mi, że nie mówię tego z chęci przypodobania ci się.

Zapadła chwila milczenia. Myślałem o jej wielkiej prababce, o tej, o której powiedział Plutarch: *Mało było narodów, dla których potrzebowałaby używać tłumacza. Kleopatra mówiła w ich własnym języku do Etiopów, Troglodytów, Hebrajczyków, Arabów, Syryjczyków, Medów i Partów.*

— Nie stójże tak na środku sali. Sprawiasz mi przykrość. Siądź tu obok mnie. Panie Hiram, posuń się pan.

Lampart usłuchał niezadowolony.

— Daj mi rękę — rozkazała.

Miała przy sobie wielki puchar z onyksu. Wyjęła z

niego prosty pierścionek z orychalku i włożyła mi go na palec u lewej ręki. Zauważyłem, że sama nosiła taki sam.

— Tanit-Zerga, poczęstuj pana de Saint-Avita różanym sorbetem.

Czarna dziewczyna w czerwonych jedwabiach podniosła się.

— Panna Tanit-Zerga z Gao nad Nigrem, moja osobista sekretarka — przedstawiła Antinea. — Ród jej jest prawie równie stary jak mój.

Mówiąc to, patrzyła na mnie. Zielone jej oczy przytłaczały mnie.

— A twój kolega kapitan? — zapytała melancholijnie. — Nie znam go jeszcze. Jakiż jest? Czy do ciebie podobny?

Po raz pierwszy od chwili, gdym przed nią stanął, pomyślałem o Morhange'u. Nie odpowiedziałem.

Antinea uśmiechnęła się.

Wyciągnęła się zupełnie na lwiej skórze. Prawa jej noga obnażyła się.

— Pora już, byś wracał do niego — rzekła znużonym tonem. — Wkrótce otrzymasz moje rozporządzenia. Odprowadź go Tanit-Zerga. I pokaż mu jego pokój. Nie zna go jeszcze pewno,

Wstałem i ująłem jej dłoń, aby ją ucałować. Na znak, że bierze mnie w posiadanie, przycisnęła rękę do warg moich tak mocno, że aż krew na nie wystąpiła.

Byłem znowu w ciepłym korytarzu. Dziewczę w czerwonym jedwabnym kimonie szło przede mną.

— Oto twój pokój — rzekła. — A teraz, jeśli chcesz, zaprowadzę cię do stołowego pokoju, gdzie zbiorą się wszyscy na obiad.

Mówiła po francusku dźwięcznym, cudzoziemskim

akcentem.

— Nie, Tanit-Zerga. Wolę pozostać tego wieczora tutaj. Nie jestem głodny. Zmęczony jestem.

— Pamiętasz moje imię? — rzekła.

Zdawała się być z tego dumna. Czulem, że w razie czego mogę w niej mieć sojuszniczkę.

— Pamiętam twoje imię, mała Tanit-Zerga, bo jest ładne². A teraz zostaw mnie mała. Chcę być sam.

Nie wychodziła. Wzruszyło mnie to, ale i drażniło. Czulem szaloną potrzebę samotności.

— Pokój mój jest nad twoim — rzekła. — Na tym stole jest miedziany gong. Gdy czego zechcesz, uderz weń. Na dźwięk jego zjawi się biały Targijczyk.

Ta informacja ubawiła mnie. Byłem więc w hotelu, pośrodku Sahary. Wystarczy zadzwonić na służbę.

Obejrzałem swój pokój. Mój pokój! Na jak długo będzie moim?

Pokój był dość obszerny. Poduszki, otomana, alkowa wykuta w skale, wszystko to zalane było światłem płynącym z oszklonej niszy, a przysłoniętej storą uplecioną ze słomy.

Podszedłem ku oknu i odsłoniłem storę. Wpadło zachodzące słońce, Z sercem pełnym niewymownych uczuć oparłem się o framugę. Okno wychodziło na południe. Znajdowało się ono na wysokości co najmniej sześćdziesięciu metrów. Pod nim ciągnęła się wulkaniczna ściana zawrotnie czarna i gładka. W odległości dwóch kilometrów wznosiła się inna ściana: pierwszy szaniec ziemny, o którym wspomina *Critias*. A za nim, hen daleko, dojrzałem niezmierną czerwoną pustynię.

¹ kłafit – chusta–nakrycie głowy królów egipskich.

² Po berberyjsku *tanit* znaczy źródło; *zerga* jest to rodzaj żeński od przymiotnika *azreg* – niebieski. (Przyp. aut.)

XII

MORHANGE WSTAJE I ZNIKA

Byłem tak zmęczony, że zasnawszy, obudziłem się dopiero nazajutrz około godziny trzeciej po południu.

Przypomniały mi się natychmiast zdarzenia dnia poprzedniego, które wydały mi się bardzo dziwne.

— Ano, zobaczymy! — rzekłem do siebie. — Trzeba działać z pewnym planem i przede wszystkim naradzić się z Morhangerem.

Poza tym byłem szalenie głodny.

Gong wskazany mi przez Tanit-Zergę był pod ręką. Zadzwoiłem. Wszedł biały Targijczyk.

— Zaprowadź mnie do biblioteki — rozkazałem.

Usłuchał. Przechodząc znowu przez niesłychaną ilość schodów i korytarzy, zrozumiałem, że nie zdołam nigdy dać sobie tu radę bez przewodnika.

Morhange był rzeczywiście w bibliotece. Czytał z zainteresowaniem jakiś manuskrypt.

— Zgubiona rozprawa świętego Optata — rzekł. — Ach, gdyby Don Granger był tutaj! Patrz, pismo półfunkcyjne.

— Nie odpowiedziałem. Obok tego rękopisu leżał na stole przedmiot, który zwrócił od razu moją uwagę. Był to pierścionek z orychalku, taki sam, jaki dostałem od Antinei i jaki ona nosiła.

Morhange uśmiechnął się.

— I cóż? — zapytałem.

— Co?

— Widział ją pan?

— Widziałem — odparł Morhange.

— Piękna jest, prawda?

— Trudno mi zaprzeczyć — odparł mój towarzysz.

— Dodam nawet, że jest równie inteligentna jak piękna.

Zapadło milczenie. Morhange, bardzo spokojny, obracał w palcach pierścionek z orychalku.

— Czy pan wie jaki los nas tutaj czeka? — zapytałem.

— Wiem. Pan Le Mesge wytłumaczył nam to wczoraj w sposób bardzo dyskretny. Jest to stanowczo przygoda zupełnie nadzwyczajna.

Zamilkł, potem spojrzał mi w twarz i rzekł:

— Bardzo żałuję, że pana tutaj zaciągnąłem. Ośladza to tylko jedno, że pan znosi to od wczoraj wieczora bardzo spokojnie.

Skąd Morhange nabył takiej znajomości serca ludzkiego? Nie odpowiedziałem mu, dając mu tym dowód, że ma słuszość.

— Co pan ma zamiar robić? — szepnąłem.

Zamknął rękopis, usadowił się wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i odpowiedział mi następująco:

— Zastanawiałem się nad tym głęboko. Używając nieco kazuistyki, znalazłem już linię postępowania. Cała sprawa przedstawia się dla mnie trochę inaczej niż dla

pana, ze względu na mój charakter quasi-religijny, który, muszę to wyznać, ma niepokojąco ciężkie warunki. Nie złożyłem wprawdzie ślubów, ale pominąwszy zakaz utrzymywania stosunków z kobietą, która nie jest moją żoną, wyznaję, że nie mam żadnego upodobania do rodzaju usług nakazanych, do których zwerbował nas ten znakomity Segheir-ben-Szeik. Poza tym muszę stwierdzić, że nie rozporządzam życiem swoim z taką swobodą, jak każdy prywatny podróżnik podróżujący dla własnych swych celów i z własnych środków. Mam do spełnienia misję, zdobyć muszę pewne wiadomości. Gdybym więc po spłaceniu dziwacznej daniny, jaka tu jest we zwyczaju, mógł odzyskać wolność, zgodziłbym się zadowolić Antinę, w miarę mych sił oczywiście. Wiem, że zapatrywania Kościoła pod tym względem są dość szerokie, a zwłaszcza zakonu, do którego należę. Sposób mój zostałby na pewno zaakceptowany, a może nawet uznany. W takiej samej sytuacji oddała się święta Maria Egipcjanka przewoźnikom i została kanonizowana. Ale ona miała pewność, iż postępując tak, osiągnie swój święty cel. A cel uświęca środki.

Co do mnie, sprawa ma się inaczej. Choćbym nawet ulegał wszelkim kaprysom tej damy, nie przeszkodzi to, że będę wkrótce umieszczony w sali z czerwonego marmuru pod numerem 54 lub 55, na wypadek, jeśli zechce zacząć od pana. W tych warunkach...

— W tych warunkach?

— Nie wolno ulec.

— A zatem, cóż ma pan zamiar robić?

Morhange oparł głowę o poręcz fotela, puścił kłęb dymu i uśmiechnął się.

— Nic — rzekł — i to wystarcza. Widzi pan,

mężczyzna ma pod tym względem stanowczą przewagę nad kobietą. Dzięki swej budowie może się zawsze oprzeć. Kobieta nie. — Ulega tylko ten, kto tego chce — dodał ironicznie.

Schylilem głowę.

— Rozmawiałem z Antineą — ciągnął dalej — wyczerpałam wszystkie swe umiejętności dialektyczne. Daremnie. Czemu nie pan Le Mesge? — zapytałam wreszcie. — Poczęła się śmiać. — Czemu nie pastor Spardek? — Odparła: — Le Mesge i Spardek są erudytami, których cenię. Ale

*Niech będzie przeklęty marzyciel niegodny,
Co chciał pierwszy, szalony w swojej naiwności,
Zagłębiający w problemat trudny i bezpłodny,
Uczciwość mieszać w sprawy zmysłowej miłości.*

A zresztą — dodała z czarującym uśmiechem — możliwe, że nie przyjrzałeś się im dobrze. Nastąpiło kilka komplementów pod adresem mojej budowy ciała, na które nie odpowiedziałem, tak dalece wprawił mnie w kłopot czterowiersz Baudelaire'a.

I dodała jeszcze:

Pan Le Mesge potrzebny mi jest jako uczonego. Zna język włoski i hiszpański, porządkuje moje papiery i moją boską genealogię. Wielebny Spardek zna język angielski i niemiecki. Książę Bielowski posiada języki słowiańskie, poza tym kocham go jak ojca. Zna mnie od dziecka, kiedy nie myślałam jeszcze o tych wszystkich szaleństwach. Są mi potrzebni w stosunkach z przybywającymi tu przedstawicielami wszelkich narodowości... Ale dość już tego. Pierwszy raz zdarza mi się dawać wyjaśnienia co do

mego postępowania. Przyjaciel twój nie jest tak ciekawy. — Potem odprawiła mnie. Dziwna kobieta, doprawdy. Zdaje się, że jest zwolenniczką Renana, ale musi mieć większe doświadczenie w sprawach namiętności od swego mistrza...

— Panowie — rzekł nagle wchodząc pan Le Mesge. — Czemu się spóźniacie? Czekamy na was z obiadem.

Mały profesor był dnia tego w szczególnie dobrym humorze. Miał nową fioletową rozetkę.

— No cóż, widzieliście?—zapytał trochę drwiąco.

Żaden z nas nie odpowiedział.

Gdyśmy przyszli, wielebny Spardek i hetman żytomierski zaczęli już jeść obiad. Zachodzące słońce rzucało na biały obrus krwawe refleksy.

— Siadajcie panowie — rzekł hałaśliwie pan Le Mesge. — Pan, panie poruczniku Saint-Avit, nie był wczoraj na kolacji. Spróbuje pan po raz pierwszy kuchni naszego kucharza Kuku.

Służący Murzyn postawił przede mną wspianiałą rybę w sosie, zaprawionym czerwoną przyprawą jakby pomidorami.

Byłem głodny, a potrawy wyśmienite. Sos wzbudził we mnie pragnienie.

— Biały Hoggar 1879 — podszeptał mi hetman żytomierski, napełniając mój pucharek doskonałym topazowym płynem. — To mój wyrób. Idzie do nóg a nie do głowy.

Wychyliłem duszkiem puchar. Towarzystwo zaczęło mi się podobać.

— Co pan powie o tej rybie, panie kapitanie? — zagadnął pan Le Mesge Morhange'a. — Złowiono ją dziś rano w jeziorze oazy. Czy zaczyna pan wierzyć w hipotezę

morza Saharyjskiego?

— Ryba ta jest poważnym argumentem — odparł mój towarzysz,

Nagle zamilkł. Drzwi się otworzyły. Wszedł biały Targijczyk. Towarzysze zamilkli. Targijczyk zbliżył się wolno do Morhange'a i dotknął jego ramienia.

— Dobrze — rzekł Morhange, wstał i poszedł za nim.

Nalałem sobie pełen puchar wina Hoggar 1879 stojącego pomiędzy mną a hrabią Bielowskim i wychyliłem go nerwowo do dna.

Hetman spojrzał na mnie życzliwie.

— Che, che — rzekł Le Mesge, trącając mnie łokciem. — Antinea przestrzega prawa starszeństwa.

Czcigodny Spardek uśmiechnął się wstydliwie.

— Che, che! — powtórzył pan Le Mesge.

Puchar mój był już próżny. Przez chwilę miałem szaloną ochotę rzucić nim w profesora. Ale nie, napełniłem go winem i wychyliłem ponownie.

— Pan Morhange delectować się będzie tylko w myślach tą wyborną pieczeńią — rzekł coraz weselszy profesor, ucinając sobie tęgą porcję mięsa.

— Nie będzie jej żałował — rzekł z humorem hetman — to nie jest pieczeń, to róg muflona. Doprawdy, Kuku zaczyna nas bagatelizować.

— Zwróć się pan z tym do wielebnego pana Spardeka — rzekł zgryźliwie pan Le Mesge. — Powtarzam mu zbyt często, aby szukał katechumenów gdzie indziej, a nie między naszymi kucharzami.

— Panie profesorze — rzekł z powagą pan Spardek.

— Podtrzymuję mój protest — zawołał pan Le Mesge, który od tej chwili wydawał mi się trochę

podchmielony. — Zdaję się na sąd pana — ciągnął dalej, zwracając się do mnie. — Pan jest nowicjuszem. Pan jest bezstronny. Otóż zapytuję pana: Czy wolno psuć tubylczego kucharza, nabijając mu przez cały dzień głowę dyskusjami teologicznymi, do których ten nie czuje się usposobiony?

— Niestety — odparł ze smutkiem pastor — myli się pan. Ma ogromną chęć nawrócenia się.

— Kuku jest leniuchem, nic nie robi i przypala nasze sznycle — orzekł hetman. — Niech żyje papież! — ryknął, napełniając kolejno nasze puchary

— Zapewniam was, że ten kucharz niepokoi mnie — rzekł z godnością Spardek. — Czy wiecie do czego on doszedł teraz? Zaprzecza realnemu istnieniu. Dzieli go krok od błędów Zwinglego i Ecolampada. Kuku przeczy istnieniu realnemu.

— Panie — rzekł podrażniony pan Le Mesge — należałoby pozostawić w spokoju ludzi, zajmujących się kuchnią. Tak samo myślał Jezus, który, jak sądzę, był równie dobrym teologiem jak pan, i któremu nigdy na myśl nie przyszło, aby odciągać Martę od pieca, by jej pleść banialuki.

— Wyśmienicie — potwierdził hetman.

Trzymał on między kolanami dzban, który próbował otworzyć.

— Pieczone żeberka, pieczone żeberka — szepnął mi, gdy mu się to udało. — Puchary, zbiórka!

— Kuku przeczy istnieniu realnemu — powtórzył pastor, wypróżniając melancholijnie swój puchar.

— Ech! — szepnął mi do ucha hetman — niech sobie gadają. Widzi pan przecież, że są zupełnie pijani.

On sam bełkotał i z trudem napełnił niemal po

brzegi moją czarękę.

Chciałem odsunąć wazę. Nagle pomyślałem sobie:

— W tej chwili Morhange... pomimo wszystko, co mówił... Ona jest tak piękna...

I przysunąwszy puchar, wychyliłem go znowu.

A tymczasem pan Le Mesge i pastor Spardek prowadzili zaciętą dyskusję religijną, ciskając na siebie *Book of Common*, *Deklarację praw człowieka*, *Bullę Unigenitus*. Zaś hrabia Bielowski, który wypił przynajmniej pięć razy tyle co oni, ale dziesięć razy lepiej od nich znosił wino, rzekł do mnie z niesmakiem :

— Zostawmy tych pijaków. Chodźmy, drogi panie. Partnerzy czekają na nas w sali gry.

— Panowie i panie — rzekł hetman, wchodząc do sali gry. Pozwólcie sobie przedstawić nowego partnera, mego przyjaciela, porucznika Saint-Avita.

— Nic sobie z nich nie rób — szepnął mi do ucha. — Jest to tutejsza służba... ale chcę mieć złudzenie...

Widziałem, że był zupełnie pijany.

Sala do gry była wąska i długa. Głównym jej umeblowaniem był duży niski stół otoczony poduszkami, na których spoczywało około tuzina krajowców. Dwa rysunki wiszące na ścianie świadczyły o szczęśliwym eklektyzmie: *Święty Jan Chrzciciel* Leonarda da Vinci i *Dom ostatnich pocisków* Nauville'a. Na stole ustawione były puchary z czerwonej gliny i ciężki dzban, pełen palmowego wina.

Pośród obecnych dostrzegłem znajomych: masażystę, manicurzystkę, fryzjera, kilku białych Tuaregów, którzy zdjęli zasłony i palili poważnie swoje długie fajki z miedzianymi cybuchami. Wszyscy byli w dobrym nastroju, pogrążeni w rozkoszach partii kart, zdaje

się, *ramsa*. Wśród grających były, zdaje się, dwie piękne kobiety ze świty Antinei, Agida i Sydia. Ich gładka skóra koloru bistru lśniła pod srebrzystymi zasłonami. Nie zauważyłem niestety pąsowej jedwabnej tuniki małej Tanit-Zergi. Przez moment pomyślałem znowu o Morhange'u.

— Kuku, podaj liczmany — rozkazał hetman. — Nie zebraliśmy się tutaj dla zabawy.

— Kucharz Zwinglista postawił przed nim puszkę z różnokolorowymi liczmanami. Hrabia Bielowski przerachował je i poukładał w małe stosy z ogromną powagą.

— Białe mają wartość luidora — objaśniał mi — czerwone stu franków, żółte pięciuset, zielone tysiąca. Ach! gramy tu diabelnie wysoko. Zresztą zobaczy pan.

— Biorę bank z dziesięciu tysięcy — rzekł kucharz zwinglista.

— Z dwunastu — rzekł hetman.

— Z trzynastu — rzekła Sydia, która, siedząc z bolesnym uśmiechem na kolanach hrabiego, układała swoje liczmany w małe kupki.

— Z czternastu — rzekłem.

— Z piętnastu — zaskrzeczała stara Murzynka Rosita.

— Z siedemnastu — oznajmił hetman.

— Z dwudziestu — zakończył kucharz. — Biorę bank z dwudziestu tysięcy — powtórzył, rzucając nam pogardliwe spojrzenie.

Hetman wykonał gniewny ruch.

— Diabelny Kuku! — Na niego nie ma sposobu. Niech się pan mocno trzyma, poruczniku.

Kuku zasiadł u głowy stołu i tasował karty z mistrzostwem, które mnie aż zadziwiło.

— Mówilem panu: jak u Anny Deslions¹ — rzekł z dumą hetman.

— Messieurs, faites vos jeux — wykrzykiwał Murzyn. — Faites vos jeux, messieurs.

— Czekaj, bydlę — wołał Bielowski — widzisz przecie, że puchary są puste. Nalewaj Kakambo!

Masażysta napełnił natychmiast puchary,

— Przełoż — rzekł Kuku, zwracając się do Sydii — pięknej Targijki, która siedziała po jego prawej ręce.

Jako osoba przesadna, przełożyła lewą ręką, ale prawa jej ręka była i tak zajęta przez puchar, który podnosiła do ust. Widziałem jak matowa jej szyja wzdyma się.

— Daję — rzekł Kuku.

Siedzieliśmy w następującym porządku: po lewej stronie hetman, Agida, której kibić hrabia obejmował z najbardziej arystokratyczną nonszalancją, Kakambo, jakaś Targijka i dwóch zawołowanych i poważnych Murzynów. Po prawej stronie: Sydia, ja, stara manicurzystka Rosita, Baruf, fryzjer, jakaś kobieta i dwóch białych Tuaregów.

— Proszę — rzekł hetman.

Sydia uczyniła głową znak przeczenia.

Kuku dał czwórke hetmanowi, zaś sobie piątkę.

— Osiem — oświadczył Bielowski.

— Sześć — rzekła piękna Sydia.

— Siedem — przybił Kuku. — Kto inny płaci — dodał chłodno.

— Stawiam podwójnie — rzekł hetman.

Kakambo i Agida naśladowali go, nasza strona była wstrzemięźliwsza. Manicurzystka ryzykowała na raz tylko dwadzieścia franków.

— Żądam równych stawek — rzekł niewzruszony

Kuku.

— Ten drab jest niezdolny — zaklął hrabia. —
Masz. Jesteś zadowolony?

Kuku rozdał i miał dziewięć.

— Na Boga! — wrzasnął Bielowski. — Miałem
osiem...

Ja miałem dwa króle, ale nie zdradzałem gniewu.

Rosita wzięła mi karty z ręki.

Spojrzałem na Sydię. Olbrzymie czarne włosy
spływały na jej ramiona. Była naprawdę bardzo piękna i
trochę pijana, jak zresztą całe to dziwaczne zgromadzenie,
Spojrzała na mnie również, ale spode łba, jak zalęknione
zwierzę,

— Ach — pomyślałem — lęka się. Napisane jest
przecież na moim czole: *zwierzyna zastrzeżona dla kogo
innego*.

— Komu dać karty? — zapytał Kuku,

— Mnie nie — rzekł hetman.

— Daj — rzekła Sydia.

Kucharz wyciągnął czwórkę.

— Dziewięć — rzekł.

— To była karta przeznaczona dla mnie — zaklął
hrabia. — I miałem pięć. Ach, gdybym nie był przyrzekł
Jego Cesarskiej Mości Napoleonowi, że nie będę nigdy
ciągnął do pięciu! Są chwile, gdy to trudno... A ten cham,
Murzyn, wygrywa wszystko.

Istotnie, Kuku, zagarnąwszy trzy czwarte
liczmanów, wstał z godnością i skłonił się obecnym.

— Do jutra, messieurs.

— Wynoście się wszyscy — wrzasnął hetman. —
Panie de Saint-Avit, zostań pan ze mną.

— Która godzina? — zapytałem.

— Pół do pierwszej, ale nie zostawi mnie pan chyba w tym stanie, mój drogi, kochany panie. Tak mi źle, tak źle!

Płakał rzewnymi łzami,

— Prawda, że Egida jest piękna — rzekł, płacząc nieustannie. — Wie pan, przypomina mi hrabinę de Teruel, piękną hrabinę de Teruel, Mercedes, która kąpała się zupełnie naga w Biarritz przed Skałą Dziewicy owego dnia, gdy książe Bismarck stał na kładce. Nie przypomina pan sobie? Mercedes de Teruel?

Wzruszyłem ramionami.

— Ach, prawda, zapomniałem, pan był zbyt młody. Miał pan dwa lub trzy lata. Dziecko. Tak, był pan dzieckiem. Ach, mój drogi, żyć w tej epoce i spaść do tego, by ciągnąć bank z dzikusami... Muszę panu opowiedzieć...

Wstałem i odepchnąłem go.

— Zostań! zostań! — błagał. — Powiem ci wszystko, co zechcesz, jak tu przyszedłem, wszystko to, czego nigdy nie zdradziłem nikomu. Zostań, czuję potrzebę wylania swych uczuć przed prawdziwym przyjacielem. Mówię ci, że powiem ci wszystko. Mam do ciebie zaufanie. Jesteś Francuzem, szlachcicem. Wiem, że nic jej nie powtórzysz.

— Że nie powtórzę jej? Komu?

— A...

Głos jego ucichł. Wyczułem w nim dreszcz lęku.

— Komu?

— Jej... Antinei — szepnął.

Pozostałem.

¹ Anna Deslions o przydomku *Lwica Bulwarów* była kurtyzaną, która dzięki swej urodzie i pewnym zdolnościom została słynną artystką. Była wzorem, na którym Emil Zola oparł powieść *Nana*.

XIII

HISTORIA HETMANA ŻYTOMIERSKIEGO

Hrabia Kazimierz doszedł do tego stanu, kiedy pijaństwo przechodzi w rodzaj powagi i skupienia.

Pomyślał chwilę i zaczął to opowiadanie, którego świetny archaizm mogę oddać niestety tylko bardzo niedokładnie.

— Kiedy nowe wina muszkatelowe zaróżowią się w ogrodach Antinei, ukończę lat sześćdziesiąt osiem. Jak to przykro, mój drogi, sprzedać zboże na pniu. To nieprawda, że życie jest ciągłym zaczynaniem od początku. Smutno jest, gdy się znało Tuileries z roku 1860 i dojść do stanu, w jakim ja się znajduję.

Pewnego wieczoru na krótko przed wojną (pamiętam, że Wiktor Noir żył jeszcze) kilka czarujących kobiet, których nazwiska przemilczę (czytam niekiedy nazwiska ich synów w kronice towarzyskiej *Gaulois*) wyraziło pragnienie obejrzenia z bliska prawdziwych kokotek. Zaprowadziłem je więc na bal do Grand Chaumière. Bawiło się tam zbiorowisko malarzy,

dziewcząt i studentów. W pośrodku sali tańczyło kilka par z wielkim zapalem kankana. Uwagę naszą zwrócił mały, czarnowłosy człowieczek, w zniszczonej kurtce i kraciastych spodniach, stanowczo niepodtrzymywanych przez szelki. Zezował, miał szkaradną brodę i włosy posmarowane czarną mazią. Kokotki nazywały go Leonem Gambettą.

Co za rozpacz ogarnia mnie, gdy pomyślę, że wystarczał jeden strzał z rewolweru do tego brzydala adwokata, ażeby ocalić szczęście własne i mojej umiłowanej drugiej ojczyzny, bo choć nie z urodzenia, ale z duszy i serca jestem francuzem.

Urodziłem się w roku 1829 w Warszawie. Ojciec mój był Polakiem, matka Rosjanką pochodzącą z Wołynia. Po niej odziedziczyłem tytuł hetmana żytomierskiego. Nadał mi go car Aleksander II podczas swego pobytu w Paryżu, a za wstawiennictwem mego ukochanego pana, cesarza Napoleona III.

Dla względów politycznych, których przytaczać nie będę, gdyż musiałbym przy tym opowiadać historię nieszczęśliwej Polski, ojciec mój, hrabia Bielowski opuścił w roku 1830 Warszawę i zamieszkał w Londynie. Ogromną fortunę zaczął trwonić z rozpaczą, jak twierdził, po śmierci mojej matki. Gdy sam umarł w chwili afery Pritcharda, zostawił mi tylko tysiąc funtów szterlingów renty i dwa lub trzy nieużyteczne martyngaly¹. Z prawdziwym wzruszeniem wspominam dziewiętnasty i dwudziesty rok mego życia, w których zlikwidowałem resztę spuścizny po ojcu. Londyn był wtedy naprawdę wspaniałym miastem. Urządziłem sobie na Piccadilly milutką garsonierę.

Piccadilly! Shops, palaces, bustle and bresze,

The whirling of wheels, and the murmur of trees.

Polowania na lisy, przechadzki w Hyde Parku, rauty, i nieszkodliwe flirty z wesołymi Wenerami z Drury Lane, wypełniały mi czas całkowicie. Niecałkowicie. Pozostawała jeszcze gra, którą uprawiałem z pietyzmu dla zmarłego ojca i na jego wzór. Gra też stała się przyczyną wypadku, jaki opowiem, a który w tak dziwny sposób zmienił bieg mego życia.

Przyjaciół mój, lord Malmesbury, powtarzał mi setki razy: muszę pana zaprowadzić do pewnej czarującej kobiety mieszkającej przy Oxford Street 277, Miss Howard. Wreszcie pewnego wieczoru zgodziłem się pójść. Było to 22 lutego 1848 roku. Pani domu była naprawdę niezwykle piękna, a towarzystwo, które tam zastałem, bardzo miłe. Prócz Malmesbury'ego, był tam Clebden, lord Chesterfield, sir Francis Mountjoye, major drugiej Life Guards, hrabia d'Orsay. Z początku grano w karty, później poczęto mówić o polityce. Tematu dostarczyły ostatnie wypadki we Francji i mówiono o skutkach buntu, jaki wybuchł tego dnia w Paryżu z powodu zakazu bankietu w XII dzielnicy i o którym doniosły właśnie depesze. Ja nie zajmowałem się nigdy tymi sprawami. Nie wiem więc, skąd przyszło mi nagle do głowy twierdzić z całym uporem i zapalem moich lat dziewiętnastu, że wieści z Francji zapowiadają na jutro republikę, a na pojutrze cesarstwo,

Obecni przyjęli tyradę moją z dyskretnym uśmiechem i spoglądali na jednego z gości, siedzącego przy stoliku z kartami.

Gość ów uśmiechnął się także. Wstał i podszedł do mnie. Był średniego wzrostu, nawet mały, miał poważne i melancholijne spojrzenie, ubrany był w błękitny surdut.

Wszyscy obecni przypatrywali się tej scenie z zabawną ciekawością.

— Z kim mam przyjemność? — zapytał łagodnym głosem.

— Hrabia Kazimierz Bielowski — odparłem kwaśno, chcąc zaznaczyć, że sama różnica wieku nie upoważnia go jeszcze do takiej indagacji.

— A więc drogi hrabio, jeśli pańska przepowiednia się spełni, zechciej zawitać do Tuileries — rzekł z uśmiechem gość w niebieskim redingocie.

I dodał przedstawiając się:

— Jestem księżę Ludwik-Napoleon Bonaparte.

W samym zamachu stanu nie odegrałem żadnej czynnej roli i nie żałuję tego. Zasadą moją jest, że cudzoziemiec nie powinien mieszać się do wewnętrznych zamieszek w kraju. Zrozumiał to jednak i nie zapomniał o swoim szczęśliwym proroku. Byłem jednym z pierwszych, których zawezwał do Pałacu Elizejskiego. W rok później dał mi stanowisko na dworze swoim, a dobroć swoją posuwał aż do tego stopnia, że oddał mi rękę córki marszałka Repeto, księcia de Mondovi'ego.

Mogę oświadczyć całkiem śmiało, że związek ten nie był dla mnie tym, czym być powinien. Księżniczka starsza ode mnie o lat dziesięć, była niemiła i niezbyt ładna. Prócz tego rodzina zastrzegła jej formalnie prawa do posagu. Miałem w tym czasie tylko dwadzieścia pięć funtów apanaży, które pobierałem jako kamerjunker. Smutny los dla człowieka, który uczęszczał do hrabiego d'Orsay i księcia de Gramont-Caderousse'a, Czy mógłbym więc egzystować bez specjalnych łask cesarza?

Pewnego wiosennego poranku w roku 1862 siedziałem w swoim gabinecie i przeglądałem pocztę.

Przyniosła mi ona list od Najjaśniejszego Pana, wzywający mnie na godzinę czwartą do Tuileries i list od Klementyny, która donosiła mi, że czekać mnie będzie u siebie o godzinie piątej. Klementyna była to piękność, dla której popełniałem wówczas szaleństwo. Byłem z niej tym bardziej dumny, że pewnego wieczora sprzątnąłem ją w Maison Dorée sprzed nosa księciu Metternichowi, który był w niej zakochany. Stosunku tego zazdrościł mi cały dwór, musiałem więc ponosić wszystkie konsekwencje. Zresztą Klementyna była tak piękna. Sam cesarz... Inne listy, były to rachunki od jej dostawców, które kazała odsyłać do mojego małżeńskiego domu, mimo moich dyskretnych napomnień.

Rachunek wynosił z górą czterdzieści tysięcy franków. Suknie i płaszczyki wieczorowe z firmy Gagelin-Opigez, ulica Richelieu 23, kapelusze i koafiury od pani Aleksandryny, ulica d'Anton 14, różne suknie i bielizna od pani Pauliny, ulica Clery 100, pasmanteria i rękawiczki *Józefina z Ville de Lyon*, ulica Chausse d'Antin 6, fulary z *Maile des Indes*, chusteczki z *Compagnie Irlandaise*, koronki z firmy Ferguson, mleko przeciwko piegom z Candes... Szczególnie to mleko kosztowało mnie kupę pieniędzy. Na rachunku wyliczonych było pięćdziesiąt i jeden flakonów. Sześćset trzydzieści franków za mleko przeciw piegom! Można by tym wypielegnować naskórek stu gwardzistów!

Tak dalej trwać nie może — rzekłem do siebie, chowając rachunki do kieszeni.

Dziesięć minut przed czwartą przestępowałem furtkę Karuzelu.

W salonie adiutantów natknąłem się na Bacciochiego.

— Cesarz jest przeziębiony — rzekł do mnie. — Nie wychodzi z pokoju. Polecił, aby pana wprowadzić, skoro pan przyjdzie. Proszę wejść.

Cesarz miał na sobie kurtę szamerowaną i spodnie kozackie. Siedział zamyślony przy oknie. Widać przez nie było wędną zieleń Tuileriów, lśniących w ciepłym deszczu.

— A, to ty — rzekł Napoleon — bierz papierosa. Ładnych historii narobiliście podobno wczoraj w *Chateau des Fleurs*, ty i Gramont-Caderousse.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Najjaśniejszy pan już wie?

— Tego jeszcze nie wiem dokładnie.

— Czy wie Najjaśniejszy Pan, co powiedział Gramont-Caderousse?

— Nie, ale dowiem się od ciebie.

— Otóż tak. Było nas pięciu czy sześciu: ja, Viel-Castel, Gramont, Persigny...

— Źle robi Persigny — rzekł cesarz — że po tym, co Paryż mówi o jego żonie, afiszuje się z Gramontem.

— Oczywiście, Najjaśniejszy Panie. Toteż, proszę mi wierzyć, że Persigny był wzruszony i ze smutkiem opowiadał nam, jak bardzo martwi go zachowanie się księżnej.

— Ten Fialin zawsze odznaczał się brakiem taktu.

— Tak jest, Sire. Toteż, wie Najjaśniejszy Pan, co mu na to Gramont odpowiedział?

— Co?

— Powiedział mu: książę, zabraniam panu w mojej obecności wyrażać się źle o mojej kochance.

— Gramont posunął się trochę za daleko — rzekł Napoleon, uśmiechając się melancholijnie.

— Byliśmy wszyscy tego samego zdania, Sire, nie wyłączając Viel-Castela, któremu się to jednak bardzo podobało.

— Jakże się miewa księżna Bielowska? — spytał cesarz po chwili milczenia,

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie, doskonale.

— A Klementyna?

— Również, Ale...

— Pan Baroche jest w niej podobno do szaleństwa zakochany,

— Dumny z tego jestem, ale zaszczyt ten zaczyna być dla mnie nazbyt kosztowny. — Mówiąc to, wyciągnąłem z kieszeni stos rachunków, które otrzymałem rano i położyłem je przed cesarzem.

Spojrzał i uśmiechnął się melancholijnie.

— No... no... Tylko tyle. Może znajdę na to jakąś radę, tym więcej, że będę potrzebował od ciebie pewnej przysługi.

— Jestem cały do dyspozycji Najjaśniejszego Pana. Cesarz zadzwonił.

Poproś tu pana Mocquarda.

— Jestem zachrypnięty — objaśnił. — Mocquard wytłumaczy ci, o co chodzi.

Wszedł osobisty sekretarz cesarza.

— Oto Bielowski, Mocquardzie — rzekł Napoleon. — Zna pan całą sprawę, przedstaw ją pan.

Począł bębnić palcami po szybach, po których spływał ulewny deszcz.

— Drogi książę — Zaczął Mocquard, zajmując miejsce. — Sprawa jest bardzo prosta. Słyszał pan zapewne o młodym utalentowanym podróżniku, panu Henryku Duveyrierze.

Potrząsnąłem przecząco głową zdumiony tym
niezwykłym wstępem,

— Pan Duveyrier — ciągnął dalej Mocquard —
wrócił obecnie do Paryża z niezwykle śmiałej podróży do
południowej Algierii i w głąb Sahary. Pan Vivien de Saint-
Martin, którego niedawno spotkałem, powiedział mi, że ma
za nią nawet dostać złoty medal od Towarzystwa
Geograficznego. Podczas podróży tej nawiązał pan
Duveyrier stosunki z przywódcami Tuaregów, którzy
dotychczas zajmowali w stosunku do naszych wojsk
stanowisko wrogie.

Popatrzyłem na cesarza z takim zdumieniem, że się
aż zaczął śmiać.

— Słuchaj dalej — rzekł.

— Pan Duveyrier — ciągnął dalej Mocquard —
dokazał tego, że przybędzie do Paryża delegacja Tuaregów,
celem złożenia hołdu cesarzowi. Odwiedziny te mogą mieć
doniosłe skutki i pan minister kolonii spodziewa się
podpisać umowę handlową bardzo dla nas korzystną.
Delegacja owa, złożona z pięciu ludzi, pomiędzy którymi
jest sam szejk Othman, sułtan związku Adżerów, przybywa
jutro rano. Na dworcu liońskim oczekiwać ich będzie pan
Duveyrier, jednakże cesarz sądzi...

— Sądzę — przerwał Napoleon III, wprowadzony w
dobry humor moją zdumioną miną — że wypadaloby, aby
był ktoś, kto by przy powitaniu muzułmańskich dygnitarzy,
reprezentował dwór. I po to właśnie wezwałem cię, mój
biedny Bielowski. Nie lękaj się, — rzekł, śmiejąc się —
Duveyrier będzie z tobą. Twoim obowiązkiem będzie
postawienie całego przyjęcia na pewnej stopie światowości.
Będziesz towarzyszył gościom przy śniadaniu, jakie dla
nich wydają jutro w Tuileriach, zaś wieczorem zapoznasz

ich w sposób jak najdyskretniejszy, ze względu na ich religię, z wysokim stopniem cywilizacji Paryża, nie zapominając o tym, że są oni u siebie na Saharze wysokimi dygnitarzami religijnymi. Mam pod tym względem do ciebie pełne zaufanie i pozostawiam ci zupełną swobodę działania... Mocquard!

— Sire?

— Z budżetu ministerstwa spraw zagranicznych i ministerstwa kolonii trzeba wypłacić hrabiemu Bielowskiemu odpowiednią sumę na koszty przyjęcia delegacji tuareskiej. Na razie sto tysięcy franków... Hrabia cię zawiadomi, jeśli suma ta okaże się za mała.

Klementyna mieszkała przy ulicy Boccador w małym mauretańskim pałacyku, który kupiłem dla niej od pana de Lesseps. Zastałem ją w łóżku. Na mój widok zalała się łzami.

— Jesteśmy szalem, cośmy uczynili! — powtórzyła.

— Miałem tuż blisko przy sobie jej olbrzymie czarne włosy i delikatne jej ciało, pachnące perfumami Nanon.

— Co się stało? Ależ co się stało?

— Stało się... — i szepnęła mi coś do ucha.

— Niemożliwe! — zawołałem oszołomiony. Czy jesteś tego pewna?

— Czy jestem tego pewna?

Byłem przygnębiony.

— Widzę, że cię zbytnio nie cieszy — zauważyła kwaśno.

— Ależ co znowu, Klementyno! Wierzaj mi, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Na dowód, że tak jest, poświęć mi cały jutrzejszy dzień.

— Jutro — zawołałem — to niemożliwe!

— Dlaczego? — zapytała podejrzliwie!

— Bo jutro muszę z rozkazu Najjaśniejszego Pana oprowadzać po Paryżu targijską misję.

— Cóż to za wymysł?

— Najszczęśliwsza prawda!

Powtórzyłem pokrótce Klementynie to, co mi powiedział Mocquard, Słuchała z miną, która miała znaczyć: nie nabierzesz mnie.

Zirytowany tym, wybuchnąłem wreszcie:

— Możesz przyjść sprawdzić. Jem z nimi jutro razem obiad. Zapraszam i ciebie.

— Bądź pewien, że przyjdę! — rzekła Klementyna z godnością.

Po chwili żałowałem już mego wybuchu. Ale pomyśl pan tylko, co to był za dzień! Na dzień dobry rachunki na sumę czterdzieści tysięcy franków. Myśl o trudach oprowadzania nazajutrz po Paryżu bandy dzikusów, a jako korona wszystkiego zapowiedz nieprawego ojcostwa...

Wreszcie — myślałem, powracając do domu — spełniłem tylko rozkaz cesarza. Kazał mi dać Tuaregom pojęcie o paryskiej cywilizacji. Klementyna umie się znaleźć w towarzystwie i obecnie nie należy jej się sprzeciwiać. Zamówię na jutro wieczór gabinet w Café de Paris i powiem Gramont-Caderousse'owi i Viel-Castelowi, żeby przyprowadzili swoje kochanki. Synowie pustyni pośród naszej gromadki, będzie to widowisko w stylu istic galijskim.

Pociąg z Marsylii przychodził o godzinie dziesiątej minut dwadzieścia. Na stacji zastałem już pana Duveyriera, młodego dwudziestotrzyletniego człowieka o błękitnych

oczach i blond bródce. Tuaregowie, wysiadłszy z wagonu, rzucili mu się w objęcia. Spędził z nimi dwa lata w namiocie. Przedstawił mnie wodzowi, szejkowi Otomanowi i czterem innym, wspaniałym mężczyznom w błękitnych strojach, z amuletami z czerwonej skóry. Na szczęście mówili pewnego rodzaju sabirem², ułatwiającym rozmowę.

Wszędzie, gdziekolwiek ich prowadziłem, czy to na śniadaniu w Tuileriach, czy w Muzeum, czy w Ratuszu, czy w Drukarni Cesarskiej – wszędzie wpisywali Tuaregowie swoje nazwiska do złotej księgi pamiątkowej. Trwało to bez końca. Dość powiedzieć, że pełne nazwisko samego szejka Othmana brzmiało: Othman-ben-el-Beriben-el-Hadj-el-Faqqi-ben-Mohamed-Bouya-ben-si-Ahmed-es-Suki-ben-Mahmud.

A było ich pięciu!

Humor dopisywał mi jednak, na bulwarach bowiem jak i wszędzie zresztą mieliśmy szalone powodzenie. Zachwyty ogólny doszedł do zenitu w Café de Paris o godzinie pół do siódmej po południu. Pijani już z lekka delegaci ściskali mnie i całowali, Gramont-Caderousse i Viel-Castel byli już w numerze 8 z Anną Grimaldi z Folies Dramatiques i Hortensją Schneider, z dwiema zatrważająco pięknymi kobietami. Ale zachwyty zmienił się po prostu we wzruszenie, gdy weszła moja droga Klementyna. Musisz bowiem wiedzieć, jak była ubrana: suknia z białego tiulu, narzucona na spódniczkę z błękitnego muślinu chińskiego z plisną z zielonych liści przeplatanych różowymi powojami. Tworzyła w ten sposób okrągły baldachim odsłaniający spódniczkę muślinową z przodu i z boku. Girlandy sięgały aż do pasa, a między dwoma zwojami znajdowały się węzły z różowej satyny o długich końcach. Gorset zrobiony

był z tiulu z wolantem z koronek, Jako strój głowy miała na czarnych włosach koronę-diadem z takich samych kwiatów. Dwie długie wstęgi liści opasywały włosy i spadały na szyję. Jako płaszczyk, pewnego rodzaju peleryna z błękitnego kaszmiru wyszywanego kolorem złotym, o podszewce z błękitnej satyny.

Ten przepych i piękno wywarły silne wrażenie na Tuaregach, a przede wszystkim na jej sąsiedzie z prawej strony, El-Hadż-ben-Guemamie, rodzonym bracie szejka Othmana, amenokala³ Hoggaru. Po zupie z dziczyzny, zalewanej tokajem, był już po uszy zakochany. Gdy podano kompot z owoców z Martyniki à la liqueur de Madame Ampheoux, okazywał bezgraniczną namiętność. Wino cypryjskie zdradziło jej zupełnie jego uczucia. Hortensja dawała mi pod stołem znaki nogą. Gramont, chcąc to samo uczynić z Anną, pomylił się i wywołał protest i oburzenie jednego z Tuaregów. Mogę powiedzieć, że gdy przyszła pora wyjazdu do Marbille, byliśmy zdumieni sposobem, w jaki nasi goście szanowali zakaz używania alkoholu, nadany im przez Proroka.

W Marbille, w czasie gdy Klementyna, Hortensja, Anna, Ludwik i trzej Tuaregowie oddawali się piekielnej galopadzie, szejk Othman wziął mnie na stronę i z pewnym wzruszeniem powierzył mi polecenie, którym go obarczył jego brat, szejk Ahmed.

Nazajutrz rano poszedłem do Klementyny.

— Posłuchaj mnie dziecko — rzekłem, gdy udało mi się nareszcie ją obudzić. — Chcę z tobą poważnie pomówić,

Przetarła oczy niezadowolona.

— Jak ci się podobał ten młodzieniec arabski, który cię wczoraj tak czule ścisnął?

— Owszem... — odparła, rumieniąc się.

— Czy wiesz, że jest on w swoim kraju udziałnym panującym na terytoriach pięć czy nawet sześć razy większych niż państwo najmiłościwszego pana cesarza Napoleona III?

— Wspominał mi coś takiego — rzekła zaciekawiona.

— Czy chciałabyś zasiąść na tronie, jak nasza cesarzowa Eugenia?

Klementyna popatrzyła na mnie zdumiona.

— Zapytać cię o to polecił mi na jego własne żądanie brat jego, szejk Othman.

Oszołomiona raczej niż olśniona, Klementyna nic nie odpowiedziała.

— Ja cesarzową! — wyjąkała wreszcie.

— Od ciebie tylko zależy decyzja. Musisz dać odpowiedź przed południem. Jeśli się zgadzasz, to oblejemy to na śniadaniu u Voisina.

Wiedziałem, że Klementyna była już zdecydowana, chciała jednak dla przyzwoitości okazać trochę sentymentu.

— A ty! — zajęczała. — Mam że cię opuścić? Przenigdy!

— Moje dziecko, bez szaleństw! — uspakajałem ją łagodnie. — Musisz wiedzieć, że jestem zupełnie zrujnowany. Nie mam ani szeląga! Nie wiem nawet, jak zapłacę jutro za twoje mleko na piegi.

— Ach! — rzekła. — A dziecko? — dorzuciła po chwili.

— Jakie dziecko?

— Nasze...

— Ach to prawda! Et, przekażesz je memu następcy. Jestem przekonany, iż szejk Ahmed uzna, że jest ono do

niego podobne.

— Ty zawsze umiesz powiedzieć coś zabawnego — rzekła, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Nazajutrz o tej samej godzinie uwoził ekspres marsylski pięciu Tuaregów i Klementynę. Rozpromieniona młoda kobieta opierała się o ramię szejka Ahmeda, który nie posiadał się z radości.

— Czy w naszej stolicy jest dużo magazynów? — zapytała melancholijnym głosem swojego narzeczonego.

A szejk odparł, śmiejąc się szeroko pod zasłoną:

— Besef, besef. Bono, bono.

W chwili odjazdu poczuła się Klementyna ponad miarę wzruszona:

— Kazimierzu, posłuchaj. Byłeś zawsze dla mnie dobry. Będę panującą. Gdyby ci tu źle było, obiecay mi, przysięgnij mi...

Szejk zrozumiał. Zdjął z ręki pierścień i wsunął mi go na palec.

— Sidi Kazimierz, przyjaciel — mówił energicznie. — Przyjechać nas odwiedzić. Pokazać pierścień Sidi Ahmeda. Cały świat w Hoggar – przyjaciel. Bono, Hoggar, bono.

Gdym wyszedł z dworca lyońskiego, miałem wrażenie, że wypłatał świętego figła.

Hetman Żytomierski był zupełnie pijany. Z trudem udało mi się zrozumieć koniec jego opowiadania, które przeplatał uporczywie kupletami z repertuaru Jakuba Offenbacha.

A kogo nieprzyjemnie zaskoczyła katastrofa Sedanu, to Kazimierza, małego Kazia. Na dzień 5 września trzeba płacić pięć tysięcy ludwików, a tu w kieszeni nie ma ani grosza. Chwytam kapelusz, zdobywam się na odwagę i idę

do Tuileriów, Do licha, nie ma już tam cesarza. Ale cesarzowa była tak dobra. Zastaję ją samą – ach, ludzie uciekają szybko w takich okolicznościach – samą z senatorem, panem Mérimée, jedynym literatem, który był zarazem światowcem. — Pani — mówił do niej — trzeba się wyzbyć wszelkiej nadziei, Pan Thiers, którego spotkałem na moście Royal, nie chce słyszeć o niczym.

— Pani — rzekłem ja z kolei — proszę pamiętać, że są jeszcze prawdziwi przyjaciele.

I ucałowałem jej rękę.

*Evohé, que les déesses,
Ont de drôles de façons.
Pour en joler, pour en joler,
pour en joler les garçons.*

Wracam do domu, na ulicę Lille. W drodze spotykam jakąś kanalię, która szła do Zgromadzenia prawodawczego w Ratuszu. Moje postanowienie było powzięte.

— Pani — rzekłem do żony — moje pistolety!

— Co się stało? — krzyknęła przerażona.

— Wszystko stracone. Trzeba ocalić honor. Idę walczyć na barykadach!

— Ach, Kazimierzu! — rzuciła się, szlochając, w moje objęcia. — Nie poznałam się na tobie. Wybacz mi!

— Wybaczam ci Aurelio — rzekłem z godnością — i ja nie jestem bez winy!

Przerwałem tę smutną scenę. — Była godzina szósta. Na ulicy du Bac przychwyciłem jakąś dorożkę

— Dostaniesz dwadzieścia franków na piwo — rzekłem do dorożkarza — jeśli zdążysz na dworzec lionński

do ekspresu marsylskiego, odchodzącego o szóstej minut
trzydzieści siedem.

Hetman Żytomierski nie mógł mi powiedzieć już nic
więcej. Osunął się na poduszki i zasnął kamiennym snem.

Chwiejąc się, podszedłem do olbrzymiego balkonu.

Poza błękitnymi górami wschodziło bladożółte
słońce.

¹ martyngał – tu: system w grze hazardowej.

² sabir – lingua franca; środek porozumiewanie się ludzi o różnych
językach.

³ amenokal – tradycyjny tytuł władców tuareskich.

XIV

GODZINY OCZEKIWANIA

Czarującą swoją historię zwykł był Saint-Avit opowiadać mi obszernie w nocy. Tego wieczoru przywieziono nam pocztę z Francji. Listy, które przyniósł nam Chatelain, leżały na stoliku nierozpieczętowane. W świetle fotoforu bladej obwódki księżyca, wśród olbrzymiej, czarnej pustyni, można było rozeznaczyć charakter pisma na kopertach.

Z jakim tryumfem uśmiechnął się Saint-Avit, gdy odsunąwszy wszystkie listy, rzekłem zdławionym głosem:

— Mów dalej.

Nie dał się długo prosić,

— Nie jestem w stanie zobrazować ci podniecenia nerwowego, w jakim żyłem od dnia, kiedy mi hetman Żytomierski opowiedział swoją historię, aż do dnia, kiedy miałem stanąć znowu przed obliczem Antinei. Najdziwaczniejsze było to, iż myśl, że jestem niejako człowiekiem skazanym na śmierć, zupełnie się do tego nie przyczyniała. Przeciwnie nawet, wyczekiwałem gorączkowo wezwania Antinei, które równało się przecież

sygnałowi mojej zguby. Ale wezwanie nie nadchodziło. I to opóźnianie wprowadzało mnie w stan chorobliwego zwątpienia.

Czy miałem w tym czasie jakieś chwile przeblýsku świadomości? Nie sądzę. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek pomyślał: *No wstydz się! Będąc w nieokreślonej sytuacji, nie tylko że nie robisz nic, aby się z niej wydostać, ale jeszcze pochwalasz niewolę i dążysz do zagłady.* Nie starałem się nawet upozorować mego pragnienia pozostania i wyczekiwania końca przygody chęcią wytrwania razem z Morhange'em. Jeśli ogarniał mnie głuchy niepokój, że go nie widzę, to z innych powodów, a nie dlatego, abym go chciał widzieć zdrowego i całego.

Wiedziałem zresztą, że jest on zdrów i cały. Zapewne biali Tuaregowie przeznaczeni do poufnych zleceń Antinei byli mało rozmowni. Kobiety nie były bardziej gadatliwe. Od Sydii i Agidy dowiadywałem się tylko, że Morhange lubi granaty lub że nie znosi potrawy z bananów. Ale gdy chciałem otrzymać jakąś inną wiadomość, kryły się z przerażeniem w długie korytarze. Inaczej było z Tanit-Zergą. Z pewną niechęcią wspominała przede mną o najmniejszych faktach, odnoszących się do Antinei. Mimo to wiem, że była przywiązana do swojej pani jak pies. Ale milczała uporczywie, gdy wymawiałem jej nazwisko albo Morhange'a.

Co do Białych, to nie chciałem się o te rzeczy pytać tych posępnych manekinów. Wszyscy trzej zresztą mało się tym interesowali.

Hetman Żytomirski zalewał się coraz bardziej alkoholem. Ostatnim przeblýskiem jego świadomości była, zdaje się, chwila, w której opowiedział mi swoją młodość.

Spotykałem go od czasu do czasu w korytarzach, które stały się nagle dla niego za ciasne, nucącego drżącym głosem arię z *Królowej Hortensji*:

*De ma fille Isabelle
Sois l'epoux à l'instant
Car elle est la plus belle
Et toi le plus vaillant.*

Co do pastora Spardeka, to z przyjemnością wypoliczkowałbym tego lichwiarza. Co zaś do ohydneho człowieczka z palmą akademicką, spokojnego redaktora napisów w sali z czerwonego marmuru, to spotkawszy go, miałem chęć krzyknąć mu w oczy: *Och, och, panie profesorze, co za ciekawy wypadek skrótu wyrazu, ten wyraz: Ατλ-αντινεα. Atl-antina. Ale podam panu równie ciekawy: κλημ-εντινεα. Klem-entyne. Gdyby Morhange był z nami, powiedziałbym panu na ten temat mnóstwo pięknych i uczonych rzeczy. Lecz niestety! Morhange nie raczy przyjść do nas. Nie widać Morhange'a.*

Jedynie stara Murzynka, manicurzystka Rosita, zbywała mnie nieco mniej lakonicznie. Nigdy chyba nie kazałem sobie tak dokładnie polerować paznokci, jak w owe dni oczekiwania. Dziś upłynęło już od tej pory lat sześć i stara prawdopodobnie już nie żyje. Ale nie uchybię przecież jej pamięci, skoro powiem, że lubiła wypić. Nie potrafiła się oprzeć pełnym butelkom, które jej przynosiłem i wypróżniłem z nią niejedną z uprzejmości.

W przeciwieństwie do innych niewolnic, które za pośrednictwem handlarzy przychodzą z południa do Turcji, urodziła się ona w Konstantynopolu i przybyła do Afryki sprowadzona przez swego pana, który został kaimakamem¹

Rhadamesu... Ale nie będę komplikował opowiadania, już i tak obfitującego w wypadki, wyszczególnianiem kolejnych zmian życia tej manicurzystki.

— Antinea — opowiadała — jest córką El-Hadž-Ahmed-ben-Guemama, króla Hoggaru i szejka wielkiego, szlchetnego plemienia Kel-Rhela. Urodziła się w roku 1241 hidżry. Nie chciała wyjść za mąż za nikogo. Uszanowano jej wolę, ponieważ wola kobiet jest najwyższa w tym Hoggarze, w którym dzisiaj rządzi. Jest krewną Sidi El-Senusiego i jedno jej słowo wystarczy, aby krew chrześcijańska popłynęła strumieniami od Dzeridu do Tuatu i od Czadu do Senegal. Gdyby chciała, żyłaby piękna i otoczona szacunkiem w kraju chrześcijan. Woli jednak, gdy przychodzą do niej.

— Czy znasz Segheir-Ben-Szeika? Czy jest on jej bardzo oddany?

— Nikt tu dobrze nie zna Segheir-ben-Szeika, przeważnie bowiem znajduje się w podróży. To prawda, że jest on bardzo oddany Antinei. Pochodzi bowiem z plemienia Senussisów, a Antinea jest krewną ich władcy. Przy tym zawdzięcza jej Segheir-ben-Szeik życie. Jest on jednym z zabójców wielkiego *Kebir* Flattersa. Z obawy przed represjami ze strony Francuzów żądał amenokal Tuaregów Ikhenukhen wydania Segheir-ben-Szeika. Gdy cała Sahara odtrąciła go, wówczas to Antinea dała mu przytułek, Segheir-ben-Szeik nie zapomniał jej tego, ponieważ jest dzielny i szanuje przykazania Proroka. W dowód wdzięczności przyprowadził jej trzech oficerów francuskich z pierwszego korpusu, okupującego Tunis. Antinea miała wówczas lat dwadzieścia i była dziewicą. Oni to figurują w marmurowej sali pod numerami 1, 2 i 3.

— I Segheir-ben-Szeik wywiązywał się zawsze

dobrze ze swojej misji?

— Jest to człowiek bardzo zręczny i zna ogromną Saharę, jak ja mój pokoik na szczycie góry. W samych początkach mylił się czasem. Wówczas to przyprowadził starego Le Mesge'a i Spardeka.

— Co powiedziała Antinea na ich widok?

— Antinea? Śmiała się tak serdecznie, że aż im darowała życie. Segheir-ben-Szeik czuł się dotknięty tym śmiechem i odtąd już nigdy się nie mylił.

— Nie mylił się nigdy?

— Nie. Wszystkim, których tu następnie przyprowadzał, pielegnowałam ręce i stopy. Wszyscy byli młodzi i piękni. Przyznać jednak muszę, że towarzysz twój, którego mi niedawno przyprowadzono, jest chyba najpiękniejszy.

— A czemuż razem z życiem nie obdarzyła Antinea pastora i pana Le Mesge'a wolnością? — rzekłem, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Ponieważ byli jej potrzebni — odparła stara. — A przy tym kto się tu raz dostał, wyjść nie może. Inaczej bowiem dotarliby tu Francuzi, a na widok czerwonej sali wymordowaliby wszystkich. Zresztą wszyscy, sprowadzeni tu przez Segheir-ben-Szeika, z wyjątkiem jednego, zobaczywszy raz Antineę, nie pragnęli się stąd wydostać.

— Czy długo trzyma ich Antinea przy sobie?

— Zależy to od nich i od zadowolenia, jakie dają Antinei, Przeciętnie dwa, trzy miesiące. To zależy. Pewien oficer belgijski, zbudowany jak kolos, nie przetrwał nawet tygodnia. Pamiętamy zaś wszyscy małego Duglasa Kaine'a, oficera angielskiego, którego Antinea trzymała przy sobie blisko przez rok.

— A potem?

— A potem umarł — odparła stara, jak gdyby zdziwiona moim pytaniem.

— Z jakiego powodu umarł?

— Tak jak inni: z miłości — odpowiedziała słowami pana Le Mesge'a. — Z miłości — ciągnęła dalej. — Wszyscy oni umierają z miłości, gdy widzą, że czas ich szczęścia już minął, i że Segheir-ben-Szeik wyrusza na poszukiwanie nowych. Wielu umierało spokojnie z oczyma pełnymi łez. Przesławiali spać i jeść. Jeden oficer francuskiej marynarki oszalał. Śpiewał w nocy jakąś smutną piosenkę, która rozchodziła się echem dokoła po górach. Inny znowu – jakiś Hiszpan – był jakby wściekły: chciał łąsać. Trzeba było go zabić. Wielu z nich zabił *Kif*. – *Kif* silniejszy jest od opium. Po utracie Antinei palili, palili bez opamiętania i w ten sposób umarli. Ci byli najszcześliwsi. Mały Kaine umarł inaczej.

— A jak?

— Umarł w sposób, który nam wszystkim sprawił dużą przykrość. Mówiłam już, że był tu przez czas niezwykle długi. Toteż zżyliśmy się z nim bardzo. W pokoju Antinei stoi na małym stoliku, malowanym na kolor niebieski i złoty, ciężki srebrny młotek z hebanową rączką. To Agida opowiedziała mi tę scenę. Gdy Antinea, jak zwykle z uśmiechem na ustach, oznajmiła Kaine'owi zerwanie, stał przed nią bardzo blady i milczący. Królowa zadzwoniła na służącego, żeby go wyprowadził. Wszedł biały Targijczyk. Ale mały Kaine chwycił młotek i służący padł z roztrzaskaną czaszką. Antinea nie przestawała się uśmiechać. Biednego Kaina zabrano przemocą do jego pokoju. W nocy udało mu się uśpić czujność straży i wyskoczyć oknem z wysokości dwustu stóp. Robotnicy pracujący w sali balsamowania, opowiadali mi, że mieli z

jego ciałem ogromne trudności. Ostatecznie jednak dali sobie jakoś radę. Możesz to sprawdzić osobiście. Zajmuje on w sali z czerwonego marmuru niszę numer 26.

Stara utopiła wzruszenie w kieliszku.

— Na dwa dni przed jego śmiercią — ciągnęła dalej — weszłam do tego pokoju, tutaj (bo tu był jego pokój), aby mu wymanicuirować paznokcie. Na ścianie, koło okna, wypisał on coś scyzorykiem. Popatrz, widać jeszcze!

Was it not Fate, that, on this July midnight...

— Powiedz mi — zapytałem najspokojniejszym głosem, na jaki potrafiłem się zdobyć — gdy Antinea trzyma którego z nas w swojej mocy, to więzi go przy sobie, nikt się z nim zobaczyć nie może?

Stara zrobiła gest przeczenia.

— Nie lęka się zupełnie, by ktokolwiek zdołał uciec. Góra jest dobrze zamknięta. Wystarczy, by Antinea zadzwoniła w swój srebrny gong, i ten, kogo chce zobaczyć, staje przed jej obliczem.

— A jednak nie widziałem mego towarzysza od chwili, gdy go do siebie powołała.

Murzynka uśmiechnęła się znacząco.

— Świadczy to tylko o tym, że on woli jej nie odstępować. Antinea nie zmusza go do tego i w niczym mu nie przeszkadza.

Z furią uderzyłem pięścią w stół.

— Wynoś się stara wariatko! Prędko!

Przerażona Rosita uciekła, zdążywszy ledwie zebrać wszystkie swoje przyrządy.

Was it not Fate, that, on this July midnight...

Zasugerowany przez Murzynkę zapuściłem się w labirynt korytarzy i przy pomocy pastora Spardeka, którego spotkałem po drodze, dotarłem do czerwonej sali.

Wszedłem.

Chłodna i wonna atmosfera pieczary dobrze na mnie podziałała. Szmer bieżącej wody rozjaśnia niejako najbardziej nawet ponure ustronia. Szumiąca kaskada w środku sali dodała mi sił. Pewnego dnia, przed bitwą, leżałem z moim plutonem wśród wysokich traw, czekając na sygnał gwizdawki, aby zerwać się wśród kul. U moich stóp szemrał strumyk. Słuchałem ożywczego bulgotu. Podziwiałem grę światła i cieni w przejrzystej wodzie, małe istotki, czarne rybki, zielone trawy, żółty, pomarszczony piasek... Porywała mnie zawsze tajemnica wody.

I tutaj, w tej tragicznej sali, myśl moją orzeźwiał szmer kaskady. Uczułem się jej bliski. Pozwala mi ona nie poddać się rozpaczycy wśród tylu dowodów okropnych zbrodni.

Numer 26. To on. Porucznik Douglas Kaine, urodzony w Edynburgu 21 września 1862 roku. Umarł w Hogarze 16 lipca 1890 roku. Miał niespełna 28 lat! Nie miał 28 lat! Wychudła twarz pod skorupą z orychalku. Smutne usta człowieka namiętneho. To on. Biedny mały. Znam Edynburg, chociaż tam nigdy nie byłem. Z murów zamczyska widać wzgórze Pentlandu. *Spojrzyjcie trochę w dół*, mówiła do Anny de Saint-Yves słodka miss Flora Stevenson, *spojrzyjcie nieco w dół, a zobaczycie w zagłębieniu pagórka kępkę drzew i pasemko dymu wznoszącego się wśród nich. To Swanston Cottage, gdzie ja i mój brat mieszkaliśmy z ciotką. Jeśli widok ten sprawi*

wam przyjemność, będę szczęśliwa. Wyjeżdżając do Darfuru zostawił tam Duglas Kaine na pewno jakąś miss Flore, równie jasnowłosa jak owa Saint-Yves. Ale czym są smukłe jasnowłose dziewczyny wobec Antinei! I Kaine, stworzony do kochania tamtych, pokochał tę. Umarł. A oto numer 27, ten, z którego powodu roztrzaskał sobie głowę o saharyjskie skały i który także umarł.

Umrzeć, kochać! Jak naturalnie brzmią słowa w tej sali z czerwonego marmuru. Jakże urasta postać Antinei pośród tego koła bladych posagów. Czyż miłość dla osiągnięcia najwyższego napięcia potrzebuje śmierci? Inne kobiety z naszego świata są na pewno równie piękne jak Antinea, a może nawet piękniejsze. Biorę cię za świadka, że mało dotychczas mówiłem o jej piękności. Skądże więc brała się ta trawiąca mnie gorączka, ta ofiarność całej mojej istoty? Ta gotowość na wszystko, byleby choć przez chwilę zamknąć w ramionach to chwiejne widmo?

Oto numer 53 – ostatni. Pięćdziesiątym piątym będzie Morhange, pięćdziesiątym piątym – ja. Za sześć czy osiem miesięcy, obojętne kiedy – ustawią mnie w tej niszy, niby posąg bez oczu i bez duszy.

Doszedłszy do szczytu egzaltacji, zrozumiałem nagle istotę szczęścia. Jakże dziecinny byłem przed chwilą! Wybuchłem wobec starej Murzynki. Zaprawdę, zazdrościłem Morhange'owi! Dlaczego nie mógłbym być zazdrosny o tych tu obecnych i o tych innych nieobecnych, co przyjdą jeden po drugim i wypełnią kolejno wszystkie puste jeszcze nisze. Wiem, że Morhange znajduje się w obecnej chwili obok Antinei, i świadomość rozkoszy jaką przeżywa i mnie posępną rozkoszą przejmuje. Aż pewnego wieczoru, za trzy, może cztery miesiące, przyjdą tu ludzie balsamujący ciała. I nisza numer 54 otrzyma swoją ofiarę.

A gdy biały Targijczyk podejdzie do mnie – zadrzę z rozkoszy. Dotknie mego ramienia. Będzie to chwila, w której poprzez krwawe wrota miłości wstąpię w krainę wieczności.

Gdy otrząsnąwszy się z zadumy, powróciłem do biblioteki, noc już zapadała i pogrążyła w cieniu zebrane tam osoby.

Rozpoznałem pana Le Mesge'a, pastora, hetmana, Agidę, dwóch białych Tuaregów i jeszcze kilka osób. Naradzali się nad czymś, niezwykle podnieceni.

Zbliżyłem się do nich zdziwiony i zaniepokojony tym zebraniem ludzi, co zazwyczaj nie sympatyzowali ze sobą.

Zaszedł niesłychany fakt, który wytrącił z równowagi wszystkich mieszkańców góry.

Przyszła wiadomość, że na wschodzie, w Adrar Ahnet, ukazali się dwaj badacze hiszpańscy, którzy przybyli z Rio de Oro.

Segheir-ben-Szeik, dowiedziawszy się o tym, chciał natychmiast wyruszyć na ich spotkanie.

Przed chwilą otrzymał rozkaz pozostania.

Nie ulegało już odtąd żadnej wątpliwości.

Antinea po raz pierwszy pokochała.

¹ kajmakam – stanowisko w administracji prowincjonalnej imperium osmańskiego oraz Turcji.

XV

WSPÓŁCZUCIE TANIT-ZERGI

— Wrr, wrr...

Powoli powracałem do przytomności z półsnu, w jaki zapadłem. Otworzyłem oczy i cofnąłem się gwałtownie w tył.

— Wrr.

Tuż nad moją twarzą ujrzałem żółtą, czarno nakrapianą paszczę Hirama. Lampart asystował przy moim przebudzeniu, ale bez większego zainteresowania, ponieważ ziewał. Leniwie otwierała się jego ciemnokarminowa paszcza, w której lśniły piękne białe kły.

Równocześnie usłyszałem głośny wybuch śmiechu.

Była to mała Tanit-Zerga. Przysiadła ona na poduszce obok kanapy, na której leżałem i obserwowała z ciekawością moją konfrontację z lampartem.

— Hiram się nudził — tłumaczyła mi — więc go przyprowadziłam.

— Doskonale — rzekłem wściekły. — Ale czy nie mógłby nudzić się gdzie indziej?

— Jest on teraz zupełnie osamotniony — rzekła

mała. — Wypędzono go, bo zanadto hałasował.

Słowa te przypomniały mi wypadki dnia poprzedniego.

— Jeśli chcesz, wyprowadzę go — rzekła Tanit-Zerga,

— Nie, zostaw.

Spojrzałem na lamparta przyjaźnie. Wspólne nieszczęście zbliżyło nas. Głaskałem wypukłe jego czoło. Hiram objawiał zadowolenie, wyciągając się w całej swej okazałości i pokazując swoje olbrzymie żółte pazury.

— Jest tu także i Galè — rzekła mała.

— Galè? Cóż to znowu?

W tej samej chwili dostrzegłem na kolanach Tanit-Zergi dziwaczne zwierzątko wielkości dużego kota, o płaskich uszach i wydłużonym pyszczku. Jego jasnoszare futerko było szorstkie.

Przyglądało mi się śmiesznymi, różowymi oczami.

— Łasiczka — objaśniła Tanit-Zerga.

— Czy to już wszystko? — zapytałem niezadowolony.

Musiałem mieć tak kwaśną i komiczną minę, że Tanit-Zerga wybuchnęła śmiechem. I ja się roześmiałem.

— Galè jest moją przyjaciółką — rzekła i spoważniała. — Gdy byłam małeńka, uratowałam jej życie. Opowiem ci kiedyś tę historię. Popatrz, jaka ona miła!

Mówiąc to, położyła mi łasiczkę na kolana.

— Bardzo to ładnie z twojej strony, Tanit-Zergo, że przyszedłś mnie odwiedzić — rzekłem głaszcząc grzbiet zwierzątka. — Która to godzina?

— Troszkę po dziewiątej. Słońce już wysoko. Czy mogę opuścić store?

W pokoju rozpostarł się cień. Oczy Galè stały się

bardziej jeszcze różowe, a Hirama zielone.

— Bardzo ładnie — powtórzyłem. — Jak widzę, jesteś dziś wolna. Nigdy jeszcze nie przychodziłaś tak wcześnie.

Twarzyczka dziewczyny zasepiła się.

— Rzeczywiście, jestem swobodna — rzekła dziewczyna twardym głosem.

Popatrzyłem na nią uważniej. Po raz pierwszy zauważyłem, że jest piękna. Bujne włosy, spadające jej swobodnie na ramiona, były kędzierzawe. Rysy miała niezwykle regularne: nos prosty, małe o cienkich wargach usteczka, brodę znamionującą samolubstwo. Cerę miała miedzianą, nie czarną. Smukłe i drobne ciało nie miało nic z ohydneho, zatłuszczonego worka, w jaki zamieniają się wypielegnowane ciała Czarnych.

Czoło miała ujęte w opaskę z miedzi, a włosy opasane ciężkim naczółkiem. Na nogach i na rękach miała cztery jeszcze cięższe bransoletki, a ubrana była w zieloną jedwabną tunikę przetykaną złotem. Zieleń, brąz i złoto.

— Czy należysz do plemienia Sonrhai? — zapytałem łagodnie.

— Tak jest — odparła z akcentem dumy w głosie.

— Śmieszna mała — pomyślałem.

Widoczne było, że poruszyłem temat, na który Tanit-Zerga będzie mówiła chętnie. Zniknął z jej twarzy bolesny wyraz, jaki miała, gdy mówiła o wygnaniu Hirama.

— Pochodzę z rodu Sonrhai — powtórzyła. — Urodziłam się w Gao, nad Nigrem, w dawnej stolicy mego plemienia. Przodkowie moi panowali nad wielkim państwem. Nie należy mną gardzić, choć jestem tutaj niewolnicą.

Galè, siedząc w promieniu słońca na zadku, myśla

swoje lśniące wąsiki przednią łapką. Hiram, rozwalony na macie, spał, wydając od czasu do czasu żalospny pomruk.

— Marzy — rzekła Tanit-Zerga, kładąc palec na ustach.

— Tylko jaguar marzy — rzekłem.

— I lampart także — odparła poważnie, nie rozumiejąc zupełnie znaczenia tego żartu parnasistów.

Zapanowało milczenie.

— Musisz być głodny — rzekła po chwili — a sądzę, że nie będziesz chciał jeść razem ze wszystkimi.

Nie odpowiedziałem.

— Jeść trzeba — podjęła na nowo. — Jeśli pozwolisz, przyniosę tutaj jedzenie dla nas obojga. Przyniosę także obiad dla Hiram i Galè. Gdy człowiek jest smutny, nie powinien zostawać sam.

I mała zielono-złota czarodziejka wyszła, nie czekając mojej odpowiedzi.

W ten sposób nawiązały się moje stosunki z Tanit-Zergą. Przychodziła do mnie co rano z obydwojma zwierzętami. Z rzadka tylko wspominała o Antinei i zawsze w sposób wymijający. Pytanie, które czytała nieustannie na moich ustach, zdawało się ją przerażać, i czułem, że unika tych tematów, na które sam nie śmiałem naprowadzić rozmowy.

Żeby się ustrzec przed nimi, mówiła i mówiła bez końca jak nerwowa papużka.

Zachorowałem. Przez czas choroby pielęgnowany byłem z taką starannością, jak nigdy przedtem, przez tę siostrę z zielonego jedwabiu i brązu. Obydwa dzikie zwierzęta, duże i małe, leżały u mego pośłania i w czasie gorączki widziałem wpatrzone we mnie ich smutne, tajemnicze źrenice.

Śpiewnym głosem opowiadała mi Tanit-Zerga rozmaite historie, z których najpiękniejszą była dla mnie historia jej życia.

Później dopiero zauważyłem nagle, do jakiego stopnia wplątała się ta mała dzika dziewczyna w moje życie. Gdziekolwiek jesteś teraz, droga dziewczeczko, z jakiej przystani spoglądasz na moją tragedię, pošlij mi myśl serdeczną i wybacz mi, że nie od pierwszej chwili odnosiłem się do ciebie z takim szacunkiem, na jaki zasługiwałaś.

— Z moich lat dzieciennych — opowiadała — zostało mi wspomnienie żółto-różowego słońca, wschodzącego wśród mgieł porannych na tle gładkich fal rzeki obfitej w wodę — rzeki Nigru. Było to... ale ty nie słuchasz?...

— Słucham. Przysięgam ci, że słucham.

— Nie nudzę cię? Naprawdę? Chcesz, abym mówiła dalej?

— Mów, Tanit-Zergo, mów.

— Z moimi towarzyszkami, dla których zawsze byłam dobra, bawiłam się nad brzegiem rzeki obfitej w wodę, pod drzewami jujubowymi, których ciernie pokrwawiły głowę twojego Proroka, a które nazywamy drzewami rajskimi, ponieważ pod nimi, jak powiedział nam Prorok nasz, wybrani znajdują odpoczynek. Drzewo to jest czasem tak wielkie, że człowiek nie może czasem w ciągu wieku przejść przez jego cień.

Tutaj spletałyśmy piękne wieńce z mimozy, z różowych kwiatów drzewa kaparowego i białego kminku. Rzucaliśmy je następnie na zielone wody, aby zakląć zły los, i śmiałyśmy się jak szalone, gdy nagle wypłynął, sapiąc, hipopotam ze swoją wielką, pucołowatą głową i

atakował je z wściekłością, a potem znikał w wodzie wśród deszczu piany.

Tak spędzałyśmy ranek. Potem nad dźwięczącym od świerszczów Gao roztaczała swe skrzydła śmierć czerwonej sjesty. Gdy się skończyła, wracałyśmy nad brzeg rzeki, aby patrzeć, jak wśród rojów moskitów i jętek wyłażą powoli na brzeg okute w brąz krokodyle, aby zanurzać się zdradziecko w żółtym namule pogranicznych rzek.

Wtedy bombardowałyśmy je, jak rano hipopotamy, i aby uczcić słońce, zachodzące za czarnymi gałęziami *duldulów*, robiłyśmy koło rytualne i tupiąc nogami i klaszcząc w ręce, śpiewałyśmy hymn Sonrhaiów.

Takie były nasze zajęcia codzienne jako wolnych dziewcząt. Ale myliłbyś się, sądząc, że byłyśmy tylko puste. Opowiem ci, jeśli chcesz, jak uratowałam życie pewnemu wodzowi francuskiemu, który był znacznie starszy rangą od ciebie, sądząc po ilości złotych naszywek na jego białych rękawach.

— Opowiedz, mała Tanit-Zergo — rzekłem w zamyśleniu.

— Źle czynisz, że się uśmiechasz — rzekła, trochę urażona — i nie uważasz, co mówię. Zresztą, niech tam! Opowiadam dla siebie, aby odświeżyć wspomnienia. Powyżej Gao, Niger rozwidła się i w ten sposób wytworzył się na rzece mały przylądek, na którym rosły olbrzymie drzewa gumowe. Było to w sierpniu o zachodzie słońca, gdyż w okolicznym lesie wszystkie ptaki siedziały nieporuszone. Nagle od strony zachodniej posłyszaliśmy nieznany jakiś hałas. Bum – bum – bum – barabum, bum – bum, zwiększający się coraz bardziej bum – bum – bum – barabum i zerwały się gwałtownie ptaki wodne: czaple,

pelikany, kaczki i cyranki, które rozproszyły się nad drzewami gumowymi, otoczone chmurą dymu czarnego. Była to kanonierka, która okrążyła przylądek, pozostawiając z obu stron rzeki podwójny wir, który poruszył wiszące dokoła zarośla. Powiewała na niej z tyłu niebiesko-biało-czerwona chorągiew, która wlokła się po wodzie, tak gorący był dzień. Zdążyła do małej zatoki w lesie. Opuszczono szalupę i wkrótce wyskoczyło na ląd trzech oficerów.

Najstarszy z nich, marabut francuski w białym burnusie, władający wspaniale naszym językiem, wyraził życzenie rozmawiania z szejkiem Sonni-Azkią. Gdy ojciec mój przystąpił doń, oficer opowiedział mu, że komendant okręgu Tombuktu był ogromnie rozgniewany, gdyż o milę stąd kanonierka wpadła na ukryte w wodzie pale, uszkodziła się i nie może odbywać dalszej podróży w kierunku Ansango.

Ojciec mój odpowiedział, że Francuzi jako protektorzy biednych południowych plemion przeciwko Tuaregom, są bardzo mile widziani, że pale owe zostały wbite nie ze złośliwości, ale do połowu ryb, i że oddaje francuzom do dyspozycji wszystko w Gao, nawet kuźnię do naprawy kanonierki.

Podczas całej tej rozmowy oficer francuski przyglądał mi się, a ja jemu. Był to człowiek starszy, silnie zbudowany, o oczach tak jasnych jak źródło, od którego noszę imię.

— Chodź tu mała — zawołał łagodnym głosem.

— Jestem córką szejka Sonni-Azkii i robię zawsze to, co mi się podoba — odparłam urażona jego lekceważeniem.

— Masz rację — odparł, uśmiechając się — bo

jesteś ładna. Czy dasz mi te kwiaty, które masz na szyi?

Był to naszyjnik z purpurowych hibiskusów. Podałam mu go. Pocałował mnie. Pokój został zawarty.

Przez ten czas pod kierunkiem mego ojca strzelcy senegalscy i najsilniejsi ludzie plemienia wciągnęli kanonierkę do małej zatoki na rzece.

— Naprawa trwać będzie cały dzień jutrzejszy, pułkowniku — rzekł mechanik, który oglądał właśnie uszkodzenia. — Wyjedziemy dopiero pojutrze rano. Gdyby tylko ci leniwczy Senegalowie nie dąsali się przy robocie.

— A to nudna historia! — mruknął gniewnie mój nowy przyjaciel.

Ale gniew jego zniknął szybko, gdyż z zapalem zabrałam się do zabawienia go wraz z moimi towarzyszkami. Słuchał naszych piosenek, a w podziękę dał nam zjeść dobre rzeczy, które mu przyniesiono z okrętu do obiadu. Spał w naszym wielkim domu, który mu odstąpił mój ojciec, a ja przypatrywałam się długo przez gałęzie ścian domu, do którego udałam się wraz z matką.

Nocy tej miałam straszny sen: widziałam mego nowego przyjaciela, oficera francuskiego, śpiącego spokojnie, a nad nim unosił się olbrzymi kruk, krzycząc: kraa... kra... Cień gumowych drzew w Gao... krraa... krraa... nie osłoni przyszej nocy białego oficera ani jego eskorty... krraa...

Skoro świt pobiegłam do strzelców senegalskich.

Leżeli na mostku kanonierki, korzystając z tego, że Biali odpoczywali jeszcze, chętnie próżnując.

Uwiadomiłam najstarszego z nich i przemówiłam do niego z całą powagą.

— Słuchaj, widziałam dzisiaj w nocy we śnie czarnego kruka. Powiedział mi, że cień drzew Gao będzie

nieszczęsny przyszej nocy dla waszego białego wodza...

A gdy nie ruszali się, leżąc z oczyma skierowanymi w niebo, jakby nie słysząc, dodałam:

— I dla jego eskorty.

Słońce było już wysoko na niebie i pułkownik jadł właśnie w domu z innymi francuzami, gdy wszedł mechanik.

— Nie wiem co się stało Senegalom — rzekł. — Pracują jak anioły. Jeśli tak pójdzie dalej, odjedziemy dzisiaj wieczorem.

— Doskonale — odparł pułkownik — ale nie potrzebujemy się znów tak śpieszyć. W Ansango musimy być dopiero z końcem tygodnia. Lepiej będzie puścić się w dalszą drogę rano.

Zadrżałam. Zbliżyłam się doń i błagalnym głosem opowiedziałam mu sen. Wysłuchał mnie z pełnym zdumienia uśmiechem, wreszcie rzekł poważnie:

— Dobrze maleńka, skoro chcesz, odjedziemy dziś wieczorem.

I pocałował mnie.

Gdy noc zapadła, naprawiona kanonierka wyjechała ze swojej przystani.

Francuzi, wśród których widziałam mojego przyjaciela, żegnali nas, powiewając czapkami, jak długo mogliśmy ich dojrzeć. Zostałam sama na moście i patrzyłam na rzekę aż do chwili, gdy turkot dymiącego statku ucichł wśród nocy.

Tanit-Zerga przerwała na chwilę opowiadanie.

— Noc ta była ostatnią nocą wioski Gao. Gdy spałam i gdy księżyc był jeszcze wysoko nad lasem, zawył pies, ale bardzo przeciągle. Potem odezwały się wycia ludzi, potem kobiet, w końcu krzyki, których się nie

zapomina, gdy się je raz słyszało. Wschodzące słońce zastało mnie zupełnie nagą wraz z moimi towarzyszkami biegnącą i podreptującą w kierunku północy z powodu pośpiechu wielbłądów, na których siedzieli eskortujący nas Tuaregowie. Za nami szły kobiety, związane po dwie, a między nimi moja matka. Mężczyzn było bardzo mało. Wszyscy prawie zginęli razem z moim ojcem, dzielnym Sonni-Azkią, na gruzach osady, wymordowanej przez bandę Aulimidenów, którzy napadli w celu wyrżnięcia Francuzów z kanonierki.

Tuaregowie gnali nas teraz co sił, gdyż lękali się pościgu. W ten sposób szliśmy około dziesięciu dni, a w miarę jak znikало proso i konopie, pochód stawał się coraz straszniejszy. W końcu, w pobliżu Isakeryen, w kraju Kidala, Tuaregowie sprzedali nas jakiejś karawanie Maurów Trarza ciągnącej z Mabruku do Rhatu. Początkowo, ponieważ szliśmy wolniej, byłam szczęśliwa. Ale nagle zaczęła się kamienista pustynia i kobiety padały ze znużenia. Mężczyzn nie było, ponieważ ostatni z nich zginął pod razami kija, nie chcąc iść dalej.

Miałam jeszcze tyle sił, że biegłam, a nawet wysuwałam się naprzód, aby nie słyszeć krzyków moich towarzyszek. Kiedy jedna z nich upadła na drodze i widać było, że już nie wstanie, jeden z strażników zsiadł z wielbłąda, zaciągnął ją na bok i zadusił. Ale pewnego dnia usłyszałam krzyk, który zmusił mnie do odwrócenia się. Była to moja matka. Klęczała i wyciągała do mnie swoje biedne ramiona. W jednej chwili znalazłam się przy niej. Ale rozdzielił nas wielki Maur ubrany w biały strój. Na szyi jego zawieszona była na czarnych paciorkach pochwa z czerwonej skóry, z której wyjął kordelas. Widziałam jeszcze błękitne ostrze na brunatnej skórze. Potem drugi

straszny krzyk. W chwilę potem, odpędzona razami kańczuga, biegłam znów przy karawanie, zalewając się łzami.

Ale w okolicy studni Asiu karawana Maurów zaatakowana została przez grupę Tuaregów Kel-Tazholet, podległych szczepowi panującemu w Hoggarze i z kolei wyrżnięta do nogi. W ten sposób dostałam się tutaj, do Antinei, której zostałam w hołdzie ofiarowana. Pozyskałam sobie jej serce, była dla mnie zawsze bardzo dobra. Kołysze cię więc do snu opowieściami, których nawet nie słuchasz, nie niewolnica, ale ostatnia potomkini potężnych władców plemienia Sornhai, Sonni-Alego, niszczyciela ludzi i krajów, Mohameta-Azkii, który odbył pielgrzymkę do Mekki, wiodąc ze sobą pięciuset jeźdźców i trzysta tysięcy złotych mithkali, wtedy gdy potęga nasza rozpościerała się od Tsradu do Tuatu i Morza Zachodniego i gdy Gao wznosiło nad innymi miastami swoją kopułę, siostrę nieba, najwyższą spośród kopuł, jej rywalek, jak tamaryszek wśród skromnych roślin sorga.

XVI

SREBRNY MŁOTEK

*Je ne me défends plus et je ne veux qu'aller.
Reconnaître la place où je dois l'immoler.*

(Andromacha)

To co opowiem stało się w nocy. Około godziny piątej po południu niebo się zachmurzyło, a panująca w atmosferze duszność zapowiadała zbliżającą się burzę.

Pamiętam doskonale. Było to 5 stycznia 1897 roku.

Hiram i Galè leżały na dywanie, w moim pokoju. Ja zaś i Tanit-Zerga wyglądaliśmy przez skalisty otwór i obserwowaliśmy pierwsze błyskawice. Wybłyskiwały one raz po raz, przecinając swoimi niebieskimi błyskami zupełną już ciemność. Grzmotów nie było słychać. Burza przechodziła widocznie bokiem, nad wierzchołkami Hoggaru.

— Pójdę się położyć — rzekła Tanit-Zerga.

Wspominałem już, że jej pokój znajdował się nad

moim. Otwór, który go oświecał, znajdował się o kilka metrów nad otworem, przy którym staliśmy. Łasiczkę wzięła na ręce. Ale Hiram nie chciał iść. Wpił się wszystkimi czterema łapami w dywan i miauczał gniewnie.

— Zostaw go — rzekłem wreszcie do Tanit-Zergi.
— Niech raz śpi tutaj.

W ten sposób ciąży i na nim część odpowiedzialności za wypadki, które wkrótce potem zaszły.

Zostawszy sam, pograżyłem się w rozmyślaniach. Noc była czarna. Góra pogrążona była w ciszy.

Z zadumy wyrwały mnie głośne pomruki lamparta.

Hiram stał oparty o drzwi i starał się je gwałtownie otworzyć pazurami. On, który nie chciał przez chwilą iść za Tanit-Zergą, obecnie pragnął wyraźnie wydostać się stąd.

— Dość tego — rzekłem. — Leżeć tu.

Starałem się oderwać go od drzwi.

Nie udało mi się, otrzymałem jeszcze w dodatku uderzenie łapą.

Usiadłem więc na kanapie.

Bezczynność moja nie trwała długo. — Trochę szczeroci z samym sobą — powiedziałem sobie. Od chwili, gdy ujrzałem Antinę i gdy Morhange mnie opuścił, prześladuje mnie jedna, jedyna myśl. Po co oszałamiać się historiami, zresztą bardzo ciekawymi, opowiadanyimi przez Tanit-Zergę. Ten lampart jest może przewodnikiem? Ach, czuję, że nocy tej staną się rzeczy dziwne i tajemnicze. Jakże mogłem pozostawać tak długo beczynnim?

Bezzwłocznie powziąłem decyzję.

— Jeśli otworzę drzwi — pomyślałem — Hiram puści się pędem przez korytarze i nie zdołam podążyć za nim. Trzeba postąpić inaczej.

Stora w moim pokoju wciągana była na sznurek. Zerwałem go, zrobiłem zeń mocną smycz, którą przymocowałem do metalowej obroży lamparta.

Uchyliłem drzwi.

— No, teraz możesz iść, ale wolno, wolno.

Całych sił dobywać musiałem, żeby hamować gwałtowny pośpiech Hirama, który ciągnął mnie za sobą przez ciemne korytarze.

Była już prawie dziewiąta i różowe lampki przygasaly w swoich niszach. Od czasu do czasu przechodziliśmy obok gasnącego światła. Co za labirynt! Wiedziałem, że nie odnalazłbym już drogi do swego pokoju. Nie pozostawało mi nic innego jak iść w ślad za lampartem. Początkowo wściekły, oswoił się już powoli z moją obecnością. Szedł lekko, pomrukując radośnie.

Wszystkie czarne korytarze były do siebie podobne. A nuż, pomyślałem, znajdę się nagle w sali gry! Przypuszczenie to było niesprawiedliwością w stosunku do Hirama. Pozbawione od dawna widoku ukochanej istoty, prowadziło mnie dzielne zwierzę tam, gdzie pragnąłem się znaleźć.

Nagle, na jakimś zakręcie, ciemności się rozjaśniły. Pojawiła się zielono-czerwona rozeta rzucająca blade światło. Lampart zatrzymał się z głuchym mruczeniem przed drzwiami, w których znajdowała się świecąca rozeta.

Poznałem drzwi, przez które wprowadził mnie nazajutrz po przyjeździe biały Targijczyk. Za nimi to przewrócił mnie Hiram w obliczu Antinei.

— A dziś jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi — pomyślałem i pogłaskałem go z obawy, by nie zawył nazbyt głośno.

Jednocześnie starałem się otworzyć drzwi. Na ziemi

ścielił się zielono-czerwony witraż. Nacisnąłem klamkę, trzymając przy tym Hirama krótko na smyczy, ażeby lepiej nad nim panować, ponieważ stał się nerwowy.

Wielka sala, ta sama, w której po raz pierwszy ujrzałem Antinę, była zupełnie ciemna. Lecz ogród, na który się otwierała, tonął w bladym świetle księżyca sunącego po ciężkim od burzy niebie. Nie było żadnego przewiewu. Jezioro połyskiwało jak cynowa masa.

Siadłem na poduszkach i przytrzymałem mocno kolanami niecierpliwącego się lamparta. Zastanawiałem się. Nie nad celem mej wyprawy, bo dawno się skończyła, ale nad środkami.

Nagle zdawało mi się, że słyszę daleki szept, przytłumiony dźwięk głosów.

Hiram mruczał coraz głośniejsze i wrywał się. Puściłem sznur nieco luźniej. Począł się skradać wzdłuż ciemnej ściany w kierunku, skąd dochodziły szmery. Poszedłem za nim, stąpając możliwie jak najciszej pośród porozrzucanych poduszek.

Oczy moje, przywykły do ciemności i rozróżniły teraz stos dywanów, na którym ukazała mi się wówczas Antinea.

Nagle zadrżałem. Lampart zatrzymał się. Poczułem, że nastąpiłem mu na ogon. Dzielne zwierzę nie jęknęło nawet.

Macając rękami po ścianie odnalazłem jakieś inne drzwi.

Otworzyłem je ostrożnie jak poprzednie. Lampart zawył cicho.

— Cicho, Hiram — szepnąłem.

I otoczyłem ramionami jego potężną szyję.

Poczułem na dłoni wilgotne i ciepłe dotknięcie jego

języka. Serce jego biło. Rozpierało go potężne uczucie szczęścia.

Przed oczyma naszymi ukazała się inna, oświetlona w swej części głównej, sala. Pośrodku jej siedziało na macie sześciu ludzi. Grali oni w kości i pili kawę z miniaturowych miedzianych filiżanek na długich nóżkach.

Byli to Tuaregowie.

Zawieszona u sufitu latarnia oświecała ich ciche koło. Dokoła nich panowała nieprzejrzana ciemność. Czarne twarze, miedziane filiżanki, białe burnusy, ciemność i ruchoma światłość, tworzyły oryginalny obraz. Grali ze skupioną powagą, wywołując stawki szorstkim głosem.

Cicho, cichuteńko odwiązywałem smycz od obroży niecierpliwącego się zwierzęcia.

— Idź!

Skoczył wielkim susem.

Stało się to, co przewidywałem.

Pierwszy skok Hirama rzucił go w sam środek białych Tuaregów. Wywołało to pośród straży niebывały popłoch. Następny skok pogrzył go w mroku. Z trudnością dojrzałem ciemną otchłań innego korytarza, otwierającą się po drugiej stronie pokoju.

— To tam — pomyślałem.

W sali zapanowało nieopisane wprost, ale ciche zamieszanie. Pieniądze i kubki na kości potoczyły się w jedną stronę, filiżanki w drugą. Dwaj gwałtownie przewróceni Tuaregowie rozcierali sobie boki, klnąc cicho.

Zbytecznym jest dodawać, że skorzystałem z tego zamieszania i prześlizgnąłem się przez pokój. Znalazłem się w drugim korytarzu, w którym zniknął Hiram.

W tej samej chwili rozległ się pośród ciszy

srebrzysty dźwięk gongu. Po drzeniu, jakie wstrząsnęło Tuaregami, przekonałem się, że obrałem dobry kierunek.

Jeden z Tuaregów wstał. Przeszedł obok mnie. Poszedłem za nim. Byłem zupełnie spokojny. Każdy mój ruch był z góry obmyślony.

— Cóż ryzykuję — myślałem — najwyżej zostanę odprowadzony z powrotem do mojego pokoju.

Targijczyk podniósł kotarę. Wślizgnąłem się za nim do pokoju Antinei.

Olbrzymi ten pokój był oświetlony, a jednocześnie ciemny. Gdy prawa jego strona, w której znajdowała się Antinea, błyszczała od świateł ujętych w abazury, strona lewa była zupełnie ciemna. Ci, którym udało się dostać do wnętrza domu muzułmańskiego, wiedzą, co to jest *pajac*¹, rodzaj kwadratowej niszy, o cztery stopy nad ziemią, z wejściem zakrytym dywanem. Wchodzi się do niej po drewnianych stopniach. Ujrzałem z lewej strony taki *pajac* i wszedłem do niego. Serce biło mi w ciemności. Ale byłem ciągle spokojny. Stąd widziałem wszystko.

Byłem w pokoju Antinei. Oprócz niezwykle bogactwa dywanów, nie było w nim nic szczególnego. Sufit tonął w mroku, ale liczne różnokolorowe latarnie rzucały na materie i futra łagodne światło.

Antinea leżała wyciągnięta na lwiej skórze i paliła. Koło niej leżała srebrna tacka i dzban. Hiram przytulony do niej lizał jej stopy.

Biały Targijczyk stał sztywno, trzymając jedną rękę na piersi, a drugą u czoła.

— Dlaczego wpuszczono lamparta — spytała Antinea twardym głosem, nie spoglądając nań wcale. — Mówiłam, że chcę być sama.

— Poroztrącał nas, pani — odparł pokornie biały

Targijczyk.

— Czy drzwi nie były pozamykane?

Targijczyk milczał.

— Czy mam zabrać lamparta? — zapytał.

W oczach jego czytało się jasno, że pragnie usłyszeć odpowiedź odmowną.

— Niech zostanie, skoro już tu jest — rzekła Antinea.

I jąła stukać nerwowo swoją srebrną fajeczką o tacę.

— Co robi kapitan — zapytała.

— Przed chwilą skończył obiad, odparł Targijczyk.

— Nic nie mówił?

— Owszem, pragnie zobaczyć swego towarzysza, tego drugiego oficera.

Antinea zastukała znów nerwowo o tacę.

— I więcej nic nie powiedział?

— Nie, pani.

Nagła bladeść pokryła lica Antinei.

— Przyrowadź go tu — rzekła gwałtownie.

Targijczyk skłonił się i wyszedł.

Wysłuchałem tego dialogu z nieopisanym wzruszeniem. Więc Morhange... Naprawdę?... Niesłusznie zwątpilem weń... Pragnął mnie widzieć, lecz nie mógł.

Nie odrywałem oczu od Antinei.

Nie była to już wyniosła i szydercza księżniczka z naszego pierwszego spotkania. Nie miała ani złotej przepaski na czole, ani bransoletek, ani pierścionków. Jedyńm jej strojem była szeroka lamowana tunika. Na smukłe łopatki i na nagie ramiona czarną falą spływały jej swobodnie bujne krucze włosy. Sine obwódki otaczały jej ogromne oczy. Wyraz smutku i zmęczenia wykrzywił jej boskie usta. Nie zdawałem sobie sprawy, czy radość, czy

żał ogarniają mnie, gdy widziałem ją taką – tę nową Kleopatę.

Skulony u jej stóp Hiram wpatrywał się w nią pokornie.

W prawej ścianie sali połyskiwało złocistym refleksem zwierciadło z orychalku.

Nagle Antinea wstała i podeszła doń. Ujrzałem ją nagą.

Co za rozkoszny i bolesny zarazem widok! Przed lustrem naga kobieta, która sądzi, że jest sama, i która oczekuje wybranego mężczyzny!

Z sześciu kadzielnic ustawionych w pokoju wznosiły się dymy. Odurzający zapach arabskich kadzidel oszałamiał moje zmysły. Smukła jak lilia Antinea stała odwrócona do mnie tyłem i uśmiechała się do lustra.

W korytarzu rozległ się szmer kroków. Antinea przybrała momentalnie niedbałą pozę, w jakiej ujrzałem ją po raz pierwszy. Trzeba samemu to widzieć, żeby uwierzyć w możliwość takiej przemiany.

Poprzedzony przez białego Targijczyka, wszedł do pokoju Morhange.

On także był błądy. Ale przede wszystkim uderzył mnie wyraz niezwykłego spokoju malujący się na jego obliczu, które, zdawało mi się, znam doskonale. Poczulem, że nigdy, nigdy nie zrozumieję tego człowieka.

Stanął przed Antineą wyprostowany, zdając się nie spostrzegać jej gestu, którym go zapraszała, żeby usiadł,

— Dziwisz się zapewne — rzekła w końcu — że wzywam cię o tak spóźnionej porze.

Morhange ani drgnął.

— Cóż, czy namyśliłeś się! — zapytała.

Morhange uśmiechnął się poważnie i milczał ciągle.

Widziałem wysiłek Antinei, aby zachować na twarzy uśmiech. Podziwiałem panowanie nad sobą tych dwojga ludzi.

— Wezwałam cię — rzekła. — Czy domyślasz się po co? Po to, aby oznajmić ci coś, czego się nie spodziewasz. Nie będzie to dla ciebie niczym nowym, gdy ci powiem, że nie spotkałam jeszcze dotychczas człowieka podobnego tobie. Przez cały czas swego uwięzienia wyrażałeś tylko jedno pragnienie. Przypominasz sobie jakie?

— Prosiłem panią — rzekł z prostotą Morhange — abym mógł przed śmiercią zobaczyć mego przyjaciela.

Nie umiem powiedzieć, które z dwóch uczuć owładnęło mną silniej na te słowa: radość z tego powodu, że Morhange mówi do Antinei *pani*, czy też wzruszenie z powodu jego życzenia.

— Wezwałam cię właśnie po to — odparła bardzo spokojnie Antinea — aby ci powiedzieć, że go zobaczysz. Posunę się nawet dalej. Będiesz mną może jeszcze więcej pogardzał, przekonawszy się, że wystarczyło ci oprzeć się, aby złamać moją wolę, która dotychczas była nieugięta. Mimo wszystko jednak, decyzja moja już zapadła: zwracam wam obu wolność. Segheir-ben-Szeik wyprowadzi was jutro poza pięciokrotny pierścień mego państwa. Czy jesteś zadowolony?

— Tak jest — odparł Morhange z uśmiechem.

Antinea nie spuszczała zeń oczu.

— Pozwoli mi to — ciągnął dalej Morhange — zorganizować nieco lepiej następną wyprawę, jaką podejmę w te strony. Nie wątpi pani chyba, że zechcę tu powrócić, aby pani wyrazić swoją wdzięczność. Tym razem jednak, chcąc oddać tak potężnej władczyni przynależną cześć,

uproszę mój rząd, aby mi dał kilkaset europejskich żołnierzy, a także kilka armat.

Antinea podniosła się niezmiernie blada.

— Tak mówisz?

— Było to chyba do przewidzenia — odparł chłodno Morhange. — Po groźbach, obietnice.

Antinea podeszła do niego. Skrzyżował ramiona na piersiach i patrzył na nią z wyrazem politowania.

— Zginiesz wśród najstraszniejszych tortur — przemówiła wreszcie.

— Jestem w pani mocy — powtórzył Morhange z tym samym spokojem.

Antinea krążyła po sali, jak zwierzę w klatce. Wreszcie podeszła do Morhange'a i, nie panując nad sobą, uderzyła go w twarz.

Uśmiechnął się i obezwładnił ją, więżąc jej małe dłonie mocno, ale delikatnie w swych rękach.

Hiram zaryczał. Sądziłem, że się rzuci. Ale chłodny wzrok Morhange'a przykuł go do miejsca.

— Każę w twoich oczach zamęczyć twego towarzysza — bełkotała Antinea.

Zdawało mi się, że Morhange zbladł, ale trwało to tylko przez moment. Odparł na to z godnością i bystrością, która mnie zadziwiła,

— Towarzysz mój jest dzielny i nie boi się śmierci. — Jestem pewny, że będzie ją wolał od życia okupionego w taki sposób, jakiego pani ode mnie żąda.

Mówiąc to, puścił dłonie Antinei. Królowa była przeraźliwie blada. Czuję, że z ust jej padną słowa nieodwołalne.

— Słuchaj — rzekła.

Jakże piękną była wtedy w swym sponiewieranym

majestacie, w swej krasie po raz pierwszy w życiu bezsilnej.

— Słuchaj — rzekła. — Po raz ostatni. Pamiętaj, że jestem panią w tym pałacu. Pamiętaj, że życie twoje jest w mojej mocy. Pamiętaj, że żyjesz tylko dopóty, dopóki cię kocham. Pamiętaj...

— Pamiętam o tym wszystkim — rzekł Morhange.

— Po raz ostatni — powtórzyła Antinea.

Na twarzy Morhangea malował się tak cudownie pogodny wyraz, że nie patrzyłem już na Antineę. Było w tej twarzy coś niezemskiego.

— Po raz ostatni — powtórzyła Antinea złamanym głosem.

Morhange nie patrzył nawet na nią.

— Niechaj się stanie twoja wola! — rzekła.

Rozległ się srebrzysty dźwięk gongu. Wszedł biały Targijczyk.

Morhange wyszedł z podniesioną głową.

* * *

Antinea jest teraz w moich ramionach. Tulę ją do siebie, nie władczynię, nie pyszną miłośnicę, ale nieszczęśliwe, wzgardzone dziecko. Nie dziwiła jej nawet moja obecność. Głowa jej spoczywa na mym ramieniu. Jak półksiężyc wśród czarnych chmur widzę ukazujący się i znikający w gęstwi włosów mały, krogulczy profil. Jej delikatne ramiona obejmują mnie konwulsyjnie.

...O rozełkana duszo ludzka!...

Któż zdolny jest oprzeć się takim pocałunkom wśród odurzających woni i słodkiej ciszy nocnej? Czuję, że

jestem człowiekiem zatraconym. Czy to ja szepcę?

— Zrobię wszystko, wszystko czego zechcesz, czego zażadasz.

Nerwy moje są naprężone, zmysły podrażnione. Odrzucona w tył głowa spoczywa na miękkich i drżących kolanach. Zapach kadzideł unosi się dokoła. Złote latarnie zawieszane u sufitu zdają mi się gorzeć olbrzymim płomieniem. Czy to mój głos powtarza jak przez sen?

— Zrobię wszystko, wszystko czego zechcesz!

Tuż przy swojej twarzy widzę twarz Antinei. W jej olbrzymich źrenicach błysnęło coś dziwnego.

Nieco dalej płoną źrenice Hirama. Obok niego stoi maleńki złoto-niebieski stolik. Na stoliku widzę młotek, służący Antinei do przywoływania. – Widzę młotek, którym dzwoniła przed chwilą, młotek z długą hebanową rączką i ciężką srebrną główką... młotek którym porucznik Kaine zabił...

Nie widzę nic więcej,...

¹ *pajac* (w oryginale francuskim *guignol*) – prawdopodobnie autor ma na myśli *malqaf*, dolną część szybu wentylacyjnego.

XVII

DZIEWICE SKAŁ

Obudziłem się w moim pokoju. Słońce stało wysoko i zalewało pokój światłem i nieznośnym żarem.

Pierwszą rzeczą, na którą oczy moje padły, była zerwana stora, leżąca w pośrodku pokoju. Zbudziła ona we mnie wspomnienia wypadków ostatniej nocy.

Głowa mi ciążyła. Umysł działał z trudnością, pamięć była jakby przyćmiona. – Wyszedłem z lampartem, To wiem z pewnością. Czerwona pręga na palcu wskazującym świadczy o sile, z jaką szarpał on smycz. Kolana moje są jeszcze zakurzone. Ach, prawda: przekradałem się wzdłuż muru sali, gdzie Tuaregowie grali w kości i gdzie ich Hiram spłoszył. A potem? Ach, tak! Morhange i Antinea... A potem?

Potem... nie pamiętam... A jednak musiało być coś, czego nie mogę sobie przypomnieć.

Czułem zawrót głowy. Chciałem sobie przypomnieć, a jednocześnie czułem, że lękam się tego. Nigdy jeszcze nie odczuwałem czegoś bardziej przykrego.

Odległość stąd do apartamentów Antinei jest duża.

Musiałem więc spać głęboko, gdy mnie przenoszono. Musiano mnie chyba przenosić, skoro nic nie pamiętam.

Dalej już nie dociekałem. Za bardzo bolała mnie głowa.

— Trzeba wyjść na powietrze — pomyślałem. — Tu można oszaleć z gorąca.

Czułem potrzebę zobaczenia ludzi — wszystko jedno jakich. Machinalnie skierowałem się do biblioteki.

Zastałem pana Le Mesge w paroksyzmie radości. Profesor zajęty był otwieraniem ogromnej paczki, zawiniętej starannie w brunatny papier.

— Doskonale, że pan przychodzi — zawołał, widząc mnie wchodzącego — przyszły miesięczniki.

Krzątał się z nerwowym pośpiechem. Z boku rozprutej paczki rozlał się potok zielonych, niebieskich i żółtych broszur,

— Pysznie idzie — ciągnął dalej, tańcząc z radości. — Nie ma większego spóźnienia, bo oto są numery z 15 października. Trzeba powinszować temu dzielnemu Ameurowi,

Radość jego udzieliła się i mnie.

— Pewien godny kupiec turecki zgodził się abonować miesięczniki z całego świata. Kieruje je do celu, o który się mało troszczy. Ale oto są miesięczniki francuskie.

Pan Le Mesge odczytał gorączkowo spis rzeczy.

— Polityka wewnętrzna: artykuły Franciszka Charmesa, Anatola Leroy-Bealieu d'Haussonville'a o podróży cara do Paryża. O, studium o karach w średniowieczu d'Avenela. Dalej wiersze młodych poetów Ferdynanda Greggha, Edmunda Haracourta. Ach! Recenzja z książki Henryka de Castriesa o islamie. To będzie

interesujące... Proszę, weź pan, co panu odpowiada.

Radość czyni ludzi uprzejmymi, a pan Le Mesge był istotnie ogarnięty szalem uciechy.

Od okna szedł lekki powiew. Oparłem się o parapet i począłem przerzucać jeden z numerów *Revue de Deux Mondes*.

Nie czytałem, ale przerzucałem kartki, rzucając spojrzenie raz na czarne litery, to znów na skalistą dolinę, w której gasło bladoróżowe słońce.

Nagle uwaga moja poczęła się skupiać. Uderzyła mnie przedziwna harmonia pomiędzy tekstem a krajobrazem, jaki miałem przed sobą.

Niebo nad naszymi głowami pokryte było tylko z rzadka lekkimi, leciutkimi obłoczkami, podobnymi do białego popiołu, który pozostaje ze spalonych gałęzi. Słońce obejmowało swym uściskiem wierzchołki skał, odcinając ostro na błękitnie nieba ich poważne kontury. Kędyś z wysoka sphywał do tej samotni głęboki smutek i przedziwna cisza, niby upadający nektar do głębokiej czary.¹

Przerzuciłem gorączkowo kilka karteek. Miałem wrażenie, że myśli moje poczynają się wyjaśniać.

Pan Le Mesge, pogrążywszy się w gazetach, wyrażał swoje oburzenia na to co czytał za pomocą głośnego wzruszenia.

Czytałem dalej.

Zewsząd w jaskrawym świetle rozciągał się u naszych stóp czarowny widok. Łańcuch skał widzialny w całej swojej odludnej jałowości aż do najwyższych

szczytów biegł przed nami jak olbrzymie zbiorowisko gigantycznych i bezkształtnych sprzętów zamartwych ku zdumieniu ludzkiemu i na świadectwo jakiejś przedpotopowej walki tytanów. Rozbite wieże...

— To wstyd, prawdziwy wstyd — powtarzał profesor.

Rozbite wieże, rozwalone warownie, wylamane kopuły, strzaskane kolumny, zeszpecone kolosy, szczątki okrętów, grzbiety potworów, szkielety tytanów, ta masa, straszna swoimi wgłębieniami i wypryskami, wyobrażała wszystko to, co było najokropniejszego i najbardziej tragicznego. Dal była tak przezroczysta...

— To wstyd, wstyd — powtarzał oburzony pan Le Mesge.

Dal była tak przezroczysta, że dokładnie widziałem każdy kontur, jak gdybym miał tuż przed oczami tysiąckrotnie powiększoną tę skalę, którą wskazywała mi przez okno Violanta wspaniałym gestem twórcy.

Cały drżący zamknąłem zeszyt. U stóp moich, cała skapana w purpurze, wznosiła się nad złocistym ogrodem, olbrzymia, urwista, biała skala, którą mi pokazała Antinea w dniu naszego pierwszego spotkania.

— To cały mój horyzont — powiedziała wówczas.

Oburzenie pana Le Mesge przekraczało teraz wszelkie granice.

— To nie wstyd, to hańba.

Byłbym go zadusił, aby go zmusić do milczenia.

Chwycił mnie za ramię, biorąc mnie za świadka.

— Niech to pan przeczyta a zobaczy pan, nie będąc nawet kompetentny, że ten artykuł o Afryce romańskiej jest dziwem ignorancji i nieznamomości rzeczy. A wie pan, kto jest podpisany?

— Daj mi pan pokój — rzekłem opryskliwie.

— Podpisany jest Gaston Boissier. Tak, mój panie! Gaston Boissier, oficer Legii Honorowej, wykładowca w wyższej Szkole Normalnej, stały sekretarz Akademii Francuskiej, członek Akademii Napisów i Literatury, ten który od dawna odrzuca moją tezę, jeden z tych... Biedny uniwersytet, biedna Francja!

Nie słuchałem go dłużej.

Czytałem dalej. Pot wystąpił mi na czoło. Czułem, że do głowy mojej, jasnej, jak pokój w którym otworzyły się wszystkie okna, wspomnienia wracają jak gołębie, które z biciem skrzydeł, dolatują do gołębnika.

...Zadrżała nagle, oczy jej rozszerzyły się, jak gdyby jakaś potworna wizja napelniła je przerażeniem.

— *Antonello!* — wyszeptwała.

I przez kilka chwil nie mogła wymówić innego słowa.

Patrzyłem na nią z niewypowiedzianym żalem i cierpiałem w głębi duszy, patrząc na jej zaciśnięte usta. Wizja, która napelniła jej oczy, spłynęła powoli i na moje i ujrzałem białe oblicze Antonella, drżenie jego powiek i falę smutku, która opanowawszy jego smukłe i wychudzone ciało, chwiała nim jak wiotką trzcina.

Nie czytając dalej, rzuciłem pismo na stół.

— To właśnie tak — rzekłem.

Do rozcinania kartek użyłem noża, którym pan Le Mesge przecinał opakowanie, krótkiego sztyletu z rękojeścią hebanową, jaki Tuaregowie noszą zawieszony u pasa z lewej strony.

Włożyłem go do szerokiej kieszeni mego flanelowego dolmanu i skierowałem się ku drzwiom.

Byłem już na progu, gdy nagle usłyszałem wołanie pana Le Mesge.

— Panie de Saint-Avit! Panie de Saint-Avit!
Odwróciłem się.

— Mała informacja, jeśli pan pozwoli.

— O co chodzi?

— Drobnostka. Pan wie, że do mnie należy wypełnianie tablic w sali z czerwonego marmuru...

Zbliżyłem się do stołu,

— Oto zapomniałem zapytać od razu pana Morhange'a o datę i miejsce jego urodzenia, a później nie miałem sposobności. Nie widywałem go. Jestem więc zmuszony zwrócić się do pana. Czy może mnie pan objaśnić?

— Mogę — rzekłem z całym spokojem.

Wyjął z pudełka dużą białą tekturową kartę. Umoczył pióro.

— Zatem: Numer 54... Kapitan?

Dyktując te słowa, oparłem rękę o stół i dostrzegłem na swym mankiecie brunatnoczerwoną plamkę.

— Morhange — powtarzał Le Mesge, kończąc nazwisko mego towarzysza. — Urodzony w...

— Villefranche.

— Villefranche. Rodan. Kiedy?

— 14 października 1859 roku.

— 14 października 1859 roku. Dobrze. Zmarł w

Hoggarze 5 stycznia 1897 roku. Gotowe. Dziękuję panu serdecznie za uprzejmość.

— Do usług.

Potem wyszedłem spokoje z pokoju. Postanowienie moje było odtąd nieodwołalne i, powtarzam, byłem zupełnie spokojny. Jednakże rozstawszy się z panem Le Mesge, zapragnąłem chwili spokoju pomiędzy decyzją a jej wykonaniem.

Początkowo błąkałem się po korytarzach. Potem wróciłem do swego pokoju. Było tam ciągle jeszcze nieznośnie gorąco. Siadłem na kanapie i począłem rozmyślać.

Sztylet w kieszeni przeszkadzał mi. Wyjąłem go i położyłem na podłodze. Był to silny sztylet z czterograniastą klingą. Między rękojeścią a klingą była skuwka z czerwonej skóry.

Widok jego przypomniał mi srebrny młotek. Przypomniałem sobie także, z jaką łatwością pochwyciłem go i uderzyłem...

Z całą dokładnością uprzytomniłem sobie wszystkie szczegóły tej sceny. Nie drgnąłem nawet. Zdawało mi się, że postanowiwszy zabić za chwilę podżegaczkę tamtego zabójstwa, mogłem już myśleć spokojnie o strasznych szczegółach mego czynu.

Rozmyślając nad nim, nie sądziłem siebie, ale raczej zdumiewałem się.

— Jak to — myślałem — więc to ja zabiłem Morhange'a, który był dzieckiem i jak tylu innych był przyczyną cierpień swojej matki, pilnującej go w chorobie. Ja przeciąłem nić jego żywota i zniweczyłem ten posąg miłości, łez i pokonanych przeszkód jakim jest życie ludzkie. Co za dziwna historia!

I nic więcej! Ani obawy, ani wyrzutów sumienia, ani szekspirowskiego lęku po zabójstwie, co sprawia, że dziś, ja, sceptyk i człowiek zblazowany, zaczynam niekiedy drżeć, gdy jestem sam, szczególnie w ciemnym pokoju.

— No, pora już — pomyślałem. — Trzeba z tym raz skończyć.

Podjąłem sztylet i zanim go schowałem do kieszeni, zrobiłem taki ruch, jak gdybym nim kogoś pchnął. Poszło doskonale. Ręka moja działała sprawnie.

Szedłem zawsze do pokoiw Antinei prowadzony przez kogoś, pierwszy raz przez białego Targijczyka, drugi raz przez lamparta. Trafiłem jednak z łatwością. Przed drzwiami z różową rozetą spotkałem Targijczyka.

— Wpuść mnie — rzekłem — pani twoja mnie wzywa.

Niewolnik usłuchał mnie i usunął się.

Wkrótce doszły do mych uszu ciche dźwięki muzyki. Poznałem dźwięk *rebazy*, jednostrunowych skrzypiec kobiet tuareskich. To grała Agida, która siedziała jak zwykle u stóp władczyni. Otaczały ją trzy inne kobiety. Tanit-Zergi nie było.

Ach, ponieważ widziałem wówczas Antineę po raz ostatni, pozwól więc, abym ci opowiedział, jak mi się w tej wyrocznej chwili ukazała.

Czyżby czuła groźbę wiszącą nad jej głową i chcąc jej uniknąć, uciekła się do najbardziej niezwykłych sztuczek? Pamiętałem jeszcze smukłe, nagie ciało bez pierścieni i klejnotów, które przyciskałem do mojej piersi ubiegłej nocy. Cofnąłem się więc, ujrzawszy teraz przed sobą przystrojoną jak bóstwo królową, nie kobietę.

Jej smukła postać ginęła pod olśniewającym przepychem faraonów. Na głowie miała olbrzymi złoty

*pschent*², jaki zdobił czoła bogów i królów, na którym lśniły szmaragdy (narodowe kamienie Tuaregów), tworząc jej imię wypisane w narzeczcu tifinar. Ubrana była w czerwony jedwabny *schenti*³ jak w hieratyczny pokrowiec. Schenti był z czerwonego atlasu, haftowany złotem i lotusami. U stóp jej leżało hebanowe berło, zakończone trójzębem. Jej nagie ramiona otoczone były dwoma *ureusami*⁴, których otwarte paszcze przyczyły się tuż pod jej ramionami, Zausznice pschentu przechodziły w szmaragdową kolbę, której pierwszy krąg biegł tuż pod brodą w kształcie podpinki, a inne spływały kręgiem na nagą pierś.

Gdy wszedłem, uśmiechnęła się.

— Czekałam cię — rzekła z prostotą.

Postąpiłem naprzód i zatrzymałem się wyprostowany w odległości czterech kroków od tronu. Popatrzyła na mnie ironicznie.

— Cóż to znaczy? — zapytała spokojnie.

Podążyłem wzrokiem za ruchem jej ręki. Zobaczyłem rękojęść sztyletu, wyglądającą z mej kieszeni.

Wyjąłem go zupełnie i trzymałem w ręce, gotów do uderzenia.

— Pierwszą, która się poruszy, każę porzucić nagą w pustyni o sześć mil stąd — rzekła chłodno Antinea do towarzyszek, pośród których gest mój wywołał pewne zaleknienie.

Potem zwróciła się do mnie.

— Sztylet ten jest bardzo brzydki i ty go bardzo źle trzymasz. Czy chcesz, żebym posłała Sydię do mego pokoju po srebrny młotek? Władasz nim stokroć zręczniejsz niż sztyletem.

— Antineo — rzekłem głucho — przychodzę panią

zabić.

— Mów mi *ty*, mów mi *ty*. Wczoraj wieczorem tykałeś mnie. Czy nie śmiesz może przy nich? — zapytała, wskazując na kobiety, których oczy wyszły na wierzch z przerażenia. — Mnie zabić? — podjęła. — Jesteś niekonsekwentny, Chcesz mnie zabić w chwili, gdy możesz otrzymać nagrodę za zabójstwo tamtego?

— Czy... czy on cierpiał? — zapytałem nagle, drżąc cały.

— Mało. Użyłeś młotka tak zręcznie, jakbyś nim przez całe życie władał.

— Jak mały Kaine — szepnąłem.

Uśmiechnęła się zdumiona.

— Ach, znasz tę historię? Tak, jak mały Kaine. Ale Kaine był przynajmniej logiczny. Podczas kiedy ty... nie rozumiem.

— A ja także nie rozumiem.

Patrzyła na mnie ubawiona i zaciekawiona.

— Antineo — rzekłem.

— Czego chcesz?

— Uczyniłem, czegoś żądała. Czy ja mogę teraz z kolei zwrócić się do ciebie z prośbą, zadać ci pytanie?

— Mów.

— W jego pokoju było ciemno, prawda.

— Bardzo ciemno. Musiałam cię odprowadzić aż do otomany, na której spał.

— On spał, jesteś tego pewna?

— Tak jest.

— On nie umarł od razu pod uderzeniem?

— Nie wiem dokładnie, kiedy umarł. W dwie minuty potem, kiedy, zadawszy mu cios, uciekłeś, krzyząc przeraźliwie.

— A więc nie wiedział...

— Czego?

— Że to ja... trzymałem młotek.

— Mógł rzeczywiście nie wiedzieć, a jednak wiedział.

— Skąd?

— Wiedział, bo ja mu to powiedziałam — rzekła, wpiwszy swój wzrok w moje oczy z niezwykłą odwagą.

— I... on uwierzył? — szepnąłem.

— Przy mojej pomocy, poznał cię po krzyku. Gdyby się był nie dowiedział, że to ty, cała sprawa przestałaby mnie interesować — dokończyła, śmiejąc się pogardliwie.

Cztery kroki dzieliły mnie od Antinei. Skoczyłem, ale zanim zdołałem uderzyć, runąłem na ziemię.

Hiram skoczył mi na piersi.

Jednocześnie usłyszałem spokojny i rozkazujący głos Antinei.

— Zawołać ludzi! — rozkazała.

W sekundę później uwolniono mnie z uścisku lamparta. Otaczało mnie sześciu białych Tuaregów, usiłując mnie skrepować,

Jestem dość silny i bardzo nerwowy. Momentalnie stanąłem na nogach. Jeden z nieprzyjaciół leżał u mych stóp, powalony uderzeniem pięści w podbródek, podług najlepszych zasad sztuki bokserskiej. Inny charczał, przygnieciony mym kolanem. W tym momencie ujrzałem Antineę po raz ostatni. Stała oparta obydwoma rękami o hebanowe berło i przyglądała się walce z ironiczniezaciekawionym uśmiechem.

Nagle krzyknąłem i puściłem swą ofiarę. Coś trzasnęło w moim lewym ramieniu: to jeden z Tuaregów chwycił mnie z tyłu i wywichnął mi je.

Gdy dwa białe duchy niosły mnie silnie
skrępowanego przez korytarze, zemdlałem zupełnie.

¹ Gabriel d'Annunzio: *Dziewice skal.* (Przyp. aut.)

² *pschent* – grecka nazwa podwójnej korony faraonów składającej się z czerwonej korony Dolnego Egiptu obejmującej białą koronę Górnego Egiptu.

³ *schenti* – spódnica noszona przez starożytnych Egipcjan wyższych warstw.

⁴ *ureus* — kobra egipska.

XVIII

ŚWIĘTOJAŃSKIE ROBACZKI

Przez otwarty szeroko otwór okienny wpadały do pokoju mego potoki bladego światła księżycowego.

Obok otomany, na której leżałem, stał wiotki biały cień.

— To ty, Tanit-Zergo! — szepnąłem.

Położyła palec na ustach.

— Cicho! — to ja.

Chciałem się unieść na posłaniu, ale poczułem w ramieniu straszliwy ból. Wszystko, co zaszło po południu, stanęło mi w pamięci.

— Ach, mała, mała! Gdybyś wiedziała!

— Wiem — rzekła.

Byłem słaby jak dziecko. Po nerwowym wysiłku dnia przyszła wraz z nocą zupełna depresja. Łzy mnie dusiły.

— Gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała!... Weź mnie stąd, mała. Weź mnie!

— Mów ciszej! — rzekła. — Za drzwiami stoi na straży Tuareg.

— Weź mnie, ratuj mnie! — powtarzałem.

— Po to przyszłam — rzekła z prostotą.

Spojrzałem na nią. Nie miała swojej pięknej tuniki z czerwonego jedwabiu. Ubrana była w zwyczajny biały *haik*.

— I ja chcę stąd odejść — mówiła matowym głosem. — Od dawna już chcę. Pragnę zobaczyć Gao, miasto nad rzeką, błękitne drzewa gumowe i zieloną wodę.

— Chcę stąd odejść od chwili jakem przybyła, ale jestem za mała, żeby zapuścić się sama na olbrzymią Saharę. Nie śmiałam o tym mówić żadnemu z twoich poprzedników. Wszyscy oni myśleli tylko o **niej**. Ale ty chciałeś ją zabić.

Jęknąłem głucho.

— Cierpisz — rzekła — złamali ci rękę.

— W każdym razie zwichnęli.

— Pokaż.

Z niesłychaną łagodnością przesunęła po moim ramieniu swoje małe rączki.

— Pod moimi drzwiami stoi na straży Targijczyk. Którędy więc weszłaś? — zapytałem.

— Tędy — odparła.

I wskazała okno. Czarna, prostopadła smuga przecinała środek błękitnego kwadratowego otworu,

Tanit-Zerga zbliżyła się do okna. Ujrzałem ją na parapecie okna. W ręce miała nóż, którym odcięła sznur. Upadł z hałasem na podłogę.

Wróciła do mnie.

— Uciekać, uciekać — powiedziałem — ale którądy?

— Tędy — powtórzyła i znowu wskazała na okno.

Nachyliłem się. Oko moje badało ciemną głęb jamy, szukając niewidzialnych skał, na których roztrzaskał się mały Kaine.

— Tędy! — rzekłem, drżąc cały. — Ależ jesteśmy na wysokości dwustu stóp ponad ziemią.

— Sznur ma dwieście pięćdziesiąt — odparła. — Jest to dobry i mocny sznur, ukradłam go przed chwilą w oazie. Służył do obalania drzew. Jest zupełnie nowy,

— Schodzić tędy, Tanit-Zergo? A moje ramię?

— Ja cię sprowadzę — rzekła z mocą. — Dotknij moich ramion i przekonaj się, jak są silne. Zapewne, że nie uczynię tego przy pomocy rąk. Spójrz: po obydwu stronach okna są marmurowe kolumny. Dokoła jednej z nich okręczę raz sznur i będę cię spuszczała z zupełną łatwością. — A potem dodała: — Porobiłam co dziesięć stóp węzły, żebym się mogła co pewien czas zatrzymać i odpocząć.

— A ty? — zapytałem.

— Gdy już będziesz na dole, przywiążę sznur do słupa i zsunę się sama. Węzły pomogą mi wypocząć, gdy sznur nadwyreży mi zbytńio ręce. Ale nie obawiaj się; jestem bardzo zręczna. Będąc dzieckiem, wdrapywałam się w Gao na równie wysokie drzewa gumowe, aby wybrać z gniazda małe tukany. Łatwiej jest zejść.

— Ale gdy będziemy na dole, jak się wydostaniemy z tych gór? Znasz drogę?

— Nikt jej nie zna oprócz Segheir-ben-Szeika i może Antinei — rzekła.

— Więc?

— Więc... są jeszcze wielbłądy Segheir-ben-Szeika, te, których używa do swoich wycieczek. Sprowadziłam tu na dół jednego, najsilniejszego, z dużym zapasem paszy, aby nie krzyczał i był najedzony, gdy ruszymy w drogę.

— Ale... — rzekłem jeszcze.

Tupnęła noga.

— Co za *ale*... Zostań, jeśli chcesz, jeśli się boisz. Ja jadę! Chcę zobaczyć Gao, drzewa gumowe, zieloną wodę...

Czułem, że się czerwienię.

— Jadę, Tanit-Zergo! Wolę umrzeć z pragnienia pośrodku Sahary, aniżeli zostać tutaj. Chodźmy...

— Cicho — rzekła — jeszcze nie!

Pokazała mi zawrotną przepaść, oświetloną silnym światłem księżycy.

— Trzeba zaczekać. Teraz mogą nas zobaczyć. Za godzinę księżyc skryje się za górę. Wówczas.

Siadła, umilkła i zakryła zupełnie ciemną twarz haikiem.

Modliła się? Może...

Nagle przestałem ją widzieć. Ciemność spłynęła przez okno. Księżyc skrył się za górę.

Poczułem na swym ramieniu maleńką dłoń Tanit-Zergi. Zaciągnęła mnie do okna. Starąłem się pokonać drżenie.

Pod nami otwierała się czarna otchłań,

— Gotowe — rzekła cichym, ale stanowczym głosem Tanit-Zerga. — Okręciłam sznur dokoła kolumny. Oto ruchomy węzeł. Załóż go pod ramiona. I weź tę poduszkę! Przyłóż ją do chorego ramienia. Tę skórzaną poduszkę. Jest dobrze wypchana. Zwróć się twarzą ku ścianie. Ochroni cię przed uderzeniem i podrapaniem.

Odzyskałem już spokój i panowanie nad sobą. Siadłem na oknie, nogi przerzuciłem na zewnątrz. Powiew świeżego powietrza orzeźwił mnie.

Tanit-Zerga włożyła mi rękę do kieszeni.

— Masz tu pudełko. Muszę wiedzieć, kiedy

będiesz na dole, żebym się sama spuściła, Otworzysz to pudełko. Są w nim świętojańskie robaczki, dojrzą je i przyjdę.

Uścisnęła mi mocno dłoń.

— Idź już — szepnęła.

Począłem się spuszczać.

Z tej jazdy w dół, z wysokości dwustu stóp, pamiętam tylko jedno: byłem wściekły, gdy sznur zatrzymywał się i gdy wisiałem z opuszczonymi nogami pod gładką jak stół ścianą. — *Na co czeka ta głupia mała* — myślałem — *wiszę tak już kwadrans... Ach, nareszcie! I znowu przystanek!* — Dwa czy trzy razy zdawało mi się, że dotykam ziemi. Był to tylko wysunięty garb skały. Trzeba się było szybko odepchnąć nogą... Aż nagle usiadłem na ziemi i wyciągnąłem ramiona. Krzaki... jakiś kolec ukłuł mnie w palec, byłem więc u celu,

Ale znów ogarnął mnie niepokój.

Odrzuciłem poduszkę i zdjąłem z siebie ruchomy węzeł. Zdrową ręką naciągnąłem sznur, odsuwając go na pięć lub sześć stóp od góry. Równocześnie wyjąłem z kieszeni tekturowe pudełeczko i otworzyłem.

Trzy robaczki wyfrunęły kolejno w noc czarną jak atrament. Widziałem jak leciały w górę wzdłuż ściany. Bładoróżowe ich światło płynęło lekko. Zawirowały jeszcze i zniknęły...

— Zmęczyłeś się, sidi poruczniku. Daj, ja potrzymam sznur.

Obok mnie stał Segheir-ben-Szeik.

Patrzyłem na jego czarną sylwetkę. Drgnąłem, ale nie puściłem sznura, czując, że drga już pod ciężarem ciała.

— Daj — powtórzył rozkazująco i wziął mi go z rąk.

Nie wiem, co się stało ze mną w tej chwili. Stałem obok wielkiego, ciemnego widma. Cóż mogłem uczynić z moją wywichniętą ręką wobec tego człowieka, którego zręczność dobrze znałem. A zresztą po co? Widziałem bowiem, jak zgięty w pałąk, ciągnął sznur obiema rękami i nogami, a nawet całym ciałem, znacznie lepiej ode mnie.

Zaszeleściło coś nad naszymi głowami. Ukazał się ciemny, drobny kształt, Segheir-ben-Szeik wziął go w ramiona i postawił na ziemi, podczas gdy wolny sznur kołysał się, uderzając o ścianę.

Tanit-Zerga jęknęła, poznawszy Targijczyka,
Z całą brutalnością zamknął jej dłonią usta.

— Czy będziesz cicho, ty mała szelmo, co kradniesz wielbłądy!

Ujął ją za ramię i zwrócił się do mnie.

— Teraz w drogę — rzekł tonem rozkazującym.

Uśluchałem. Słyszałem jak Tanit-Zegra szczęka zębami z trwogi.

Doszliśmy do małej grotty.

— Wejść — rzekł Targijczyk.

Zapalił pochodnię. W jej czerwonym świetle dojrzałem wspaniałego wielbłąda, żującego spokojnie paszę.

Mała nie jest głupia — rzekł Segheir-ben-Szeik, wskazując na wielbłąda. — Umiała wybrać najłagodniejszego i najmocniejszego. Ale jest roztargniona.

Zbliżył pochodnię do wielbłąda.

— Jest roztargniona — ciągnął dalej. — Nie umiała go osiodłać. Ani wody, ani paszy. Za trzy dni leżelibyście martwi na drodze... i to na jakiej drodze!...

Tanit-Zegra nie szczękała już zębami. Patrzyła na Tuarega z przerażeniem, ale z nadzieją.

— Sidi poruczniku — rzekł Segheir-ben-Szeik — zbliż się tu do wielbłąda, żebym ci wytłumaczył.

Gdy doń podszedłem, rzekł te słowa:

— Z każdego boku jest tu przymocowany worek z wodą. Używaj jej oszczędnie, bo macie do przebycia krainę straszliwą. Możliwe, że nie spotkacie źródła na przestrzeni pięciuset kilometrów. Tutaj znowu, w tych sakwach, są pudełka z konserwami. Nie ma ich wiele, bo woda jest cenniejsza. Jest też i karabin. Staraj się używać go tylko na antylopy. A teraz jest jeszcze to.

Rozłożył arkusz papieru. Pochylił nad nim swoją zasłoniętą twarz. Oczy jego śmiały się. Spojrzał na mnie.

— W którą stronę chcesz się skierować, po wydostaniu się stąd? — zapytał.

— W kierunku Idelès, żeby odnaleźć drogę, na której spotkałeś mnie i kapitana. — rzekłem.

Segheir-ben-Szeik kiwnął głową.

— Domyślałem się tego — szepnął.

— Jutro przed zachodem słońca — dorzucił — złapią was oboje i zamordują — rzekł chłodno.

— W kierunku północnym — ciągnął dalej — jest Hoggar, który cały podlega Antinei. Musicie skierować się ku południowi.

— Zatem ku południowi — powtórzyłem,

— Którędy?

— Przez Selet i Timissao.

Targijczyk potrząsnął znów głową.

— I w tamtych stronach będą was szukać, bo to dobra droga, ze studniami. Wiadomo też, że ją znasz. Tuaregowie dogonią cię przy studni.

— Więc?

— Więc — rzekł Segheir-ben-Szeik — na trakt z

Timmissao do Tombuktu, możecie się zapuścić dopiero w odległości siedmuset kilometrów stąd, w okolicach Telemesi. Tam kończą się obszary Tuaregów z Hoggaru, a zaczynają się tereny Tuaregów Auelimidenu.

— Ależ to oni wymordowali całe nasze plemię i oddali mnie za niewolnicę, ja nie chcę jechać tamtędy — zawołała Tanit-Zegra.

— Milcz, mała szelmo — rzekł surowo Segheir-ben-Szeik,

— Musi być tak, jak powiedziałem — zwrócił się znowu do mnie Segheir-ben-Szeik. — Mała ma rację. Auelimidowie są okrutni. Ale boją się Francuzów. Wielu z nich żyje w przyjaźni z posterunkami nad północnym Nigrem. Po drugie, są na wojennej stopie z Tuaregami z Hoggaru, którzy nie będą was szukać u nich. Musi tak być, jak powiedziałem: musicie się zapuścić na drogę do Tombuktu, do miejsca, w którym prowadzi ona do Auelimidenu. Kraj ich jest zadrzewiony i bogaty w źródła. Jeśli dojdziecie do Telemesi, skończycie podróż pod kopułą kwitnących mimoz. Zresztą stąd do Telemesi droga jest krótsza niż przez Timissao. Jest zupełnie prosta.

— To prawda, jest prosta — rzekłem — ale wiesz, że idąc nią, trzeba przejść Tanezruft.

Segheir-ben-Szeik zniecierpliwiał się.

— Segheir-ben-Szeik wie — rzekł — co to jest Tanezruft. On, który przeszedł całą Saharę, wie, że z drzeniem szedłby przez Tanezruft i południowe Tasili. Wie on, że wielbłądy, które tam zabłądzą, giną lub dziczeją, ponieważ nikt nie chce narażać swego życia i szukać ich... Właśnie trwoga, otaczająca tę krainę, może was wybawić. A zresztą, trzeba wybierać: albo narazić się na śmierć z pragnienia na drodze do Tanezruftu, albo być zabitym na

jakiejś innej drodze. — I dodał: — Możecie również zostać tutaj.

— Moja decyzja już zapadła, Segheir-ben-Szeiku — rzekłem.

— Doskonale — odparł, rozwijając ponownie zwój papieru. — Ta oto droga ma swój początek u wylotu drugiego pierścienia ziemi, do którego was zaprowadzę. Prowadzi ona do Iferuane. Zaznaczyłem studnie, ale bądź ostrożny, bo wiele z nich jest bez wody. Bacz, abyś nie zszedł z drogi. Jeśli się oddalisz od niej, zginiesz. A teraz wsiadaj z małą na wielbłąda. Dwoje ludzi prześlizgnie się tutaj łatwiej niż czterech.

Szliśmy długo w milczeniu: Segheir-ben-Szeik szedł na przodzie, za nim stąpał powoli jego wielbłąd. Mijaliśmy kolejno ciemny korytarz, głęboki wąwóz, drugi korytarz... Każde wejście osłonięte było zawilą gęstwiną skał i krzaków. Mijaliśmy długie korytarze. Nagle owiał nasze skronie gorący podmuch. Ciemnoróżowe światło spływało do korytarza, który się skończył. Byliśmy na pustyni.

Segheir-ben-Szeik zatrzymał się.

— Zsiądźcie — rzekł.

W skale szemrał strumyk, Targijczyk zbliżył się doń i napełnił wodą miedzianą czarękę.

— Napijcie się — rzekł, podając ją nam kolejno.

Posłuchaliśmy go.

— Pijcie jeszcze — rzekł rozkazująco — oszczędzicie w ten sposób zapasu. Starajcie się teraz nie mieć pragnienia przed zachodem słońca.

Zbadał gurty wielbłąda.

— Wszystko w porządku. Za dwie godziny zacznie świtać, powinniście być już wtedy daleko.

W tej ostatniej chwili ogarnęło mnie wzruszenie. Zbliżyłem się do Targijczyka, ująłem go za rękę.

— Segheir-ben-Szeiku — rzekłem cicho — dlaczego czynisz to wszystko?

Cofnął się. Ciemne jego oczy błysnęły,

— Dlaczego? — rzekł.

Tak jest — dlaczego?

— Prorok — odparł poważnie — pozwala sprawiedliwemu, aby raz w życiu kierował się miłosierdziem, a nie poczuciem obowiązku. Segheir-ben-Szeik korzysta z tego, aby okazać wdzięczność swą temu, kto mu uratował życie.

— A nie obawiasz się, że powróciwszy do swoich, zdradzę im tajemnicę Antinei?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie — odparł tonem pełnym ironii. — Nie leży w twoim interesie, sidi poruczniku, aby rodacy twoi dowiedzieli się, w jaki sposób zginął kapitan Morhange.

Zadrżałem, usłyszawszy tę logiczną odpowiedź.

— Źle może czynię — dorzucił Targijczyk — że nie zabijam małej... Ale ona cię kocha. I będzie milczała. Ruszajcie, świt nadchodzi.

Chciałem uścisnąć dłonie naszego dziwnego wybawcy, ale cofnął się.

— Nie dziękuj, to co robię, robię dla siebie, aby mieć zasługę przed Bogiem. Wiedz, że nie uczynię tego nigdy więcej dla nikogo, ani dla ciebie.

Uczyniłem gest niedowierzania.

— Nie protestuj — rzekł szyderczym tonem, który brzmi mi dotąd w uszach. — To co czynię, pożyteczne jest dla mnie, nie dla ciebie.

Spojrzałem nań, nie rozumiejąc.

— Nie dla ciebie, sidi poruczniku, nie dla ciebie — rzekł poważnym głosem — wrócisz bowiem, a wówczas nie licz na współczucie Segheir-ben-Szeika.

— Wróć? — szepnąłem cały drżący.

— Wrócisz, wrócisz — odparł Targijczyk.

Stał niby ciemny posąg na zrębie szarej skały.

— Wrócisz — powtórzył z mocą. — Uciekasz teraz, ale mylisz się, jeśli przypuszczasz, że będziesz patrzył na swój dawny świat takimi oczami jak dotychczas. Jedna i ta sama myśl będzie szła za tobą wszędzie... Kiedyś... za rok, za pięć, za dziesięć może wrócisz przez ten sam korytarz, przez który teraz wyszedłeś.

— Zamilcz! Segheir-ben-Szeiku — krzyknęła drżącym głosem Tanit-Zegra.

— Milcz, ty mała gadzino — odparł Segheir-ben-Szeik.

— Mała się lęka, bo wie, że mówię prawdę, bo zna historię porucznika Ghibertiego.

— Porucznika Ghibertiego? — zapytałem i zimny pot wystąpił mi na skronie.

— Był to włoski oficer, którego przed ośmiu laty spotkałem pomiędzy Rhatem i Rhadamesem. Miłość do Antinei nie zabiła w nim od razu przywiązania do życia. Udało mu się uciec, sam nie wiem jak, bez mojej pomocy wrócił do ojczyzny. I posłuchaj: w dwa lata później, wyruszając na poszukiwania, znalazłem u stóp północnego szczytu jakąś wynędzniałą, umierającą prawie z głodu i znużenia istotę, daremnie szukającą wejścia. Był to powracający porucznik Ghiberti. Zajmuje on w marmurowej sali niszę numer 39.

Targijczyk roześmiał się.

— Oto historia porucznika Ghibertiego. Ale dość już

tego. Dosiadaj wielbłąda.

Usłuchałem w milczeniu. Tanit-Zegra, usiadłszy na grzbiecie wielbłąda, otoczyła mnie ramionami.

Segheir-ben-Szeik trzymał ciągle uzdę zwierzęcia.

— Jeszcze słowo — rzekł, wskazując mi z boku, na południu, czarną plamę na fioletowym horyzoncie nieba. — Widzisz tam ten *gour*¹; to kierunek waszej drogi. Oddalony jest o trzydzieści kilometrów. Powinniście być na szczycie, gdy słońce wzejdzie. Radź się mapy. Jeśli nie zboczysz z wytkniętej drogi, będziesz w Telemsi za osiem dni.

Długa szyja wielbłąda wyciągnęła się w kierunku wiatru, wiejącego z południa.

Segheir-ben-Szeik puścił uzdę.

— Jedźcie.

— Dzięki — rzekłem, odwróciwszy się na siodle — dzięki Segheir-ben-Szeiku i żegnaj!

Usłyszałem już z daleka głos jego;

— Do widzenia, poruczniku de Saint-Avit.

¹ *gour* (fr.) — tu: kopiec.

XIX

TANEZRUF

Przez pierwszą godzinę unosił nas wielbłąd Segheirben-Szeika z nieopisaną szybkością. Przebyliśmy co najmniej pięć wiorst. Z oczyma wpatrzonymi w dal, prowadziłem zwierzę ku wskazanej mi przez Targijczyka górze, której grzbiet rósł na błędnym niebie. Wiatr gwizdał nam koło uszu, tak szybko pędziliśmy. Z obu stron migwały kępy drzew *retemu*¹, ponure i wychudłe szkielety.

— Zatrzymaj wielbłąda — usłyszałem szept Tanit-Zergi.

Nie zrozumiałem na razie.

Ścisnęła gwałtownie moje prawe ramię.

Posłuchałem. Wielbłąd niechętnie zwolnił biegu

— Słuchaj — rzekła dziewczyna.

Z początku nie słyszałem nic. Po chwili doszedł mnie lekki szmer, suchy szelest.

— Zatrzymaj wielbłąda — rozkazała Tanit-Zerga.
— Nie trzeba go zmuszać do klękania.

W tej samej chwili mała, szara kupka wskoczyła na wielbłąda.

— Jedziemy dalej — rzekła Tanit-Zerga. — Galè już wskoczyła.

Równocześnie poczułem pod dłonią futerko o szorstkich włosach. Łasiczka poszła za naszym śladem i dogoniła nas. Słyszałem teraz szybki oddech zadyszanego zwierzęcia, uspokajającego się powoli.

— Jestem szczęśliwa — szepnęła Tanit-Zerga.

Segheir-ben-Szeik nie pomylił się. Ominęliśmy pagórek, gdy wschodziło słońce. Obejrzałem się za siebie: Atakor był mi już tylko upiornym chaosem wśród nocnych mgieł, które przerastał świt. Trudno już było rozróżnić wśród bezmiernych szczytów ów, na którym Antinea snuła pasmo swego namiętego życia.

Znasz Tanezruft, prawdziwą wyżynę, kraj odludny niezamieszkały, krainę pragnienia i głodu. Właśnie zapuściliśmy się w tę część pustyni, którą Duveyrier nazywa południowym Tasili, a która widnieje na mapie ministerstwa robót publicznych z następującą uwagą: *Skalista wyżyna, bez wody, bez roślinności, niegościnna dla ludzi i zwierząt*

Nie ma ziemi bardziej ohydnej od tej skalistej pustyni, prócz chyba niektórych części Kalahari. Ach, Segheir-ben-Szeik nie przesadził, twierdząc, że nikt nie odważy się nas ścigać.

Olbrzymie zwały ciemności nie rozpraszały się jeszcze. W głowie mojej klóciły się z sobą różne bezładne wspomnienia. Nieustannie przypominało się wyraźnie to zdanie:

Zdawało się Dickowi, że od początku nie czynił nic innego, jak tylko przecinał w ciemnościach powietrze na grzbiecie swojego wielbłąda. Zaśmiałem się w duchu: Od kilku godzin — pomyślałem — odtwarzam sytuacje

literackie. Niedawno, na dwieście stóp nad ziemią, byłem Fabrycym z *Pustelni parmeńskiej* na flanku strażnicy włoskiej. A teraz jestem Dickiem z *Gasnącego światła*, pędzącym na grzbiecie swego wielbłąda przez pustynię na spotkanie swoich towarzyszy broni. Zaśmiałem się znów, potem zadrżałem, pomyślawszy o poprzedniej nocy, o Oreście z *Andromachy*, który zgadzał się zabić Pyrrhusa... I to była także sytuacja zupełnie literacka...

Segheir-ben-Szeik wyliczył, że w osiem dni dotrzemy do zadrzewionych okolic Aulimidenów, zwiastujących trawiaste stopy Sudanu. Znał on doskonale wartość swego wielbłąda. Właśnie Tanit-Zerga nadała mu przydomek El-Mellen, biały, ponieważ ten wspaniały wielbłąd miał sierść niepokalanie białą. Raz nie jadł przez dwa dni, urwawszy tu i tam jakąś gałązkę z drzewa gumowego, którego szkaradne, białe kolce, długie na dziesięć centymetrów, napęśniały mnie trwogą o przełyk naszego czworonoga. Naprawione przez Segheir-ben-Szeika studnie znajdowały się istotnie we wskazanych przez niego miejscach, ale nie było w nich niczego prócz żółtego, rozpalonego błota. Wystarczyło ono wielbłądowi, tak, że po pięciu dniach, dzięki cudom wstrzemięźliwości, wyczerpaliśmy zaledwie zawartość jednej sakwy z wodą. Mogliśmy więc sądzić, że jesteśmy uratowani.

Koło jednej takiej błotnistej kałuży udało mi się zabić wystrzałem z karabinu gazelę o małych, prostych różkach. Tanit-Zerga ściągnęła z niej skórę i uraczyliśmy się pięknym, dobrze ugotowanym udźcem. W owym czasie, mała Galè, która w czasie naszych dziennych postojów, wśród największego upału, urzędowała polowania w dziurawych skałach, znalazła krokodyla piaskowego długiego na trzy łokcie, którego natychmiast zagryzła.

Najadła się tak dalece, że nie mogła się ruszać. Musieliśmy jej dać pintę wody, aby jej umożliwić strawienie. Daliśmy jej chętnie, ponieważ byliśmy szczęśliwi. Tanit-Zerga nie mówiła mi o tym, ale widziałem, jaką radością napełnia ją świadomość, że nie myślę już o kobiecie z pschentem ze złota i szmaragdów. I rzeczywiście, nie myślałem o niej. Myślałem tylko o zabójczym upale, którego należało unikać, o worku skórzanym, który trzeba było ukryć w zagłębieniu skały, aby woda była świeża, o niezmiernym szczęściu, jakie się odczuwa, przykładając do ust skórzany pucharek napełniony tą zbawienną wodą...

Była godzina piąta po południu. Straszliwy upał słabł. Wyszliśmy z zakrętu skalnego, gdzieśmy wypoczywali. Siedząc na wielkim kamieniu, przyglądaliśmy się czerwieniejącemu się zachodowi.

Rozwinąłem arkusz, na którym Segheir-ben-Szeik oznaczył nam etap drogi, aż do Sudanu. Stwierdziłem powtórnie, że nakreślony przez niego kierunek był dokładny i że przestrzegałem go sumiennie.

— Pojutrze — rzekłem — wyruszymy traktem, który nas nazajutrz rano doprowadzi do Telemsi. Nie potrzebujemy jużzczędzić wody.

Oczy Tanit-Zergi błysnęły w wychudłej twarzy.

— A Gao? — spytała.

— Pozostanie namzaledwie tydzień drogi do Nigru, drogi jak mówił Segheir-ben-Szeik łatwej do przebycia, która doprowadzi nas do oazy mimoz.

— Znam mimozy — rzekła. — Są to małe, żółte kuleczki, które roztapiają się w dłoni. Ale wolę kwiaty drzewa kaparowego. Pójdiesz ze mną do Gao. Ojciec mój, Sonni-Azkia, został, jak ci mówiłam, zabity przez Auelimidenów. Ale nasi ludzie musieli już odbudować

wieś. Mieszkają już tam zapewne. Zobaczysz, jak cię przyjmą.

— Pojadę, Tanit-Zergo, pojadę. Przrzekam ci. Ale i ty musisz mi coś przrzec.

— Co takiego? Ach, domyślam się! Masz mnie widocznie za głuptasa, skoro przypuszczasz, że byłabym zdolna mówić o tym, co mogłoby cię zmartwić.

Mówiąc te słowa, patrzyła na mnie. Zmęczenie wyszlachetniło jej ciemną twarzyczkę, o błyszczących, olbrzymich oczach. Po raz pierwszy zrozumiałem prawdziwą piękność oczu Tanit-Zergi.

Padło pomiędzy nas głębokie milczenie. Ona pierwsza przerwała.

— Noc zapada. Zjedzmy coś i ruszajmy czym prędzej dalej.

Wstała i podeszła do skały.

W tej samej chwili usłyszałem jej załęczniony głos, który przejął mnie lękiem.

— Chodź! O, chodź zobaczyć,

Momentalnie znalazłem się przy niej.

— Wielbłąd — szepnęła — wielbłąd!

Spojrzałem i przeszedł mnie śmiertelny dreszcz.

Wyciągnięty z drugiej strony skały, wielbłąd nasz konał w straszliwych konwulsjach.

Co zabiło El-Mellena, nie wiedziałem i nie dowiedziałem się nigdy. Wszystkie wielbłądy *mehari* są takie. Są to zwierzęta bardzo krzepkie, a zarazem bardzo delikatne. Będą iść przez sześć miesięcy wzdłuż najstraszniejszych pustkowi, bez pożywienia i wody i trzymać się będą dzielnie. Aż pewnego dnia, bez przyczyny, położą się na bok i opuszczą was z zadziwiającą prostotą.

Widząc, że nic się nie da zrobić. Tanit-Zerga i ja przypatrywaliśmy się w milczeniu coraz słabszym drgawkom zwierzęcia. Gdy wydało ostatnie tchnienie, czuliśmy, że razem z jego życiem ulatnia się i nasze.

Tanit-Zerga przemówiła pierwsza.

— Jak daleko jesteśmy od drogi do Sudanu? — zapytała.

— Jesteśmy o dwieście kilometrów od Telemsi — odparłem. — Zyskamy trzydzieści kilometrów, jeśli skierujemy się na Iferuanu, ale w tym kierunku nie mamy oznaczonych studni.

— Musimy więc iść na Telemsi — rzekła. — Dwieście kilometrów, to siedem dni drogi, prawda?

— Najmniej siedem, Tanit-Zergo.

— Gdzie jest pierwsza studnia?

— O sześćdziesiąt kilometrów stąd.

Twarz dziewczyny zachmurzyła się nieco. Ale wypogodziła się szybko.

— Musimy wyruszyć natychmiast.

— Iść pieszo, Tanit-Zergo, pieszo?

Tupnęła nogą. Podziwiałem jej moc wewnętrzną.

— Trzeba iść. Najemy się i napijemy, nakarmimy również Galè i pójdziemy. Ponieważ nie możemy zabrać ze sobą wszystkich pudełek z konserwami, a sakwa jest tak ciężka, że nie uszlibyśmy z nią nawet dziesięciu kilometrów, weźmy puszkę od konserw i napełnijmy ją wodą. Wystarczy to nam na jeden postój nocny po trzydziestu kilometrach marszu bez wody. Jutro wieczorem ruszymy na następne trzydzieści kilometrów i dojdziemy do studni, oznaczonej przez Segheir-ben-Szeika.

— Ach! — szepnąłem zmartwiony — gdyby ręka moja była zdrowa, niósłbym chętnie tę sakwę.

— Jak jest, tak jest — rzekła Tanit-Zerga. — Wezmiesz karabin i dwie puszkę z konserwami. Ja wezmę dwie puszkę z konserwami i puszkę z wodą. Teraz chodźmy. Musimy iść jeszcze godzinę, jeśli chcesz, abyśmy odbyli drogę trzydziestu kilometrów. Wiesz, że gdy słońce wzejdzie, skały są tak gorące, iż nie można dalej iść.

Można sobie wyobrazić w jak ponurym milczeniu upłynęła owa godzina, przed którą byliśmy tak pełni nadziei. Myślę, że gdyby nie Tanit-Zerga, usiadłbym na skale i czekał. Tylko Galè była szczęśliwa.

Nie wolno jej pozwolić jeść za dużo — rzekła Tanit-Zerga. — Nie zdoła potem iść za nami. Jutro musi rozpocząć polowanie. Jeśli schwyta krokodyla, będzie on dla nas.

Podróżowałeś po pustyni. Wiesz, że pierwsze godziny nocy są okropne. Gdy ukaże się ogromny, żółty księżyc, wydaje się, że wznosi się ostry kurz i kłębi się w duszących tumanach. Mimowolnie porusza się szczękami, jakby chcąc pogryźć ów kurz wdzierający się jak ogień do gardła. Potem, zapewne z przyzwyczajenia, ogarnia cię potrzeba wypoczynku, półsnu. Idzie się bezmyślnie. Zapomina się, że się idzie. Trzeba się potknąć, aby to sobie przypomnieć. To prawda, że człek potyka się często. Ale można to znieść. *Noc się skończy* — myśli się — *a z nią i droga. Mimo wszystko, jestem teraz mniej zmęczony niż w chwili ruszenia w drogę.* Noc kończy się i to jest chwila najgorsza. Umiera się z pragnienia i drży się z zimna. Wraca naraz całe zmęczenie. Wstrętny wietrzyk, poprzedzający świt, nie przynosi żadnej ulgi. Przeciwnie. Na każdym kroku przychodzi do głowy myśl: następny będzie ostatni. Cierpiałem straszliwie, wszystkie uderzenia odbijały się boleśnie na moim biednym ramieniu. Były

chwile, gdy chciałem się już zatrzymać, usiąść. Spoglądałem wówczas na Tanit-Zergę. Szła przed siebie z przymkniętymi oczyma. Na twarzy jej obok cierpienia malowała się niezłomna wola. Zamykałem oczy i szedłem dalej.

Taka była pierwsza część drogi. Przed świtem zatrzymaliśmy się w zagłębieniu skalnym. Gorąco zmusiło nas wkrótce do szukania innej, bardziej głębokiej kryjówki. Tanit-Zerga nie jadła. Natomiast połknęła jednym tchem swoją porcję wody. Spała przez cały dzień. Galè kręciła się dokoła naszej skały, wydając żalosne jęki.

Nie mówię o drugiej części drogi. Okropność jej przechodzi wszelkie wyobrażenie. Cierpiałem, jak tylko człowiek na pustyni cierpieć może. Mimo wszystko jednak moje męskie siły poczęły brać górę nad nerwami mojej towarzyski. Biedne dziecko szło milcząc z *haikiem* nasuniętym na twarz, gryząc jego rąbek. Za nią Galè.

Studnia, do której zdążaliśmy, oznaczona była na mapie Segheira-ben-Szeika słowem *Tissarinin* oznaczającym *dwa samotne drzewa*.

Dzień już świtał, gdy ujrzałem owe dwa drzewa gumowe. Oddzielała nas od nich ledwie mila drogi, więc zawyłem z radości.

— Odwagi Tanit-Zerga, jest studnia!

Podniosła zasłonę i ujrzałem jej zatrwożoną twarz.

— To dobrze — szepnęła — to dobrze, bo inaczej...

Nie mogła dokończyć.

Ostatni kilometr przebyliśmy biegiem. Widać już było otwór studni.

Nareszcie dobiegliśmy.

Co za dziwne uczucie umierać z pragnienia! Z początku cierpienia są straszne, po pewnym czasie

łagodnieją. Człowieka ogarnia bezwład. Poczynają przypominać się śmieszne, drobne szczegóły z życia i krążą dokoła człowieka jak moskity.

Jałem sobie przypominać moje wypracowanie historyczne do egzaminu w Saint-Cyr, bitwę pod Marengo. Powtarzałem uporczywie: *Powiedziałem, że bateria ukryta przez Marmonta w chwili szarży Kellermanna miała osiemnaście armat... Teraz sobie przypominam, że miała tylko dwanaście. Jestem pewny, że miała tylko dwanaście.*

Powtórzyłem jeszcze:

— Dwanaście armat.

I wpadłem jakby w odrętwienie.

Wyrwało mnie z niego dotknięcie jakby rozpalonego żelaza do czoła. Otworzyłem oczy. Tanit-Zerga pochyłona była nade mną. To jej rączka tak mnie paliła.

— Wstań — rzekła. — Idziemy dalej.

— Iść teraz, Tanit-Zergo? Pustynia zionie żarem, słońce jest u zenitu, południe!

— Idziemy — powtórzyła.

Zorientowałem się, że bredzi.

Stała przede mną; haik spadł na ziemię. Usadowiła się w nim skulona Galè.

Stała z odkrytą głową, nie bacząc na słońce i powtarzała:

— Idziemy.

Wróciłem do przytomności,

— Nakryj głowę, Tanit-Zergo, nakryj głowę,

— Chodźmy, chodźmy! — powtarzała. — Gao jest już blisko. Czuję to. Chcę jeszcze raz zobaczyć Gao.

Zmusiłem ją, by usiadła obok mnie w cieniu skały. Czulem, że siły zupełnie ją opuściły. Obudziła się we mnie bezgraniczna litość.

— Gao jest blisko, tuż, prawda? — zapytała.

W błyszczących jej źrenicach malowała się błagalna prośba.

— Tak maleńka, talk najdroższa. Gao jest blisko. Ale, na miłość boską, połóż się. Słońce jest zabójcze.

— O! Gao, Gao! — powtarzała. — Wiedziałam, że je zobaczę.

Wyprostowała się. Małe jej rozpalone rączki ścisnęły moje dłonie.

— Posłuchaj. Muszę ci wytłumaczyć, skąd wiedziałam, że zobaczę jeszcze Gao.

— Uspokój się, dziecko, uspokój się!

— Nie, muszę ci powiedzieć! Było to bardzo, bardzo dawno temu, nad brzegiem rzeki, w Gao, gdzie ojciec mój był księciem. Pewnego dnia, dnia świątecznego, przyszedł z daleka stary czarownik ubrany w skórę i pióra, w masce i szpiczastej czapce, z kastanietami i dwoma okulnikami w worku. Na placu wsi tańczył *bussadille*, a wszyscy mieszkańcy otoczyli go kołem. Stałam w pierwszym rzędzie, i po naszyjniku z różowego turmalinu, jaki miałam na sobie, domyślił się, że jestem córką wodza plemienia Sonrhai. Począł mi mówić o przyszłości, o potędze moich przodków, o naszych wrogach, srogich Kuntasach o wszystkim. A wreszcie powiedział mi...

— Uspokój się dziecko...

— Powiedział: nie lękaj się. Przyjdą dla ciebie dni ciężkie, ale to nic, bo pewnego dnia ujrysz Gao na horyzoncie. Nie Gao podbite i ujarzmione, ale Gao pełne dawnej chwały, stolicę czarnych ludów, Gao odrodzone z meczetem o siedmiu wieżach i czternastu turkusowych kopułach, z domami, wodospadami, ogrodami pełnymi czerwonych i białych kwiatów. I wówczas przyjdzie dla

ciebie chwila wyzwolenia i królowania.

Tanit-Zerga stanęła wyprostowana. A bezlitosne słońce rozpalało wszystko do białości.

Nagle dziecko wyciągnęło ramiona i krzyknęło przeraźliwie:

— Gao! widzę Gao!

Patrzyłem.

— Gao — powtarzała. — Ach! wiedziałam! Oto widzę drzewa i fontanny, kopuły i wieże, palmy i wielkie, czerwone i białe kwiaty! Gao!

Na ognistym horyzoncie ukazało się rzeczywiście fantastyczne miasto, wznoszące swoje cudowne budowle z tęczy. Straszliwy miraż wyrastał przed naszymi rozgorączkowanymi oczami.

Jednocześnie padł z mych ust inny okrzyk, okrzyk bólu i przerażenia. Mała rączka Tanit-Zergi zmiękła w mojej dłoni. Pochwyciłem dziewczynę w ramiona i usłyszałem jej cichutki szept:

— I będzie to godzina wyzwolenia. Godzina wyzwolenia i królowania.

W kilka godzin później wykopałem przy pomocy noża, który służył jej do wypatroszenia gazeli, u stóp skały dół, w którym spoczęła na wieki Tanit-Zerga.

Kiedy skończyłem, chciałem zobaczyć jeszcze raz jej drogą twarzyczkę. Ogarnęło mnie na chwilę omdlenie... Zasunąłem szybko na brunatną twarz biały haik i złożyłem w jamie ciała zmarłej.

Zapomniałem o Galè.

Łasiczka nie spuszczała mnie z oka. Gdy usłyszała szmer piasku spadającego na ciało dziewczyny, zawyła przeraźliwie. Widziałem, jak z czerwonymi oczyma gotowała się do skoku.

— Galè! — błagałem.

Chciałem ją pogłaskać.

Ukąsiła mnie w rękę, potem skoczyła do grobu i poczęła odrzucać z wściekłością piasek.

Trzykrotnie usiłowałem ją usunąć. Czułem jednak, że mi się to nie uda. A gdyby nawet, to skoro się oddalę, Galè zostanie i odkopie ciało.

Karabin leżał u mych stóp. W niezmierzonej pustce rozległo się echo wystrzału. Galè spoczęła na wieczny sen na szyi swojej pani, gdzie tak często widziałem ją leżącą.

Gdy na powierzchni ziemi pozostał tylko kurhan z wydeptanego piasku, wstałem, chwiejąc się na nogach, i poszedłem przed siebie w głąb pustyni, w kierunku południowym.

¹ *retem* (ar.) – pustynny krzew o białych kwiatkach występujący w Arabii i Syrii.

XX

KOŁO SIĘ ZAMYKA

W głębi doliny Mia, w tym miejscu, gdzie słyhać było głos szakala owej nocy, gdy Saint-Avit powiedział mi, że zabił Morhange'a, dziś znowu odzywa się szakal; inny, a może ten sam.

Przeczułem momentalnie, że tej właśnie nocy coś się stać musi.

Siedzieliśmy jak zwykle na nędznej werandzie stołowego pokoju. Podłoga była w niej gipsowa, balustrada z kołów ułożonych na krzyż, cztery belki podtrzymywały dach z trawy. Mówiłem już, że z tej balustrady otwierał się widok na pustynię. Skończywszy mówić, Saint-Avit wstał i oparł się o balustradę. Stałem obok niego.

— A dalej co? — zapytałem.

Popatrzył na mnie.

— Co dalej? Wiesz chyba z gazet o tym, jak mnie znaleziono w kraju Aulimidenów konającego z głodu i pragnienia, jak mnie dowieziono do Tombuktu. Przez miesiąc leżałem w gorączce. Co mówiłem w malignie, tego nie wiem. Żaden z oficerów załogi Tombuktu nie powtórzył

mi tego. Ale po chłodnej rezerwie, z jaką przyjęli później opowiadanie o moich przygodach, które podałem im w tej formie, w jakiej figurują one w oficjalnym sprawozdaniu z wyprawy Morhange – Saint-Avit, domyśliłem się, że opowieść moja musiała się w pewnych szczegółach znacznie różnić od słów, jakie mi się wyrwały w gorączce.

Nie nalegano na mnie. Przyjęto do wiadomości, że kapitan Morhange umarł od porażenia słonecznego i został przeze mnie pochowany na skarpie Tarhitu, o trzy dni drogi od Timissao. Zdawano sobie doskonale sprawę z luk, jakie były w moim opowiadaniu. Domyślano się, że kryje się poza nim jakiś tajemniczy dramat. Dowodów jednak nie było żadnych. Nie mogąc ich zebrać, wolano zatuszować całą sprawę aniżeli wywoływać niepotrzebny skandal. O tym wszystkim zresztą wiesz równie dobrze, jak ja.

— A... ona? — zapytałem nieśmiało.

Uśmiechnął się z triumfem. Triumfował, że doprowadził mnie do tego, iż nie myślałem ani o Morhange’u, ani o zbrodni, że wciągnął mnie w krąg swego szaleństwa.

— Ona!... Od sześciu lat nie wiem o niej nic. Lecz widzę ją, mówię do niej. Marzę o chwili, kiedy znów stanę przed jej obliczem. Rzucę się do jej stóp i powiem: Wybacz, że wyłamałem się z pod twojej mocy. Nie rozumiałem wówczas. Teraz pojąłem wszystko i widzisz... wróciłem... jak porucznik Ghiberti... wróciłem.

Zapomnisz dla niej o wszystkim, o rodzinie, honorze, ojczyźnie — mówił stary Le Mesge. Stary Le Mesge jest głupi, ale mówił jak człowiek doświadczony. Wiedział, jak ugięła się przed Antineą wola pięćdziesięciu upiorów z marmurowej sali.

A teraz zapytasz mnie, kim jest właściwie ta

kobieta? Czy ja wiem! I co mnie to właściwie obchodzi? Co mnie obchodzi jej przeszłość i tajemnica jej pochodzenia: czy ona jest potomkinią bogów morza, czy bękartem pijaka i dziwki z dzielnicy Marbeuf.

Szczegóły te mogły interesować w okresie, kiedy byłem zazdrosny o Morhange'a, śmieszna miłość własną człowieka cywilizowanego, co sprawy te miesza do namiętności. Ale ja trzymałem już w ramionach ciało Antinei. Nie chcę wiedzieć o niczym. Może dlatego, że miałem już wizję tej przyszłości, tego jedyne go przeznaczenia, w jakim pragnę się zatracić: niezgłębionej, dziewiczej natury i tajemniczej miłości.

Niezgłębiona dziewicza natura. – Muszę ci to wytłumaczyć. Raz, w ludnym mieście, pewnego zimowego dnia zamglonego sadzą lecącą z czarnych kominów fabryk i tych ohydnych karawanserajów, jakimi są domy na przedmieściu, szedłem za pogrzebem.

Brnęliśmy za konduktem pogrzebowym po błocie. Kościół był wilgotny i ubogi. Z wyjątkiem dwóch czy trzech osób z rodziny, pogrążonych w smętnym bólu, wszyscy obecni myśleli tylko o tym, jakby znaleźć pretekst do ulotnienia się. Do cmentarza dotarli tylko ci, co żadnego pretekstu wymyślić nie potrafili. Widzę jeszcze te szare mury ze stoczonymi przez czerw cisami, owymi cisami, drzewami słońca i cieni, tak pięknymi w krajobrazie południa na małym lazurowym pagórku. Widzę ohydnych grabarzy w zatłuszczonych surdutach i błyszczących cylindrach. Widzę... Nie, jakie to ohydne!

Pod murem, gdzieś w odległym kącie, w szkaradnej żółtej jamie zostawiono tego nieboszczyka, którego imienia nie pamiętam.

Podczas gdy go zakopywano, patrzyłem na swoje

ręce, na ręce, co na tle czarodziejskiego krajobrazu tuliły dłonie Antinei i zdjęła mnie bezmierna litość nad moim ciałem, obawa przed tym, co je czeka w owej błotnistej mieścinie. Czy możliwe to — myślałem — aby ciału temu, drogiemu ciału, tak zgnić przyszło? Nie, nie, przysięgam, najdroższe ze wszystkich skarbów ciała, że zaoszczędzę ci tej hańby, że nie zgnijesz pod jakimś murem więziennym, na śmietniku podmiejskiego cmentarza! Czekają na ciebie twoi bracia w miłości, czeka na ciebie pięćdziesięciu milczących i poważnych rycerzy z orychalku w sali z czerwonego marmuru. Potrafię zaprowadzić cię do nich!

Tajemnica miłości. – Hańba temu, co nie umie szanować tajemnic swej miłości. Niezmierzona Sahara otacza ze wszech stron Antineę i dlatego najbardziej nawet wyrafinowane kaprysy tej kobiety są w rzeczywistości skromniejsze i czystsze, aniżeli twoje przyszłe małżeństwo z całym jego bezecnym przepychem i jawnością, z zapowiedziami i z zawiadomieniami oznaczającymi motłochowi, że tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie wolno ci będzie zgwałcić twoją marną dziewicę.

Jest to, zdaje się wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Nie, jeszcze coś. Przed chwilą mówiłem ci o Sali z czerwonego marmuru. Na południu od Cherchell, w starej Cezarei, na zachodnim brzegu rzeczki Mazafran, na pagórku spowitym o wschodzie w różowe mgły znajduje się tajemnicza kamienna piramida. Ludność miejscowa nazywa ją *Mogilą chrześcijanki*. Spoczywa tam ciało prababki Antinei, Kleopatry Selene, córki Marka Antoniusza i Kleopatry. Grota owa zachowała swój skarb aż do dzisiaj. Nikomu jeszcze nie udało się dotrzeć do malowanego pokoju, w którym w szklanej trumnie spoczywa piękna ongiś kobieta. Wnuczka powtórzy to, co

zrobiła prababka, z większą jeszcze wspaniałością. Pośrodku sali z czerwonego marmuru, na skale, pod którą szemrze cienista fontanna, umieszczony jest płaski kamień. Na nim to zasiądzie kiedyś na orychalkowym fotelu, z pschantem na głowie i w złotej koronie, z trójzębem Neptuna w ręce, czarowna kobieta, o której snułem swą opowieść, w dniu, gdy każda ze stu dwudziestu nisz dokoła jej tronu otrzyma już należną jej zdobycz.

Gdy opuszczałem Hoggar miała na mnie przypaść nisza 55. Odtąd nie przestawałem obliczać i wyliczałem, że powinienem spocząć w niszy numer 80 lub 85. Ale obliczenia oparte na podstawie tak kruchej jak kaprys kobiety mogą być błędne. Dlatego niepokoję się coraz bardziej. Trzeba się śpieszyć, trzeba się śpieszyć.

— Trzeba się śpieszyć — powtórzyłem jak we śnie.

Podniósł głowę z wyrazem niewypowiedzianej radości, Uścisnął me dłonie a ręce jego drżały ze szczęścia,

— Zobaczysz ją, zobaczysz! — powtarzał w upojeniu.

Uścisnął mnie przeciągle.

Ogarnęło nas uczucie szalonego szczęścia i śmiałyśmy się i płakali na przemian, jak dzieci, nie przestając powtarzać:

— Śpieszmy się, śpieszmy się.

Nagle zerwał się lekki wietrzyk i zaszumiały płótna na dachu. Liliowe niebo zbladło jeszcze bardziej a na wschodzie przecięła je olbrzymia żółta pręga. Świt stanął nad pustynią. W głębi strażnic odezwały się głucho szmery, poryki, dźwięki łańcuchów.

Placówka poczęła się budzić ze snu.

Przez kilka sekund staliśmy w milczeniu, z oczyma utkwionymi w szlak wiodący na południe, który prowadzi

do Temessininu, Eguere i Hoggaru.

Ktoś zastukał za nami do drzwi stołowego pokoju. Drgnęliśmy.

— Wejść! — rzekł twardym głosem Andrzej de Saint-Avit.

Sierżant Chatelaine stanął przed nami.

— Czego chcecie ode mnie o tej porze? — zapytał ostro kapitan.

Podoficer stanął na baczność.

— Proszę wybaczyć panie kapitanie. Nocy dzisiejszej schwytał patrol w pobliżu placówki jakiegoś krajowca. Nie ukrywał się nawet. Gdy go tu przyprowadzono, począł się domagać, aby go stawić przed komendantem, Było to o północy, nie chciałem panu przeszkadzać.

— Cóż to za człowiek?

— Targijczyk, panie kapitanie.

— Targijczyk? Przyprowadź go.

Chatelain odsunął się. Za nim stał ów człowiek pod strażą jednego z naszych żołnierzy.

Weszli na taras.

Nowo przybyły był rzeczywiście Targijczykiem, wysokości sześciu stóp. Wschodzące słońce połyskiwało na jego ciemnobłękitnym płaszczu. Jego wielkie, ponure oczy błyszczwały.

Gdy stanął oko w oko przed kapitanem, wstrząsnęło nimi obydwoma nagle drżenie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Potem, składając niski ukłon, rzekł spokojnym głosem Targijczyk:

— Pokój z tobą, poruczniku de Saint-Avit,

Andrzej odpowiedział mu również spokojnym

głosem:

— Pokój z tobą, Segheir-ben-Szeiku.

KONIEC

